SEMKA ODSŁANIA

Kulisy negocjacji Kaczyńskiego i Dudy

TYGODNIK LISICKIEGO

120 stron

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 42/244 16–22 PAŹDZIERNIKA 2017

EGZY

Spiskowe teorie w obozie PiS – pod lupą Ziemkiewicza

DODATEK: JAK ESBECY MORDOWALI KSIĘŻY

Kto po cichu likwiduje terrorystów z Europy

Malarskie śledztwo Łysiaka

CUDOWNE DZIECKO PRAWICY

Patryk Jaki pokonał Hannę Gronkiewicz-Waltz. Czy zostanie prezydentem Warszawy?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 102 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 7 [illegible]2809d

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PATRONAT HONOROWY

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

PARTNERZY STRATEGICZNI

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY

PGNiG

PARTNERZY WYDARZENIA

LOTTO

FUNDACJA KSIĄŻĄT LUBOMIRSKICH

MECENAS

PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

PATRON MEDIALNY

TVP

eprasa.pl 75e3f2809d

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Naród przemówił

Dawno już nic nie wzbudziło takiej furii liberalnych komentatorów jak wielka akcja „Różaniec do granic". Im więcej było o niej wiadomo i im bardziej oczywisty stawał się jej sukces – setki tysięcy, a może miliony Polaków modliły się razem na różańcu jak Polska długa i szeroka, od Tatr do Bałtyku i od Odry do Buga – tym głośniej i bardziej krytycznie wypowiadali się wszyscy możliwi mędrkowie. A że intencje niewłaściwe, a że finansowanie niejasne, a że kolej pomaga, a że to, siamto i owamto. Niektórzy zachowywali się, jakby ich coś ukąsiło, jakby rozum postradali. Co chwila wypuszczali kolejne, ziejące grozą komunikaty, z których to miało wynikać, że oto nad Wisłą dzieje się coś strasznego, okropnego, wstydliwego i haniebnego. Gdzie tylko mogli, próbowali akcję różańcową ośmieszać, wyszydzać, ewentualnie nią straszyć.

Najzabawniej zachowała się posłanka Nowoczesnej, przez litość pominę jej nazwisko, która to przeciw organizatorom akcji postanowiła uruchomić interpelację poselską. Zapytała w niej ministra infrastruktury i budownictwa o „bilety za złotówkę, które wprowadzono dla uczestników akcji różańcowej". Trzeba mieć tupet, doprawdy. Posłanka, wcześniejsza pątniczka portugalska, badała, „kto był inicjatorem takiej dotacji, ile podatników będzie kosztować taka promocja oraz czy można liczyć na taką hojność ministerstwa w przypadku transportu na Przystanek Woodstock".

Ta złość ma kilka przyczyn. Po pierwsze, masowość udziału w modlitwie pokazała, że Polska wciąż jest krajem katolickim. To znaczy krajem, gdzie ogół szanuje tradycję oraz przeszłość i gotowy jest to manifestować. Ten jeden różaniec zgromadził kilkadziesiąt razy więcej ludzi niż największa opozycyjna demonstracja w obronie rzekomo zagrożonej demokracji. Po drugie, co z punktu widzenia krytyków jest jeszcze gorsze, te setki tysięcy ludzi pokazało, że naprawdę wierzy w Boskie rządy nad światem i w szczególną opiekę Matki Boskiej nad Polską. Tak, w XXI w. tłumy katolików publicznie przyznały się do tego, że w sytuacji zagrożenia i niepewności uciekają się do pomocy nadprzyrodzonej. Po trzecie, rzecz również niebywała i dla liberałów nieznośna, jednym z motywów, który skłonił do modlitwy, była obawa o islamizację Europy. Tak, okazało się, że prosty lud na czele z proboszczami i księżmi ma czasem więcej wiary niż oficjalnie uznani teologowie i hierarchowie, którzy zagrożenie islamem lekceważą oraz z maniakalnym wręcz uporem wzywają do otwierania przed nim granic i zacierania różnic.

Wreszcie, po czwarte, ten wielki wysiłek nie byłby możliwy, gdyby nie pozytywne nastawienie i wsparcie znacznej części klasy politycznej, przede wszystkim rządzących. „No tego już za dużo! To nie może być" – wykrzykiwali bardziej krewcy przeciwnicy, nie zauważając, że takie zaangażowanie polityków pozostaje w zgodzie z tekstem tej samej konstytucji, na którą tak bardzo lubią się powoływać i która wyraźnie mówi o szacunku dla „chrześcijańskiego dziedzictwa narodu". Tego narodu, który właśnie w trudnych chwilach zawsze uciekał się do Matki Boskiej – tak jak zrobił to król Jan Kazimierz we Lwowie w XVII w. czy 300 lat później prymas Stefan Wyszyński w Częstochowie.

Kiedy patrzyło się na tych ludzi, którzy mimo niewygód oraz wysiłku skupili się razem i przesuwali w rękach paciorki, powtarzając „Zdrowaś, Mario", naprawdę serce mogło rosnąć. I nawet głupiutkie komentarze zachodnich specjalistów (o kontrowersyjnej modlitwie mówiło choćby BBC) nie mogły popsuć dobrego nastroju. Naprawdę, Polacy zasłużyli na brawa! ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 75e3f2809d

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM
KOŃCZYMY Z PATOLOGIĄ III RP
Wiem, że chcę pracować dla Polski

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CZŁOWIEK, KTÓRY POKONAŁ HANKĘ

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
EMOCJE NA WODZY
Prezydent i PiS na nowym poziomie

25 ROZMOWA Z JANUSZEM ŚNIADKIEM
PETRU POWINIEN ZJEŚĆ SWÓJ DYPLOM

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PIS I JEGO ŚWIROWISKO

30 ŁUKASZ WARZECHA
NOWA WSPANIAŁA OPOZYCJA

32 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KAPŁAN NA CZASY TRUDNE

34 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
PRZEDZIWNA PAMIĘĆ ŚLĄZAKÓW

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POZBYĆ SIĘ ADRIANA

38 RADOSŁAW WOJTAS
ZBRODNIA NIEDOSKONAŁA

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
CZAS REPLIKANTÓW
„Blade Runner 2049" – nowy film, a już klasyka

45 ANDRZEJ HORUBAŁA
PIERWSZA PEŁNA BIOGRAFIA GOMBROWICZA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

74 WALDEMAR ŁYSIAK
BIEDERMEIER MIESZCZAŃSKA ARKADIA

OPINIE

REPARACJE OD NIEMCÓW – DWUGŁOS „DO RZECZY"

82 KRZYSZTOF JASIEWICZ
NIEMIECCY DUCHOWNI ZAPOMNIELI O POLAKACH

86 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM KORNATEM
RACHUNKI KRZYWD BEZ SENTYMENTÓW

ŚWIAT

90 JACEK PRZYBYLSKI
NOWA HISTORIA AMERYKI
Kolumb, Waszyngton i Jefferson na cenzurowanym

94 ROZMOWA Z PROF. GERTRUD HÖHLER
MERKEL PRZESTAŁA BYĆ NIETYKALNA

96 WITOLD REPETOWICZ
KTO PO CICHU LIKWIDUJE TERRORYSTÓW Z EUROPY

EKONOMIA

100 ROZMOWA Z PIOTREM NAIMSKIM
POLSKA OSIĄGNIE „STAN NORMALNOŚCI"
Uwolnimy się od dominującej pozycji jednego dostawcy gazu

102 ŁUKASZ ZBORALSKI
NAJBOGATSI Z BIEDRONKI

104 TOMASZ CUKIERNIK
UNIA ABSURDÓW

SPORT

108 ROZMOWA Z KAMILEM GROSICKIM
POTRAFIMY STRZELAĆ GOLE NAJLEPSZYM
Na całym świecie szanują naszą kadrę

ŻYCIE I NAUKA

110 KATARZYNA PINKOSZ
ŚMIERTELNY CZY PRZEWLEKŁY?
Rak płuca nie musi być wyrokiem

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (72), ZALEWSKI, WOLSKI (85), ZYCHOWICZ, KOPER (89), GABRYEL, RYBIŃSKI (106), KOMUDA (112), TYRMAND (116), KATARYNA (118), ŁYSIAK (119)

eprasa.pl 75e3f2809d

Jerzy Dudek

Smart gets real

Zasilany światłem CITIZEN Eco-Drive Bluetooth, wyposażony w szafirowe szkło, łącząc się z telefonem przenosi zegarek na wyższy poziom funkcjonalności.

Eco-Drive. Bluetooth™

citizen.pl

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 75e3f2809d

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu glosy do podejmowanych ostatnio przez nas tematów – wojennych reparacji i reformy szkolnictwa wyższego.

„Zabijanie humanistyki"

W numerze 41/2017 tygodnika „Do Rzeczy" ukazał się artykuł prof. Wojciecha Polaka. W pełni podzielam zawarte w nim uwagi; ze swej strony poruszę kwestie, które autor pozostawił na uboczu.

Projekt ustawy sugeruje, żeby też i oceny dorobku naukowego były, jak i recenzje grantów, anonimowe. Uważam to za olbrzymi błąd, jawność jest bowiem konieczna choćby dlatego, żeby w razie sporów – a mogą być nieuchronne – przedmiotem wystąpienia była osoba, a nie instytucja. Co więcej: właśnie jawność może, acz nie musi, zmuszać osoby piszące różnorakie opinie do ważenia sądów. [...]

Kolejną sprawą jest kompletne zlekceważenie tych badaczy, którzy przechodzą na emerytury. Nie ma pomysłu, jak ich „zagospodarować"; projektowane zmiany w prowadzeniu np. studiów doktorskich mogłyby coś zmienić – gdyby o tym pomyślano. [...] Zwracam uwagę, że można tu skorzystać z wzorów zarówno brytyjskich, jak i amerykańskich prowadzenia tego typu prac. Ale można też np. podjąć przez ministerstwo (a nie uczelnie!) finansowanie prac prowadzonych przez np. pracownie, które działają w ramach instytutów czy katedr. Byłoby to także szansą – o ile otrzymalibyśmy odpowiednie środki – na właśnie umiędzynarodowienie, bo moglibyśmy „ściągać" koleżanki i kolegów z ośrodków zagranicznych, a w zamian to oni stawaliby się propagatorami naszych osiągnięć.

Jakub Z. Lichański,
prof. zw. dr hab., obecnie na emeryturze

Punktoza

W pełni podzielam opinie Wojciecha Polaka na temat systemu punktowego oceny osiągnięć pracowników uczelni wyższych. Autor zaakcentował to, że system ten dyskryminuje badaczy reprezentujących humanistykę, lecz nie wskazał, że cała ta panująca od kilkunastu lat moda na ilościową wycenę wartości prac naukowych stanowi przejaw patologii. Sama w sobie stanowi ona już przedmiot dociekań pewnych badaczy, a są wśród nich tacy, którzy osobiście odpowiadają w ministerstwie za jej wprowadzanie, traktując ją w kategoriach teorii gier. Używając takich określeń jak „punktoza" lub „impaktoza", nie sugerują jednak w swoich opracowaniach patologicznego charakteru całego systemu. [...] Wojciech Polak bardzo słusznie wskazuje na „przesiąknięcie postmodernizmem i pseudonaukowym bełkotem" prestiżowych (i najwyżej punktowanych) pism zachodnich. Liczby punktów, które ministerstwo przyznało poszczególnym czasopismom, nie mają też nic wspólnego ze społeczną użytecznością publikowanych w nich prac. [...] Polska szczyci się tym, że zapoczątkowała upadek totalitaryzmu w naszej części świata. Narzucanie przez ministerstwo systemu punktowego, który obowiązywać ma wszystkie uczelnie, to totalitaryzm w czystej postaci.

Witold Wilczyński, profesor Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

Jeszcze o reparacjach

Niemcy ukradli Polsce pięcioletni budżet w latach 1939–1945, więc odszkodowanie mogłoby wynosić co najmniej obecny pięcioletni budżet Niemiec, tj. pięć razy 3,5 bln euro, czyli ok. 20 bln euro.

Wyobraźmy sobie, jakbyśmy to my, Polacy, wkroczyli dzisiaj na teren Niemiec, zabili im 20 mln ludzi, zniszczyli państwo, a do tego wykorzystali do własnych celów pięcioletni budżet.

Reparacje muszą być co najmniej składnikiem powyższych trzech pozycji... Niemcy rozwijali swoją gospodarkę, korzystając z majątku skradzionego w Polsce. Nie zapominajmy o tym.

Z wyrazami szacunku
Ryszard Pakulski

Gombro à la Vence

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałam artykuł Piotra Semki „Gombro à la Vence" („Do Rzeczy", 41/2017). Wszystko się zgadza oprócz mojego imienia. Jestem autorką scenariusza wystawy „Espace Gombrowicz" i nazywam się JOLANTA Pol, a nie – jak mylnie nazwał mnie Autor – Justyna. Przy okazji, Justyna Kowal prowadziła ten projekt z ramienia Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa.

Z wyrazami szacunku
Jolanta Pol

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Jan Bielecki/East News, Adam Guz/REPORTER, montaż Sunday**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa**
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 102 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 75e3f2809d

Na emeryturę po obniżeniu wieku emerytalnego

Przepisy, które obowiązują od 1 października dają prawo przejścia na emeryturę po ukończeniu przez kobietę 60 lat, a przez mężczyznę – 65 lat. Jednak to przyszły emeryt decyduje, czy zaraz gdy osiągnie ten wiek skorzysta ze świadczenia, czy też będzie dłużej pracował

Im dłużej pracujemy, tym odłożymy więcej składek i niższe będzie średnie dalsze trwanie życia, a więc otrzymamy wyższą emeryturę. Decyzja o terminie skorzystania ze świadczenia to indywidualna sprawa każdej osoby, która osiąga wiek emerytalny (60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn). ZUS przyzna to świadczenie, gdy osoba zainteresowana złoży wniosek (nie wcześniej niż od miesiąca, w którym ZUS go otrzyma). Osoby, które osiągnęły obniżony wiek emerytalny mogą przejść na emeryturę najwcześniej od 1 października 2017 r. (tego dnia weszły w życie nowe przepisy).

KIEDY ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Aby uzyskać emeryturę od 1 października 2017 r., wniosek należy złożyć do końca października 2017 r. Jeśli wniosek wpłynie do ZUS w listopadzie 2017 r. lub później, Zakład ustali emeryturę od pierwszego dnia miesiąca, w którym go otrzyma. Wnioskodawca musi też wiedzieć, że jeśli nie rozwiąże stosunku pracy z dotychczasowym pracodawcą w związku z przejściem na emeryturę, ZUS nie będzie mógł wypłacić mu emerytury. Zrobi to dopiero wtedy, gdy stosunek pracy zostanie rozwiązany.

CZY STAŻ MA ZNACZENIE?

Warunkiem nabycia prawa do emerytury, według nowych zasad, jest ukończenie 60 lat przez kobietę i 65 lat przez mężczyznę oraz udokumentowanie jakiegokolwiek okresu ubezpieczenia. Staż pracy nie ma zatem wpływu na przyznanie prawa do emerytury. Decyduje jednak o jej wysokości. Od okresów składkowych (np. zatrudnienia na podstawie umowy o pracę, prowadzenia działalności gospodarczej) i nieskładkowych (np. pobierania zasiłku chorobowego) zależy także gwarancja wypłaty emerytury w wysokości najniższej emerytury, która od 1 marca wynosi 1000 zł.

Przepisy, które weszły w życie 1 października 2017 r., obniżają wymagany od kobiet okres składkowy i nieskładkowy. Wynosi on 20 lat. Jeśli więc kobieta będzie miała taki okres składkowy i nieskładkowy, to ma gwarancję, że jej emerytura nie będzie niższa niż 1000 zł. Mężczyźni mają gwarancję emerytury w takiej wysokości, gdy mają 25 lat okresów składkowych i nieskładkowych.

FOT. FOTOLIA

Wysokość emerytury obliczana według nowych zasad zależy od:

- opłaconych i zwaloryzowanych składek na ubezpieczenie emerytalne,
- zwaloryzowanego kapitału początkowego,
- średniego dalszego trwania życia.

Kapitał początkowy to środki ustalone na podstawie składek opłaconych przed 1999 r. Natomiast średnie dalsze trwanie życia podaje Prezes Głównego Urzędu Statystycznego, który wylicza, jaka jest przeciętna długość życia osoby na emeryturze.

JAK ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Wniosek o emeryturę można złożyć osobiście w placówce ZUS albo przesłać pocztą lub za pomocą Platformy Usług Elektronicznych ZUS (PUE ZUS).

ZUS przygotował nowy wzór wniosku o emeryturę, aby jego wypełnienie nie sprawiało trudności. Papierowy druk (EMP) można wziąć z naszej placówki. Można go również wydrukować ze strony www.zus.pl (zakładka „Wzory formularzy"). Wniosek jest w dwóch wersjach – tylko do wydruku albo do wypełnienia i wydruku.

Wniosek o emeryturę można również złożyć przez PUE ZUS, ale trzeba mieć konto na tej Platformie. Założenie takiego konta jest bardzo proste i nie zabiera wiele czasu. Instrukcja jak krok po kroku to zrobić jest na stronie internetowej www.zus.pl. Wypełnianie wniosku na PUE ZUS ma wiele zalet. Niektóre dane wypełnią się automatycznie a program je sprawdza i w razie błędu pojawia się komunikat. Taki wniosek trzeba uwierzytelnić profilem zaufanym Elektronicznej Platformy Usług Administracji Publicznej (ePUAP) albo kwalifikowanym podpisem elektronicznym. Profil zaufany ePUAP jest bezpłatny. Aby go otrzymać, trzeba złożyć wniosek na stronie www.pz.gov.pl i potwierdzić tożsamość np. w jednostce ZUS, w urzędzie miasta lub gminy albo przez bankowość elektroniczną. Natomiast kwalifikowany podpis elektroniczny jest płatny. Jego koszt zależy m.in. od okresu na jaki jest wydawany. Wydają go uprawnione centra certyfikacji.

CZY MOŻNA LICZYĆ NA POMOC?

Jeśli pojawią się jakiekolwiek wątpliwości dotyczące składania wniosku o emeryturę można skorzystać w ZUS z usług doradcy ds. emerytalnych. Tacy dorady są we wszystkich oddziałach ZUS. Pomagają skompletować dokumenty i wypełnić wniosek o emeryturę. Mogą też wyliczyć w kalkulatorze emerytalnym wysokość prognozowanej emerytury.

MATERIAŁ INFORMACYJNY

eprasa.pl 75e3f2809d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Janek w krainie fanatyków

Festiwal Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci odbywa się już po raz dziewiąty, ale dopiero teraz tygodnik „Polityka" wysłał reportera na tegoroczną edycję imprezy w Gdyni. Ponieważ sam byłem gościem festiwalu, z zaciekawieniem zerknąłem do tekstu Jana Rojewskiego pt. „Fabryka pamięci".

Jak dowiedziałem się z relacji, byłem na imprezie fanatyków walki i krwi, na dodatek z patologicznym zamiłowaniem do masakr. Jan Rojewski pisze: „Zakończony właśnie IX Festiwal Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci pokazuje nową wizję historii Polski. Prowadzi ona od męczeńskiej śmierci z rąk niemieckich lub ubeckich wprost do zmartwychwstania narodu polskiego".

W opinii Rojewskiego przeciętny film festiwalowy wyglądał mniej więcej tak: „Dzień się budzi nad lasem. Słychać stukanie dzięcioła i widać, jak parująca rosa tworzy mgłę. Pozorną ciszę przerywa salwa karabinu. Wiele salw. Żołnierze do tej pory przykryci kępkami trawy i listowiem rzucają się do walki, a kamera skacze w konwulsyjnych podrygach".

Jak twierdzi autor „Polityki": „Festiwal stawia rok 1945 w centrum polskiej historii, zostawiając na marginesie wielowątkową społeczną, ale też zapomnianą ludową historię Polski. Dzięki temu może realizować bieżące cele polityczne: bo przecież kazamaty ubeckich oprawców prowadzą nas wprost ku »zdradzie Okrągłego Stołu«".

Twórcy festiwalu najbardziej narazili się reporterowi „Polityki" pokazaniem w konkursie filmu Ewy Szakalickiej o „Burym". Tutaj już autor nie wytrzymuje i grzmi wprost: „Podnoszenie po raz kolejny tematu Romualda Rajsa »Burego« w filmie »Podwójnie wyklęty« trudno odczytywać inaczej niż jako bezczelną prowokację. Nie sposób wyjaśnić, czy twórcy filmu robią z widzów idiotów (kiedy widz ma 13 lat, wciskanie mu wszystkiego jest znacznie łatwiejsze), czy palenie prawosławnych wsi po prostu im się podoba". Oglądałem historię o „Burym" i nie widziałem na projekcji 13-latków ani nie dostrzegłem, by film był pochwałą palenia wsi. Przypomina on jedynie, jak wyglądała rzeczywistość Białostocczyzny w latach 1939–1947. Niby dlaczego „Bury" ma być tematem tabu?

Autor kończy swój tekst dramatycznym wezwaniem: „Wyjdźmy z tego lasu, zanim się kompletnie pogubimy". Jacy my? Jeśli ktoś się pogubił we własnych obsesjach, to przede wszystkim sam Jan Rojewski. Na festiwalu dostrzegł wyłącznie filmy o wyklętych. A było też sporo dokumentów o ludziach Solidarności. Główną nagrodę festiwalu otrzymał zaś film „Braciszek Karel" Krystyny Krauze o czeskim bardzie Karelu Krylu. Być może dlatego, że nie pasowało to do dramatycznego tekstu Rojewskiego – informację o tym znaleźć można było jedynie w podpisie do jednego ze zdjęć. Ciekawe jest, jak reporter „Polityki" usuwał ze swego pola widzenia wszystko, co nie pasowało do wizji festiwali jako sabatu skrajnej prawicy.

Zajrzałem do Internetu, aby sprawdzić, kim jest autor. Jak się dowiedziałem: „Jan Rojewski jest poetą, laureatem nagrody poetyckiej im. Rafała Wojaczka, w przyszłym roku ukaże się jego debiutancki tom". No cóż, tekst w „Polityce" to niestety proza. Fantastyczna wizja festiwalu dla miłośników krwi, zabijania i nacjonalistycznej makabry to jednak swoista poezja. Bardzo specyficznego nurtu. ©℗

FOT. RAFAŁ SIDERSKI/FORUM

STRAJK LEKARZY-REZYDENTÓW

W piątek minęła 12. doba głodówki grupy medyków w hallu Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Warszawie. Protestujący, którzy domagają się m.in. wyższych zarobków, odrzucają kolejne propozycje rządu. Według rzeczniczki PiS Beaty Mazurek protest może być motywowany politycznie. – Skoro od 2009 r. nie dostawali podwyżek, nie wychodzili na ulice, nie robili głodówek, nie protestowali, to czemu robią to dziś, gdy wynagrodzenie wzrasta? – pytała, dodając, że od 2015 r. kwota wynagrodzeń rezydentów i stażystów wzrosła o ponad 40 proc. ***(jap)***

eprasa.pl 75e3f2809d

REKLAMA

Sondażowa winda tylko w górę?

Gdy w lutym 2017 r. PiS dotarł do najwyższego poziomu poparcia w sondażach na poziomie 41 proc., w obozie „dobrej zmiany" zapanowała euforia. Miesiąc później blok, któremu lideruje Jarosław Kaczyński, zaliczył spektakularny zjazd do 35 proc. W czerwcu PiS doszedł po raz drugi do wspomnianego maksimum, by przebić je ostatecznie w sierpniu. Kolejny punkt procentowy dołożony został we wrześniu, co przy spadku notowań PO sprawiło, że polityczna jesień zaczęła nam się od najwyższej od wyborów różnicy między PiS a drugą w rankingu PO.

Na potwierdzenie dominacji partii z Nowogrodzkiej we wrześniu obserwowaliśmy jednocześnie, liczony od 23 miesięcy, dzielących nas od ostatniej elekcji, dołek zsumowanego poparcia dla PO i .N (30 proc.). Wrześniowy rekord PiS przełożony na mandaty sejmowe dawałby tej partii 240 miejsc na Wiejskiej, PO – 117, K'15 – 44, Nowoczesnej – 32, PSL – 20, a SLD – 6. Czyli bardziej niż dotychczas gwarantowałby komfort samodzielnych rządów.

Wsłuchując bądź wczytując się w głosy rozemocjonowanych w ostatnim czasie sympatyków PiS, można dojść do wniosku, że ich zdaniem sondażowa winda będzie jeździła już tylko w górę. Nic bardziej mylnego – jest dwukierunkowa, o czym wcześniej czy później przekonają się na własnej skórze. ©℗

Marcin Palade

Średnia z wrześniowych sondaży
(zdecydowani wyborcy, zmiana w punktach procentowych w stosunku do sierpnia)

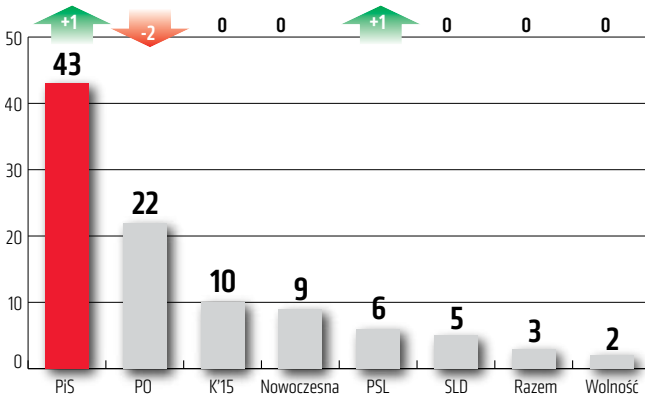

ZMARŁ WIESŁAW P. SZYMAŃSKI

12 października zmarł w Krakowie w wieku 85 lat prof. Wiesław Paweł Szymański, krytyk i historyk literatury. Jeden z założycieli niezależnego mówionego pisma literackiego „NaGłos" (1982). Członek redakcji krakowskiego dwumiesięcznika „Arka" (1992–1994). Od 1995 r. redaktor konserwatywnych „Arcanów". Wydał zbiór szkiców „Uroki dworu. Rzecz o zniewalaniu, krytyczna analiza postaw intelektualistów polskich wobec komunizmu" (1993). W tym roku ukazał się „Nasz świat", będący zapisem jego rozmów z żoną, Danutą. ©℗ ***(a)***

BRAK DECYZJI TO ZŁA DECYZJA

Union Investment

Reforma systemu emerytalnego przeciąga się w czasie. Brakuje jasnej informacji, na jakie świadczenia możemy liczyć i kto je nam zapewni. Pomimo wielu znaków zapytania jedno jest pewne – państwowa emerytura może nie wystarczyć nawet na pokrycie kosztów utrzymania.

Łukasz Tymoszuk
Manager ds. Kluczowych Klientów

– Polacy są zdezorientowani, przez co zamiast oszczędzać na emeryturę samodzielnie już teraz, czekają na rozwój wydarzeń. To najgorsze rozwiązanie, bo im później zaczniemy, tym większe kwoty będziemy musieli wygospodarować, żeby zapewnić sobie zabezpieczenie na przyszłość – mówi Łukasz Tymoszuk.

Pierwszym krokiem do emerytalnej samodzielności może być IKZE, czyli indywidualne konto zabezpieczenia emerytalnego. W dobie niskich stóp procentowych dobrym rozwiązaniem jest otwarcie IKZE w TFI. To daje wyższy potencjał zysku.

IKZE zapewni nam dodatkowe pieniądze na emeryturze, a jednocześnie już teraz pozwoli płacić niższe podatki.

IKZE – zmniejsz swój podatek już teraz

IKZE daje ulgę w podatku dochodowym, którą odliczymy w kolejnym zeznaniu podatkowym. Maksymalny limit wpłat na IKZE w 2017 r. wynosi 5 115,60 zł. To daje nawet ponad 1600 zł zwrotu. Trudno dziś o podobny bonus do Twoich oszczędności na rynku.

Najważniejsza jest systematyczność

W obliczu planowanych zmian w systemie emerytalnym warto wiedzieć, że środki na IKZE są naszymi prywatnymi oszczędnościami. Są w całości dziedziczone i zwolnione z podatku od spadków i darowizn.
– Najważniejsze jednak, by zacząć już teraz systematycznie odkładać nawet drobne kwoty – uważa Łukasz Tymoszuk.

Towarzystwo działa na podstawie decyzji Komisji Papierów Wartościowych (obecnie: Komisja Nadzoru Finansowego) z dnia 1 czerwca 1995 r., nr decyzji KPW-4073-1\ 95. Niniejszy materiał jest upowszechniany w celu reklamy lub promocji usług świadczonych przez Towarzystwo i nie stanowi porady prawnej ani rekomendacji inwestycyjnej. Decyzje inwestycyjne dotyczące inwestowania w fundusze inwestycyjne powinny być podejmowane wyłącznie po zapoznaniu się z Prospektami informacyjnymi funduszy zawierającymi szczegółowe informacje w zakresie: czynników ryzyka, zasad sprzedaży jednostek uczestnictwa funduszy, tabelę opłat manipulacyjnych oraz informacje podatkowe. Prospekty informacyjne, Kluczowe informacje dla Inwestorów, Informacje dla Klienta AFI, tabele opłat, dane o ryzyku inwestycyjnym i podatkach dostępne są stronie www.union-investment.pl. Szczegółowe zasady dokonywania wypłat transferowych regulują w szczególności: Ustawa z 20.04.2004 r. o PPE, Ustawa z 20.04.2004 o IKE oraz IKZE, oraz regulacje programów emerytalnych, w szczególności umowa zakładowa.

eprasa.pl 75e3f2809d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zakorzenienie demokracji

Jedną z najgorszych w skutkach reform III RP, jaką było stworzenie powiatów, uzasadniano różnymi wzniosłymi obietnicami. Dzięki powiatom gminy będą mogły wspólnie budować infrastrukturę (jakby nie wystarczały do tego „związki celowe"), lepiej zarządzać służbą zdrowia, szkołami i tak dalej. Wzięto też wielu Polaków pod włos, odwołując się do lokalnych ambicji – szczególnie byłe miasta wojewódzkie bardzo chciały być stolicami choćby i powiatu. Jednak prawdziwa przyczyna, dla której w chwili, gdy cały świat upraszczał struktury samorządowe, a my je komplikowaliśmy, była inna. I reformatorzy nawet jej nie ukrywali: „Trzeba zakorzenić demokrację w terenie".

Znaczyło to w istocie – trzeba zakorzenić w terenie partie. Powiat to mnóstwo stołków, kasy, kontraktów, to wszystko będzie rozdawała władza wybrana z klucza partyjnego. Słabowite wtedy partyjne organizmy zyskają latyfundia do dzielenia, wzmocnią się nimi i staną nieusuwalnym elementem lokalnego układu sił. I dokładnie tak się stało.

Przecieki prasowe na temat przygotowywanych przez władzę zmian w ordynacji wyborczej do samorządów wskazują, że „demokracji" powiaty już nie wystarczają i zamierza zakorzenić się jeszcze niżej. Zejść do gmin, gdzie dotąd partie nie były często mieszkańcom do niczego potrzebne i gdzie wybierano wójtów, sołtysów czy rady po prostu spośród sąsiadów, w okręgach jednomandatowych. Owszem, często potem wybrani poddawani byli w powiecie lub wyżej naciskom – zapisz się do nas, to załatwisz swojej gminie to czy tamto, a póki jesteś bezpartyjny, nie dostaniecie nic, ale najwyraźniej taka perswazja nie wystarcza.

W nowej ordynacji więc, która po peeselowskim „cudzie nad urną" w poprzednich wyborach samorządowych jest równie oczekiwana jak reforma wymiaru sprawiedliwości, mają się znaleźć, obok oczekiwanych zapisów zapobiegających powtórce tamtej sytuacji, także zapisy likwidujące „na dole" okręgi jednomandatowe oraz dające prawo wystawiania kandydatów tylko partiom.

Jakie jest uzasadnienie merytoryczne takich zmian? Na razie nie ma żadnego. Jest jednak nadzieja, że wyborcy, mając uwagę zajętą plemienną wojną, wzajemnymi obelgami, oskarżeniami i innym telewizyjnym „kontentem", nie zauważą, iż w ramach „zakorzeniania demokracji" nagle zrobiło się demokracji mniej, za to więcej zaczęła kosztować. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wariatach i wariatkach

Cesare Battisti, młody pospolity bandzior, w więzieniu się zradykalizował, zbiegł i zaczął mordować jako członek Uzbrojonych Proletariuszy na rzecz Komunizmu. Tak jak wielu morderców Czerwonych Brygad znalazł schronienie we Francji Mitterranda. Za udział w czterech zamachach ze śmiertelnym skutkiem został we Włoszech w 1993 r. skazany zaocznie ostatecznym wyrokiem na dwa dożywocia. Być może w końcu władze Brazylii wydadzą go Italii i wreszcie odpowie za swoje czyny. Sprawa jest w toku.

Battisti stał się gwiazdą paryskich salonów kawiorowej lewicy i tragicznym bohaterem przegranej walki o słuszną sprawę. Zaczął z sukcesem pisać kryminały. W 2004 r. Francja nagle zamknęła jednak ochronny parasol nad głowami włoskich lewaków z krwią na rękach. Battista miał być wydany Włochom. W obronie mordercy stanął kwiat lewicy i obozu postępu. List w tej sprawie podpisało ponad 1,5 tys. osób, m.in. François Hollande i Carla Bruni. Gdy pętla zaczęła się zaciskać, wystarali się o fałszywy paszport dla swego pupila, zaopatrzyli go w pieniądze i wyekspediowali do Brazylii, gdzie mordercą zaopiekował się inny entuzjasta komunizmu bandyckiego, na szczęście były już prezydent Lula. Ciekawe, co zrobią teraz.

Dla wszystkich tych ludzi Battisti nie jest mordercą, ale godną współczucia ofiarą opresyjnego państwa włoskiego i bojownikiem o lepszy świat. W Italii takich szaleńców jest jednak mniej, bo Włosi za rojenia zideologizowanych morderców zapłacili krwią. Co innego we Francji. Z Sorbony przyjeżdżają do Italii tabuny studentów, którym wykładowcy pomieszali w głowach, by na potrzeby hagiograficznych prac magisterskich osobiście porozmawiać ze swymi idolami – mordercami z Czerwonych Brygad. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 75e3f2809d

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Reprywatyzacja – przewrót kopernikański

Na razie nie znamy detali projektu dużej ustawy reprywatyzacyjnej – wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki przedstawił tylko jej ogólne założenia. Jednak to i tak rewolucja. Żaden rząd po 1989 r. nie zdołał przeforsować całościowego rozwiązania. A w mętnej wodzie ryby łowi się, jak wiadomo, najłatwiej. Złowiono ich już, jak się okazuje, tysiące.

Jaki będzie miał ze swoim projektem jeden zasadniczy problem: nikogo nie zadowoli całkowicie. Można bowiem zadać pytanie, czy zadośćuczynienie w wysokości 20–25 proc. wartości za utraconą własność jest sprawiedliwe. Z drugiej strony jednak – często mówimy o własności, w którą włożono już mnóstwo publicznych pieniędzy. Nierzadko prawowici byli właściciele lub ich potomkowie nie mieli szans na odzyskanie niczego, a przecież 20–25 proc. jest lepsze niż zero. Oszuści – to inna sprawa. Ci dostawali całość.

Propozycja ustawy jest przełamaniem dekad imposybilizmu

Otwarte pozostaje też pytanie o koszt dla budżetu, a to jednak sprawa zasadnicza. Za ograniczające prawo własności niektórzy mogą z kolei uznać ograniczenie uprawnionych o staranie się o odszkodowanie do małżonków oraz potomków w pierwszej linii.

A mimo wszystko propozycja ustawy jest przełamaniem dekad imposybilizmu. Afery reprywatyzacyjne, których zaledwie czubek, i to tylko w Warszawie, udało się na razie odkryć, nie byłyby możliwe, gdyby nie absurdalne kunktatorstwo każdej poprzedniej władzy w tej sprawie. Dzisiaj, tyle lat po 1989 r., napisanie ustawy, będącej rozsądnym kompromisem między interesem państwa, lokatorów i właścicieli lub ich spadkobierców, jest zadaniem arcytrudnym i za samo podjęcie się go należy się szacunek. Zarazem trzeba mieć nadzieję, że projektodawcy będą też gotowi wysłuchać głosów rozsądnej krytyki, nie zakładając z góry, że każdy sceptyk kieruje się złą wolą.

Atakującym zaś projekt z pozycji świętego prawa własności przypominam, że tu już – niestety – nic nie jest zero-jedynkowe, i z politycznego, i z etycznego punktu widzenia. I to nie Jaki wraz ze swoimi ludźmi jest temu winien. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT

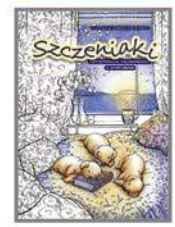

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 22 października 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 25,90 zł

2.
~~469,00 zł~~ 275,00 zł

3. 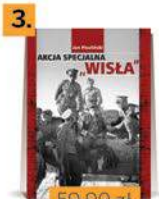

~~59,90 zł~~ 41,50 zł

4.

~~39,90 zł~~ 25,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 22,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

Sekszdjęcia, urzędniczka i żandarmi

Żandarmeria Wojskowa sprawdza, czy doszło do próby infiltracji MON przez „środowiska zewnętrzne". Sprawa budzi wiele pytań – m.in. o rolę, jaką odegrał w niej znany oficer.

O prowadzonym od dłuższego czasu śledztwie Żandarmerii Wojskowej i wojskowych służb w sprawie domniemanej „próby infiltracji MON" informowaliśmy jako pierwsi w naszym internetowym wydaniu. Ujawniliśmy, że 4 i 5 października żołnierze Żandarmerii Wojskowej wkroczyli do Centrum Weterana i zabezpieczyli dokumenty dotyczące dotychczasowej pracy i wykształcenia jednej z pracujących tam urzędniczek – Anny X. (dane zmienione).

Wojskowi śledczy mieli zająć się sprawą z powodu plotek, które krążyły wśród weteranów misji wojskowych na Bliskim Wschodzie, na temat roznegliżowanych zdjęć Anny X., dostępnych w Internecie jako ilustracja „ogłoszeń erotycznych" na jednej z warszawskich stron. Kobieta w korespondencji z „Do Rzeczy" przyznaje, że to jej zdjęcia, ale twierdzi, że wykorzystano je bez jej wiedzy, a ogłoszenia zostały sfingowane.

Jak się jednak dowiedzieliśmy, śledczy zaczęli sprawdzać przeszłość kobiety. Nasze źródło w MON twierdzi, że podejrzewają, iż Anna X. dostała się do pracy w resorcie dzięki sfałszowanym dokumentom. – Kobieta przedstawiła wyłącznie kserokopię dyplomu uniwersytetu w Sydney i według naszych ustaleń ta kopia nie odpowiada rzeczywistym dokumentom – mówi nasz informator z MON. – Również dokumenty nostryfikacyjne wystawione przez jedną z podwarszawskich uczelni nie spełniają wymogów, widnieją na nich podpisy osób nieupoważnionych i takich, które w danym czasie podpisać ich nie mogły – dodaje. Podkreśla jednak, że sprawa jest dopiero na „etapie sprawdzania". – W jednym z wątków dochodzenia badamy, czy brały w tym udział środowiska kryminalne, tu brany jest pod uwagę także aspekt międzynarodowy i to, czy nie wykorzystano tej osoby bez jej wiedzy, by przetestować, czy uda się jej przeniknąć do MON i w nim ulokować – twierdzi nasz rozmówca.

W związku z tym pojawiają się wątpliwości co do zabezpieczenia i pytania o rolę, którą w sprawie odegrał płk Leszek Stępień, szef Centrum Weterana w MON. To jeden z najbardziej znanych weteranów misji wojskowych. Głośno o nim stało się dzięki premier Ewie Kopacz. Stępień wziął udział w jej exposé w Sejmie w 2014 r. Zaczął się też pojawiać w towarzystwie ówczesnej premier i polityków PO podczas spotkań wykorzystywanych do zjednywania politykom wyborców. Część środowiska weteranów krytykowała go za wykorzystywanie munduru do celów jednej z partii politycznych.

Pułkownik Leszek Stępień złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Annę X., ale dopiero dzień po tym, jak dotyczące jej dokumenty zostały zabrane przez Żandarmerię Wojskową, a o sprawę zaczęło pytać „Do Rzeczy".

Dopiero po tym zdarzeniu rozwiązał z nią też umowę o pracę – na zasadzie porozumienia stron. Tymczasem, jak ustaliliśmy, kobieta pracowała dla niego na podstawie kserokopii dyplomu przez ponad 1,5 roku. Według naszych informatorów wojskowych śledczych zainteresowały kulisy zatrudnienia Anny X. w Centrum Weterana i pracy dla płk. Stępnia. ©℗

Wojciech Wybranowski

Szef MON: odparliśmy atak ze strony Rosji

– Mieliśmy już trzeci kolejny atak cybernetyczny ze strony Rosji. Na szczęście w Polsce go odparliśmy – oznajmił w piątek minister obrony narodowej w programie „Kwadrans polityczny". – To zagrożenie wzrasta z każdym dniem – ostrzegł Antoni Macierewicz.

– Sprawa obrony cybernetycznej nie jest wyłącznie kwestią wąskiej dziedziny. W dzisiejszych czasach atak cybernetyczny może zniszczyć potencjał obronny, w ogóle potencjał całego państwa – podkreślał szef MON.

Antoni Macierewicz zauważył, że Polska od podstaw buduje oddziały do obrony przed cyberatakami. – To zarówno budowa infrastruktury, jak bloki, w których będą mieścić się pracownie, oprzyrządowania, wyposażenie w odpowiedni sprzęt, jak i dobór kadry. Chcemy, żeby docelowo liczyła tysiąc żołnierzy – zapowiedział minister obrony.

Do zadań związanych z obroną cybernetyczną członkowie polskiej armii mają przygotowywać się wraz z wojskowymi z Wielkiej Brytanii, z którą Polska ma podpisać wspólny traktat obronny. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 75e3f2809d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, coś strasznego nas ostatnio spotkało. Ale po kolei.

Ostatnio w korpo Nowy z Tarnowa jakiś taki się zrobił przymilny. Na wegestołówce nawet poczęstował nas jarmużowym smoothie z nasionami chia, a po przerwie zapuścił na cały open spejs kawałki Taco Hemingwaya i wręczył nam jakieś tabletki, obiecując, iż nastąpi po nich niezła jazda.

Nasz błąd polegał na tym, że zaufaliśmy w metamorfozę tego wąsatego zbója z Podkarpacia.

W efekcie ocknęliśmy się gdzieś nad morzem, otoczeni moherami i z różańcem w dłoni. Z przerażeniem uświadomiliśmy sobie, iż Nowemu zapewne zabrakło personelu do obsadzenia fragmentu plaży w Jelitkowie i przez to my staliśmy się częścią niemodnego katolskiego eventu, z którego bekę miała cała postępowa Polska i Europa.

Od tamtej pory czego by nam Nowy nie proponował, podchodzimy do tego nieufnie, niezależnie od tego, czy jest to premia, sałatka z ciecierzycy czy integracyjne wyjście na piwerko. Dobrze pamiętamy, jakie oto integracyjne wyjście Nowy nam zafundował ostatnim razem. Gdyby się o tym frendzi z berlińskiej Antify dowiedzieli, już nigdy nie wbilibyśmy do nich na blanta na skłocie :/

Jak co roku Nobel przyznał swoje nagrody i jak co roku były one straszliwie fashystoffskie. Wśród obdarowanych nimi osób znalazły się bowiem niemal wyłącznie białe osoby uposażone fallicznie, co jest oczywistą dyskryminacją waginoosób oraz osób uposażonych fallicznie i dodatkowo pigmentalnie.

Mamy nadzieję, iż w przyszłym roku ktoś wreszcie się tym zajmie i wprowadzi w nagrodach obowiązkowe parytety, tak aby na Nobla szanse mieli także: waginoosoby, mieszkańcy Afryki Subsaharyjskiej, osoby nieuposażone intelektualnie, skłotersi, Inuici i Aborygeni, członkowie ruchów miejskich i osoba LGBT – najlepiej transpłciowa. Tak, aby wedle lewicowych ideałów szanse na nagrodę mieli przedstawiciele każdej uciskanej przez białą naukową supremację mniejszości.

Of kors istnieje ryzyko, iż zabraknie kategorii, aby nagrodzić wszystkich przedstawicieli środowisk dyskryminowanych, mamy jednak nadzieję, iż Nobel podejdzie do tematu kreatywnie i ustanowi nagrodę za np. najbardziej estetycznie podane flat white z mlekiem migdałowym w kawiarni na Zbawixie.

Reprezentacja tego kraju wywalczyła awans do mistrzostwa świata w Rosji, a widzowie „Szkła kontaktowego" oraz twórcy Soku z Buraka heheszkują, iż skoro Polacy tam jadą, to może przywiozą – trzymajcie się – wrak xDDDDD, ale beka xDDD

Co będzie dalej? Po przegranym meczu: Ale nam zrobili Katyń! xDDDDDDDDD??

Albo podczas wybierania bazy mieszkaniowej na czas mistrzostw: niech sprawdzą GUŁag xDDDDDD??

Wygląda na to, iż karuzela śmiechu dopiero nabiera rozpędu :/

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl 75e3f2809d

Ludzie małej wiary nie wierzyli, kiedy pisaliśmy parę tygodni temu o nadchodzących zatrzymaniach w aferze reprywatyzacyjnej. Cóż, widać zamiast lektury naszej rubryki powinni zająć się pogłębianiem swej wiary. Dla pozostałych mamy ważną wiadomość. W najbliższym czasie najważniejsze będzie w Polsce słowo „uchylenie". Nie chodzi o odmowę zeznań u Jakiego, tylko o uchylanie immunitetów parlamentarnych. Odpowiednie wnioski właśnie się piszą w prokuraturze.

Jeden z tych wniosków budzi nasze szczególne zażenowanie. Pewien były minister wprawdzie wziął sobie do serca zasadę, że jak kraść, to miliony, ale jako człowiek o słabej woli nie gardził też mniejszymi wziątkami. Od podwładnych przyjmował „prezenty". Była to odpłata z ich strony za to, że mają gdzie pracować.

Tymczasem w pałacu Andrzeja Sebastiana. W cieniu przeciągania liny między prezydentem a naczelnikiem państwa krążą opowieści o innym źródle napięcia. Otóż Agata, żona prezydenta Andrzeja Sebastiana, bardzo niechętnie patrzy na perspektywę kolejnej kadencji Andrzeja. I jest raczej przeciw. Co zwycięży: miłość do Polski czy miłość do Agaty? O tym w następnych odcinkach.

Przybierają na sile plotki, że Myszka Agresorka, choć publicznie się odżegnuje, to w głębi serca jednak chce opuścić nowoczesnego Ryśka. Przeszłaby do staroświeckiego Grzegorza, który wystawiłby ją jako wspólną kandydatkę PeŁo oraz Nowoczesnej Kropki na prezydenta Warszawy. A już wydawało się, że nic gorszego od rządów Hanki Bufetowej nie może się stolicy przydarzyć.

Taki rozwój wydarzeń oznaczałby, że dotychczasowy kandydat Nowoczesnej Kropki, Paweł Rabiej, zostaje wycofany do drugiego szeregu. Nas to nie dziwi. Partii Ryśka Petru nie może reprezentować w stolicy facet, który kiedyś z Ingą Rosińską pomagał w kampanii wyborczej Porozumienia Centrum. A z Kaczorem Dyktatorem pojechał w 1993 r. na wycieczkę do Sarajewa.

Tylko czy Nowoczesna Kropka nadal będzie Ryszarda? Pojawiają się wątpliwości. Usłyszeliśmy z ust paru ważnych Kropek, że Rysiek jest archaiczny. Usłyszeliśmy też, że Misiło Piotr, który ogłosił, że chce być szefem partii, to tylko zając wypuszczony, żeby dziennikarze mieli się czym zająć. Akurat w przypadku Misiło to o tyle głupie, że zupełnie nie ma się czym zająć.

Tymczasem na Nowogrodzkiej. Nowa odsłona wojny chodnikowej. Napisy „dość propagandy PiS" zamalowane czerwonymi krasnalami zostały umieszczone ponownie na swoich miejscach, ale nieznana ręka kolejnego artysty zaczęła jedne i drugie dzieła pokrywać w całości srebrną farbą. Nie ma mocnych, to musi być artysta z PiS, pomyślcie tylko o poszlakach: Nowogrodzka, spółka Srebrna, Srebrny Lis Dyplomacji. To nie może być przypadek.

Jesteśmy jako środowisko filmowe tą sytuacją bardzo zasmuceni, zaniepokojeni i opuszczeni przez nasze Ministerstwo" (pisownia oryginalna) wyznał na fejsiku Maciek Stuhr z okazji wywalenia Madzi Sroki ze stanowiska szefa PISF. Nie wiedzieliśmy, że istnieje w Polsce Ministerstwo Środowiska Filmowego. Wiemy natomiast, że jeśliby istniało, to nie jest nasze.

Apropos środowiska. Zapytaliśmy pewnego profesora prawa, jak to jest z tymi kadrami sędziowskimi, to znaczy, czy istnieją jacyś mityczni pisowscy sędziowie. „Może dwóch na dziesięciu" – odpowiedział. „A wśród młodych?" – zapytaliśmy. „Tak samo" – odpowiedział.

dwaj panowie g

Znamy prawdziwą przyczynę powołania nowej partii przez Jarosława Długiego, zwanego Gowinem. Pomyślcie sami: dotąd była to PRZP – Polska Razem Zjednoczona Prawica. Co mogłoby być gorsze? Chyba tylko ZSRR – Zjednoczeni Samorządni Republikanie Razem. A taka nazwa wszak nie wchodzi w grę. Chyba.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 75e3f2809d

Znamy też przyczynę przyśpieszenia przez Gowina działań republikańskich. Wszystko przez to, że republikanki niegowinowe, czyli posłanka Siarkowska i ta druga, które weszły do klubu PiS, szykują własny kongresik republikański. A na razie negocjują dla jego uczestników miejsca na listach PiS w wyborach samorządowych. Dyskutują o tym z Adamem Lipą Lipińskim. Bo tak na co dzień o współpracy sejmowej to raczej z Ryszardem Terleckim ksywa Pies. Mamy nadzieję, że Bełata Mazurek nie jest zazdrosna.

Ciekawa sprawa z tymi protestującymi lekarzami rezydentami. Źli ludzie opowiadają, że minister Radziwiłł i premier Bełata negocjują z niewłaściwymi ludźmi. Rozmawiają bowiem z głodującymi, tymczasem tak naprawdę za sznurki pociąga pewien całkiem najedzony osobnik. To Krzysztof Bukiel, szef Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy. Ciekawa sprawa, jego ostatnia wielka akcja protestacyjna miała miejsce w roku 2007, za pierwszego PiS. Najwyraźniej potem uważał, że lekarzom żyje się świetnie. Jak wszystkim Polakom pod rządami PO-PSL.

Przy okazji: zauważyliście, że wszystko, co najgorsze dla polskiej służby zdrowia, pochodzi ze Szczecina? Najpierw Bukiel, potem Arłukowicz, a teraz znowu Bukiel. Chociaż nie, nie wszystko. Jest wyjątek. Ewka Kopacz urodziła się w Skaryszewie.

Przełom w relacjach polsko-francuskich. Na Akademii Sztuki Wojennej w Rembertowie stanęło popiersie Napoleona Bonapartego. Nie byle jakie, tylko eleganckie, wypożyczone z Muzeum Narodowego. Ustawiono je wśród marmurów i podświetlono przed blokiem 101, czyli komendanturą. Mamy mieszane uczucia. Uważamy, że najpierw trzeba było postawić popiersie Antoniego.

Tymczasem u Srebrnego Lisa Dyplomacji. Tak jak zapowiadaliśmy: z odmętów zbioru zastrzeżonego wypływają kolejne odcinki serialu „Noc żywych peerelowskich trupów". Najnowszy bohater to pewien arabista pozyskany do współpracy przez wojskówkę. Waszczu nie powinien mieć problemów z jego posunięciem: arabista mianowany był jeszcze przez Radzia Sknerusa Sikorskiego.

Podobno nieładnie się natrząsać z imion czy nazwisk. Ale co tam. Wiecie jak w służbach PRL nazywano Ruskich? Radzianie! Przypadek?

Złe wieści dla Kulczyków. Śledztwo w sprawie sprzedaży Ciechu przeniesiono do Katowic. Dostał je w swoje łapy prokurator szczególnie cięty na oligarchów. Nie jest to człowiek zawistny, tylko pamiętliwy. Dobrze zapamiętał, że jak posadził na ławie oskarżonych Ryśka Krauzego, to oligarchowie i ich kieszonkowi politycy zadbali, by z kodeksu karnego zniknął paragraf, z którego chciał go posadzić. Tak tylko zauważamy.

Skoro już o sławnych rodach z Poznania. Urzędujący prezydent tego pięknego miasta Jaśkowiak Jacek udzielił wywiadu rzeki, który wydany zostanie na dniach pod tytułem „Dżej Dżej". Taka promocja przed wyborami samorządowymi. Poprzednim prezydentem Poznania, który wydał wywiad rzekę, był Rysiek Grobelny. Też przed wyborami. Które przegrał. Wierzymy więc, że Dżej Dżej wie, co robi.

Nasz ulubiony fragment książki: „Dlaczego udzielił pan tego wywiadu? Bo chciałem sprawdzić, czy mam jaja" – odpowiada Jaśkowiak. Teraz rozumiemy, dlaczego Dżej Dżej i żona nie mieszkają już razem. ©℗

eprasa.pl 75e3f2809d

Z wiceministrem sprawiedliwości Patrykiem Jakim, przewodniczącym Komisji Weryfikacyjnej
rozmawia Wojciech Wybranowski

Kończymy z patologią III RP

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Projekt ustawy reprywatyzacyjnej, którego jest pan autorem, wywołał burzę. Wielu mówi, że naprawiacie krzywdy wyrządzone Polakom w PRL, inni – że kwoty rekompensat są zbyt niskie, jeszcze inni – że nie powinniście wypłacać ich wcale.

PATRYK JAKI: Jako pierwszy rząd rozwiązujemy problem, którego nikt od 1989 r. nie rozwiązał. Brak regulacji w zakresie reprywatyzacji pozwolił rozwinąć się mafiom, różnym handlarzom. Państwo każdego roku traci przez to miliardy. W każdym mieście mamy do czynienia ze skandalami reprywatyzacyjnymi. Oddaje się nieruchomości zmarłym, na kuratorów, na numizmaty z II RP, dodatkowo za ułamek wartości. Reprywatyzuje się w ten dziwny sposób lasy państwowe, żłobki i przedszkola z dziećmi. Nasza ustawa kończy z patologiami. Jako zasadę przyjmujemy brak zwrotów w naturze. Kończymy też z największą hańbą III RP, tj. reprywatyzowaniem kamienic razem z ludźmi. Dzięki ustawie skończymy z patologią reprywatyzacyjną raz na zawsze. Działała tu zasada – tam, gdzie państwo jest słabe bądź go nie ma, powstaje próżnia dla grup przestępczych. My wreszcie robimy z tym porządek. Ponadto wychodzimy z założenia, że za majątek, który komuniści zagrabili obywatelom polskim, należą się okradzionym zadośćuczynienia. Analizowaliśmy jednak też wcale nieodosobnione głosy, że wszyscy coś stracili w czasie II wojny światowej. Dlaczego zatem to rekompensować tylko byłym posiadaczom? Ostatecznie zdecydowaliśmy, że państwo może wypłacić odszkodowania za przejęte przez komunistów mienie, ale do 20 proc. wartości zagrabionego majątku, czyli tak samo jak w przypadku mienia zabużańskiego. Zadośćuczynienia będą wypłacane tylko w ramach możliwości państwa. Kompleksowo rozwiązujemy zatem problem tak, że państwo ma nad sprawą pełne panowanie.

Ustawa powstała pod wpływem pana doświadczeń z pracy w Komisji Weryfikacyjnej?

Tak. Im głębiej wchodziłem w temat warszawskich reprywatyzacji, tym bardziej widziałem problem związany z brakiem ustawy regulującej zasady odszkodowań za zagrabione mienie...

Jednak nie głosował pan za małą ustawą reprywatyzacyjną Platformy, która miała rozwiązać problem patologii reprywatyzacyjnych.

eprasa.pl 75e3f2809d

Po pierwsze, całe moje środowisko głosowało przeciw tej ustawie, ja się wstrzymałem. Dlaczego? Przede wszystkim nie miałem zaufania do PO w kwestiach reprywatyzacyjnych, zastanawiałem się, co tak naprawdę kombinują. Po drugie, również prawnicy mieli olbrzymie zastrzeżenia do ich ustawy, nie chciał jej też podpisać ówczesny prezydent Bronisław Komorowski, odsyłając ją do TK. A po trzecie, ta ustawa, a w zasadzie kilka przepisów w ustawach już obowiązujących, jak widzimy, nie rozwiązała żadnych problemów.

Jeden z dziennikarzy – Andrzej Gajcy – stwierdził kilka dni temu, że jeśli ustawa reprywatyzacyjna się sprawdzi, to jej twórca przejdzie do historii...

Sens działalności w życiu publicznym polega na próbie zrobienia czegoś dobrego dla państwa. Jeżeli uda mi się jakąś cegiełkę dołożyć do tego, by Polska była silniejsza, to oczywiście będę z tego dumny i będę wnukom opowiadał, że dziadek coś zrobił dobrego, że to po nim zostało.

Mówię o tym, bo wiele wskazuje, że tak czy inaczej, przejdzie pan do historii jako ten, który upolował Hannę Gronkiewicz-Waltz. Wielu już próbowało, np. Adam Hofman, przewodniczący komisji śledczej ds. banków, ale bez większego powodzenia.

Nie taki był mój cel. Nie koncentrowałem się na tym, by kogokolwiek upolować czy komuś zaszkodzić, ale by zrobić coś dobrego dla państwa, czyli rozwiązać problem, którego do tej pory rozwiązać się nie udało. Pamiętam, że gdy wybuchła afera reprywatyzacyjna, to siedzieliśmy w Ministerstwie Sprawiedliwości i zastanawialiśmy się, jak do tego podejść. I przyszedł mi do głowy pomysł na komisję ze szczególnymi uprawnieniami, która mogłaby nie tylko wyjaśniać sprawy, lecz także cofać te procesy, które kończyły się ludzką krzywdą. Kiedy zaproponowałem prawnikom, by taką komisję stworzyć, to niektórzy zaczęli z dziwnymi minami wpatrywać się w ściany, inni się podśmiewali, a inni prawnicy mówili, że tego się nie da zrobić. Reprezentowali punkt widzenia typowy dla III RP: „Może było złodziejstwo, ale prawo nie działa wstecz, nie da się nic zrobić". Byłem uparty, dalej drążyłem, robiłem kolejne spotkania i w pewnym momencie jeden z prawników nagle się „złamał", mówiąc: „No dobra, a może się da, spróbujmy". I tak ruszyło, a komisja dzięki determinacji ma już pewne sukcesy. Udaje się wyrzucić do kosza fatalne decyzje reprywatyzacyjne. I to jest największy sukces, a nie to, że Hanna Gronkiewicz-Waltz ma przy tej okazji problemy polityczne.

Pana krytycy mówią, że decyzje komisji wprowadzają jeszcze większy chaos, będą podważane przez sądy, a lokatorzy „zwrotowych kamienic" nie wiedzą dziś, komu i ile płacić.

Podstawowym problemem wszystkich lokatorów była zła decyzja reprywatyzacyjna, czyli oddanie danej nieruchomości handlarzom roszczeń, i komisja takie decyzje cofa. Można się oczywiście od tego odwołać, ale jeśli nasze postanowienie zostanie utrzymane, to następuje wpis w księdze wieczystej i jest on ostateczny. I najczęściej tak się dzieje. Reasumując: cofamy wadliwą decyzję, a tylko od dobrej woli miasta zależy, czy zostaną usunięte jej pochodne. Ważne jest dla nas, że zła sytuacja mieszkańców poprawiła się fundamentalnie. I co najważniejsze – żadna instytucja państwa nie podważyła do dziś decyzji Komisji Weryfikacyjnej. Pewnie takie, pojedyncze mam nadzieję, sytuacje się zdarzą, ale jeśli doktryna będzie kształtowała się w kierunku orzeczeń Komisji Weryfikacyjnej, to będzie to również wyznacznikiem dobrej pracy komisji.

To pewien paradoks, że były radny Platformy Obywatelskiej upolował najbardziej znaną prezydent miasta z tego ugrupowania.

Jest pan złośliwy, bo doskonale pan wie, że byłem członkiem PO w 2004 r., wtedy gdy Platforma była bardziej antyestablishmentowa niż niektóre partie prawicowe. Byłem młodym człowiekiem, chciałem działać publicznie, a byłem też przeciw systemowi III RP. A przecież wówczas PO opowiadała się za budową IV RP, krytykowała rzeczywistość „Gazety Wyborczej" i III RP jako „PRL plus". I mnie, młodemu człowiekowi, który siłą rzeczy patrzy krytycznie na III RP, bardzo się to podobało. Tylko później PO całkowicie zmieniła front, stała się partią establishmentu III RP. A ja od zawsze byłem nastawiony mocno przeciw państwu, które jest skolonizowane przez grupę interesów, zresztą nadal uważam, że trzeba walczyć z pochodnymi tego „PRL plus". Nie zmieniałem poglądów, to partie częściej je zmieniały.

Partie też pan często zmieniał. Od PO przez PiS do Solidarnej Polski.

To prawda, ale z Platformy odszedłem, kiedy partia zaczęła popierać III RP i odstąpiła od koalicji PO-PiS, która wtedy była oczywistością. Późniejsze przejście z PiS do Solidarnej Polski to tylko przejście w rodzinie, choć wymuszone, bo władze lokalne PiS wypchnęły mnie z partii. Może z perspektywy czasu ten projekt SP miał swoje wady...

Żałuje pan tego przejścia?

Prezes Kaczyński miał wtedy rację. Jest jednak druga strona medalu – cieszę się, że się związałem z ministrem Ziobrą, zbudowaliśmy silny sojusz, wzajemnie się wspieramy i sobie pomagamy. Jestem mu wdzięczny i podziwiam jego siłę. To, jak znosi ataki ze wszystkich stron.

Czy jednak nie zablokuje to panu dalszej kariery politycznej? Na przykład kandydowania na prezydenta Warszawy. Na Nowogrodzkiej panuje nieufność wobec ludzi Ziobry...

Rozumiem, że to może być przeszkodą. Jednak odbyłem rozmowę sam ze sobą, zastanawiałem się, jak może wyglądać moja przyszłość, i wiem, że chcę pracować dla Polski. Na którym odcinku – niech decydują mądrzejsi ode mnie.

A chce pan kandydować na prezydenta Warszawy?

To jest rozmowa, którą jeszcze muszę odbyć sam ze sobą, czy chcę się o to starać…

I z prezesem Kaczyńskim.

Oczywiście też. Jednak nie mam dużego nacisku, by tak się stało. Wiem, że rozważany jest też marszałek Karczewski, który jest dobrym kandydatem. Jestem od niego młodszy, mogę poczekać, nauczyłem się już, że w polityce ważna jest pokora, czasami trzeba zrobić kilka kroków wstecz, poczekać na swój moment, nie pchać się na siłę do przodu. Polityka to gra zespołowa.

Słyszałem, że ma pan jednak przygotowany plan na całą kampanię.

Na całą kampanię nie mam, natomiast mam przemyślane, w którym kierunku można by było poprowadzić narrację. Jednak to nie wynika z koniunkturalnych przemyśleń związanych z przyszłością polityczną, ale bardziej z tego, że jestem mieszkańcem Warszawy, mieszkam tu ponad sześć lat i widzę, z jakimi problemami boryka się stolica.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Człowiek, który pokonał Hankę

Wojciech Wybranowski

Badania m.in. rozpoznawalności przeprowadzane przez PiS w stolicy zdecydują, kogo ta partia wystawi jako kandydata na prezydenta Warszawy: Stanisława Karczewskiego czy Patryka Jakiego. O tym ostatnim mówi się jako o czarnym koniu w wyścigu o partyjną nominację

Do wyborów samorządowych pozostał jeszcze rok, ale na Nowogrodzkiej przygotowania do nich trwają pełną parą. Z jednej strony władze partii zastanawiają się nad ewentualnymi zmianami w ordynacji wyborczej – ich zaproponowanie zależy od tego, jak ułoży się dalsza współpraca z prezydentem Andrzejem Dudą, z drugiej – nad wyłonieniem kandydata, który będzie reprezentował „obóz dobrej zmiany" w najważniejszej przyszłorocznej batalii – o fotel prezydenta stolicy. Jeszcze kilka miesięcy temu kandydatów, których w PiS brano pod uwagę, było kilku, wśród nich m.in. Jacek Sasin, Jarosław Krajewski – młody poseł, członek komisji śledczej badającej aferę Amber Gold. Na giełdzie nazwisk pojawiała się też przewodnicząca i gwiazda tej komisji – poseł Małgorzata Wassermann, a także wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, przewodniczący Komisji Weryfikacyjnej.

Dziś, jak mówią nasze źródła wewnątrz PiS, realne szanse na nominację mają Karczewski i Jaki. – Sasin przekreślił się wpadką z ustawą metropolitalną, Małgosia wciąż jest mocno brana pod uwagę, ale raczej w Krakowie, z którym jest bardziej kojarzona. Jaki i Karczewski uważani są za faworytów w tej rywalizacji – mówi nam osoba z kręgów władz PiS.

Jak dowiedział się tygodnik „Do Rzeczy", w najbliższych tygodniach Prawo i Sprawiedliwość ma zlecić przeprowadzenie w Warszawie poufnych badań dotyczących popularności, rozpoznawalności i tego, jak mieszkańcy stolicy oceniają kompetencje i szanse wyborcze kandydatów na kandydatów do prezydenckiego fotela w tym mieście. Decyzja zostanie ogłoszona pod koniec roku – tak by z początkiem 2018 r. można było ruszyć z przygotowaniami do kampanii.

Na razie obaj kandydaci na temat swoich szans na uzyskanie niezbędnej do startu w wyborach rekomendacji Kaczyńskiego wypowiadają się bardzo ostrożnie. – Jeszcze ostateczne decyzje nie zapadły, prowadzimy dyskusję na ten temat, zastanawiamy się i analizujemy. Jestem jednym z wariantów, który jest brany pod uwagę – mówi nam marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Podobne ostrożne deklaracje słyszymy z ust wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego (wywiad w numerze).

Jednak wśród liczących się polityków PiS mówi się, że coraz większe szanse na taką rekomendację ma właśnie Jaki. Jeśli stołeczne badania wskażą na niego, partia będzie gotowa zapomnieć mu nawet to, że w 2011 r. był jednym z pierwszych

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

polityków PiS, którzy dołączyli do frondy Zbigniewa Ziobry, a później jako rzecznik Solidarnej Polski krytykował PiS. – W polityce czas biegnie szybko, momentami zbyt szybko, a my mamy zbyt wielu wrogów, którzy chcieliby nas poróżnić, podzielić i odsunąć, by dziś przejmować się tym, co było kilka lat temu – mówi nam polityk z decyzyjnego grona PiS. Niedawno Jarosław Kaczyński wystąpił na konwencji Solidarnej Polski, gdzie mówił o współpracy we wprowadzaniu zmian. „Musimy być razem" – przekonywał lider PiS.

WARSZAWSKI ŁOWCZY

Trzy lata temu Patryk Jaki znany był głównie z ostrych medialnych polemik, uchodził za – jak niektórzy politycy PiS mówią z niesmakiem – „wyszczekany cień" Zbigniewa Ziobry. Rok temu w szeroko pojętym prawicowym obozie zaczęto doceniać i podkreślać, że to on jest autorem lub współautorem najważniejszych projektów sygnowanych przez Ministerstwo Sprawiedliwości, które rządzący mogą zapisać na swoje konto jako sukces.

Jaki przygotowywał przepisy mające uniemożliwić sądom odbieranie dzieci rodzicom z powodu biedy, ustawę o uruchamianym właśnie rejestrze pedofilów, czyli bazie danych osób skazanych za przestępstwa seksualne wobec dzieci, wraz z ich fotografiami i obecnym miejscem pobytu, czy projekt „Praca dla więźnia" pozwalający na zwiększenie zatrudnienia poza miejscem odosobnienia więźniów skazanych za drobne przestępstwa. – Dzięki temu rozwiązaniu o 20 proc. w porównaniu z latami ubiegłymi wzrosła liczba skazanych wykonujących pracę. Jest to z korzyścią i dla samego osadzonego, i dla pracodawcy, który z tego tytułu korzysta z pewnych udogodnień – chwali efekty projektu Oliwer Kubicki, ekspert w departamencie prawa administracyjnego Ministerstwa Sprawiedliwości.

Jednak na fali wznoszącej Patryk Jaki znalazł się dzięki pracy Komisji Weryfikacyjnej badającej nieprawidłowości przy reprywatyzacjach warszawskich kamienic. Ciało współpracujące z prokuraturą zakwestionowało już kilka takich postępowań, kilka kamienic przejętych wraz z lokatorami przez handlarzy roszczeń wróciło do Skarbu Państwa. Wreszcie – dzięki ustaleniom Komisji Weryfikacyjnej – okazało się, że ogrom nieprawidłowości w pracy warszawskiego magistratu przy postępowaniach reprywatyzacyjnych był tak olbrzymi, iż pytania o polityczną odpowiedzialność za nie praktycznie zakończyły już polityczną karierę Hanny Gronkiewicz-Waltz, która nie tylko nie wystartuje w wyborach, lecz także zaczyna nawet tracić poparcie wieloletnich partyjnych przyjaciół.

– Patryka Jakiego znałem w czasach opolskich, gdy działał jako radny, później poseł PiS, po jego przejściu do Solidarnej Polski siłą rzeczy nasze kontakty osłabły. Natomiast jego pracę, tak jak całej Komisji Weryfikacyjnej, oceniam pozytywnie. Przywraca ludziom wiarę, że państwo może być silne wobec silnych i sprawiedliwe wobec słabszych – mówi nam wicemarszałek Sejmu Joachim Brudziński.

Komisja Weryfikacyjna ds. reprywatyzacji to prawdziwe dziecko Jakiego. Niektórzy jego współpracownicy żartują, że on je „począł, donosił i urodził".

– Któregoś dnia spotkaliśmy się w większym gronie w ministerstwie: Zbigniew Ziobro, Jaki, kilku prawników, sędziów i zastanawialiśmy się, jak rozwiązać definitywnie aferę reprywatyzacyjną. No bo co z tego, że kogoś prokuratura zamknie, kogoś sąd skaże, ktoś pójdzie siedzieć, ale wyjdzie i dalej będzie miał majątek, który pozyskał, dalej też będą skrzywdzeni ludzie, lokatorzy „zreprywatyzowanych kamienic" – opowiada nam Sebastian Kaleta, były rzecznik Ministerstwa Sprawiedliwości, obecnie członek Komisji Weryfikacyjnej. Mówi, że to Jaki rzucił hasło „trzeba zrobić tak, by nieprawidłowe decyzje reprywatyzacyjne można było cofnąć", miał wizję, jak to zrobić, ale pierwszą reakcją prawników na pomysł wiceministra sprawiedliwości było: „Nie da się". Jaki miał naciskać, domagać się działań, organizować kolejne spotkania. W końcu pojawił się pomysł: „A może by zrobić to tak".

– A jak już była koncepcja, to powołał zespół, który pracował nad ustawą, by komisja funkcjonowała w oparciu o przepisy prawa administracyjnego. To jego zasadnicza cecha: jest skupiony, by pracował cały zespół, by miało to charakter burzy mózgów. Ma taką zaletę, że potrafi przekonać ludzi do pracy, przekonać, że robimy coś dobrego – dodaje Kaleta.

ODDAĆ, CO KOMUNIŚCI ZAGRABILI

Pokłosiem prac Komisji Weryfikacyjnej jest projekt tzw. dużej ustawy

eprasa.pl 75e3f2809d

reprywatyzacyjnej. Jeżeli wejdzie w życie, przywróci elementarną sprawiedliwość – zgodnie z nią właściciele zagrabionych przez komunistów nieruchomości będą mogli ubiegać się i uzyskać od państwa (najprawdopodobniej w ratach) rekompensatę finansową do 20 proc. wartości nieruchomości wg stanu na moment przejęcia przez komunistów. Ustawa zawiera też obostrzenia, które uniemożliwią m.in. przejmowanie kamienic wraz z lokatorami.

Duża ustawa reprywatyzacyjna to też dziecko Jakiego. Do współpracy nad nią zaprosił dr. hab. Kamila Zaradkiewicza, byłego dyrektora Zespołu Orzecznictwa i Studiów Trybunału Konstytucyjnego, obecnie dyrektora prawa administracyjnego w Ministerstwie Sprawiedliwości. – Wykreowaliśmy nowy mechanizm, który powoduje, że obciążenia z tytułu roszczeń będą do udźwignięcia przez budżet państwa. Ustawa powinna ostatecznie przeciąć i zamknąć spory dotyczące statusu nieruchomości zabranych przez PRL – mówi nam Zaradkiewicz.

Pytany o współpracę z Jakim prawnik unika odpowiedzi, mówi, że nie wypada mu oceniać swojego pracodawcy. W końcu przyznaje: „Nasze dyskusje są burzliwe, niekiedy ostre, ale zawsze merytoryczne, konstruktywne. Chyba tworzymy dobry zespół".

Czy duża ustawa reprywatyzacyjna Jakiego i w jakim kształcie wejdzie w życie, jeszcze nie wiadomo. Twórcy chcą, by zaczęła obowiązywać od 2018 r. (wiele zależy od prac komisji sejmowych i decyzji prezydenta Andrzeja Dudy), ale już budzi olbrzymie emocje. „Patryk Jaki prochu nie wymyślił. Sięgnął po rozwiązania od dawna postulowane przez środowiska lewicowe, ale to naprawdę dobra ustawa. Brawo" – komentował na Twitterze Tomasz Walczak, dziennikarz „SE". – Założenia, które usłyszeliśmy dzisiaj, brzmią bardzo dobrze, zasady są sprawiedliwe, położą kres patologiom, z którymi mieliśmy do czynienia w Warszawie, ale też innych miastach Polski – powiedział portalowi PolskieRadio.pl Jan Śpiewak, warszawski społecznik.

Nie ulega wątpliwości, że dzięki projektowi ustawy reprywatyzacyjnej partia Kaczyńskiego wyprzedziła znów konkurencję co najmniej o krok. Politycy PSL burzyli się, że projektu nie skonsultowano z nimi, choć w kuluarowych, nieoficjalnych rozmowach z „Do Rzeczy" przyznawali, że „część rozwiązań jest potrzebnych". Nowoczesna ogłosiła, że to kopia ich postulatów, podobną narrację zastosowała Platforma Obywatelska, a ruch Kukiza zapowiedział, że przygotowuje lepszą, własną ustawę reprywatyzacyjną.

TRUDNA LEKCJA POLITYKI

Jaki idzie w górę, ale nie zawsze była to droga wznosząca, a młody polityk kilka razy popełnił błędy, które zachwiały lub mogły zachwiać jego polityczną przyszłością.

– Nauczył się, wyciągnął wnioski, zdystansował się. Mógłby jeszcze bardziej panować nad emocjami, bo czasami daje im się ponosić – mówi jeden z dobrych znajomych Jakiego, przypominając ostrą, prowadzoną na łamach mediów wymianę zdań wiceministra sprawiedliwości z Krzysztofem Łapińskim, rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy, przy okazji prezydenckiego weta „ustaw sądowych". Wielu komentatorów, również życzliwych dobrej zmianie, zwracało uwagę, że Jaki z uwagami na temat prezydenta nieco się zagalopował.

Z jednego ze spotkań z wyborcami Patryk Jaki przywiózł kilka segregatorów skarg, nad którymi teraz pracują resortowi prawnicy

Okazji do lekcji było zresztą wiele. Zaczynał jako działacz stowarzyszenia Młodych Konserwatystów – jeszcze w trakcie studiów na Uniwersytecie Wrocławskim. Wśród znajomych słynął wtedy z radykalnych poglądów, z których zresztą wiele zachował do dziś. – Pamiętam, jak topił marzannę, która miała symbolizować odchodzącego prezydenta Kwaśniewskiego. Lubił wyraziste akcje – śmieje się jeden z jego znajomych.

Z Młodych Konserwatystów trafił do Prawa i Sprawiedliwości, ale zaledwie dwa lata później znalazł się w Platformie Obywatelskiej. Z PiS też pożegnał się happeningiem – wyśmiewającym pomysły tej partii tworzenia kolejnych komisji śledczych. Z ramienia PO został w 2006 r. opolskim radnym, ale jako samorządowiec bliżej współpracował z PiS niż z politykami PO, m.in. głosując razem z PiS przeciw kandydatowi Platformy na przewodniczącego rady miasta. Niebawem powrócił do ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego. W 2010 r. ponownie został radnym – tym razem z list PiS, a w 2011 r. posłem partii Kaczyńskiego. W tym samym roku po rozłamie w PiS przeprowadzonym przez Zbigniewa Ziobrę dołączył do Solidarnej Polski, stając się jej rzecznikiem prasowym. W niszowej partii Ziobry szybko też doszło do konfliktów frakcji – część krytykowała pomysły Jakiego na działalność ugrupowania.

– Młody, niedoświadczony poseł, który miał wielkie poparcie „Pati Koti". A skoro miał za sobą żonę Ziobry, to było jasne, że jest nie do ruszenia, że przeforsuje swoje pomysły, które nie były zbyt udane. Mam wrażenie, że miał olbrzymie parcie na szkło – opowiada jeden z byłych już posłów Solidarnej Polski.

Krytykujący go dawni koledzy z Solidarnej Polski wytykający Jakiemu nadmierną ambicję i chęć medialnego zaistnienia mówią też, że uważany był w ich gronie za jednego z najbardziej pracowitych posłów. Takie stwierdzenie – pracowity – słyszymy też i dzisiaj, gdy o obecnym wiceministrze sprawiedliwości rozmawiamy z politykami PiS.

Jednak pracowitość nie pomogła mu w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. Solidarna Polska tonęła, a Jaki wraz z nią – dostał zaledwie ok. 3 tys. głosów. Deską ratunkową okazał się „obóz dobrej zmiany" i start w 2015 r. z listy PiS. W tym głosowaniu Jaki zdobył już blisko 30 tys. głosów.

A ludzie, którzy towarzyszą w politycznej ścieżce Jakiemu od lat, mówią, że jako polityk dojrzał, zrozumiał, że polityka „to nie sport dla amatorów". Lepiej się przygotowuje. – Wystąpienia publiczne ministra Jakiego polegają na jego talentach oratorskich, w których pomagamy mu znajdować najważniejsze argumenty – mówi Sebastian Kaleta.

Kiedy kilkanaście dni temu pojechał na spotkanie jednego z klubów „Gazety Polskiej", otoczył go tłum ludzi chcących rozmawiać o swoich problemach. Jaki z tego spotkania przywiózł kilka segregatorów skarg, nad którymi teraz pracują resortowi prawnicy.

– Gdy przychodziłem do pracy w resorcie, usłyszałem od niego „jesteśmy tu dla ludzi". A sam też zdecydowanie nie stał się „wielkim panem politykiem". Czyta wszystkie skargi, prośby o pomoc, jakie do niego przychodzą – zapewnia Oliwer Kubicki, wieloletni znajomy Jakiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Szokujący wywiad z więźniem niemieckich obozów

Tomasz Stańczyk – **Pogrom polskiego ziemiaństwa**
Mikołaj Iwanow – **Kto zrobił rewolucję bolszewicką?**
Sławomir Cenckiewicz – **Jak uratowano polskie złoto**
Laura Johnston Kohl – **Gujana: szalona sekta samobójców**
Dariusz Szymanowski – **Na tropie grobu „Hubala"**
Piotr Semka – **Lewaccy terroryści mordują**
Piotr Zychowicz – **Kaźń profesorów lwowskich**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Piotr Semka

Jeśli każda reforma będzie wymagać wielomiesięcznych targów w obozie władzy, to w tę polityczną lukę kiedyś z sukcesem wkroczy opozycja

Emocje na

Poprawki PiS do prezydenckich ustaw sądowych trafiły wprost od Jarosława Kaczyńskiego do Andrzeja Dudy. Poznało je ponoć tylko ścisłe kierownictwo partii, ale już nie klub PiS.

Jarosław Kaczyński ustąpił już w kwestii pełnej wymiany Sądu Najwyższego i zaakceptował wymianę tylko tych sędziów, którzy skończyli 65 lat. Lider PiS miał się dowiedzieć, że prezydent nie będzie przedłużał kadencji obecnej pierwszej prezes SN Marii Gersdorf. PiS porzucił już też idee podziału KRS na dwie izby – sędziowską i polityczną. Zaakceptowano również pomysły prezydenta, by kandydatów do KRS mogły zgłaszać grupy 2 tys. obywateli. Więcej obaw – o większe prawdopodobieństwo korupcji – budził zapis o możliwości zgłaszania skargi nadzwyczajnej do Sądu Najwyższego przez grupę 20 posłów, ale i to przełknięto. Niemal wszystkie kompetencje decyzyjne przypisywane w poprzednich projektach o Sądzie Najwyższym i KRS ministrowi sprawiedliwości pozostaną teraz w gestii prezydenta, np. mianowanie rzecznika ds. dyscypliny w izbie dyscyplinarnej SN.

W kwestii drugiego kroku w wyborze 15 sędziów do KRS – w razie braku koalicji trzech piątych głosów w Sejmie – PiS proponuje specjalny przelicznik głosów posłów. Jak ujawnił już wicemarszałek Senatu Adam Bielan, opozycja miałaby móc wybierać co najmniej sześciu sędziów. Kaczyński nie ma ponoć złudzeń, że ta mniejszościowa pula będzie w gestii Kukiza, być może PSL, bo totalna opozycja najprawdopodobniej zbojkotuje głosowanie w Sejmie. Nowy sposób wybierania członków KRS będzie wymagał zmiany sejmowego regulaminu.

Beata Mazurek, rzeczniczka PiS, ogłosiła, że poprawki są daleko idącym ustępstwem wobec głowy państwa. – Ustąpiliśmy niemal we wszystkim – to opinia, którą usłyszałem z kilku ust.

Ale o tym, czy naprawdę tak jest, dowiemy się od Andrzeja Dudy. Jeśli zgłosi poprawki co najwyżej kosmetyczne, ustawy mogą przejść przez parlament w ciągu najbliższych tygodni.

W PiS minął już szok po lipcowym wecie i Jarosław Kaczyński zarządził zimny realizm wobec nowej linii prezydenta. Z kolei gospodarz Belwederu zrozumiał, że kryzysu wokół ustaw o Sądzie Najwyższym i KRS nie rozstrzygnie sam ani z pomocą Kukiz'15. Chwilowy rozejm czy początki nowego modus vivendi?

Dwie główne siły obozu „dobrej zmiany" muszą nauczyć się żyć w nowych relacjach, bo są na siebie skazane. Jak wygląda to wchodzenie w nowe role?

PREZYDENT PO PRZEJŚCIACH

Wielu komentatorów polskiej polityki sporo dałoby, aby być świadkami trzech ostatnich spotkań prezydenta ze „zwykłym posłem". Jaka jest che-

eprasa.pl 75e3f2809d

mia między oboma politykami? Czy to szorstka przyjaźń, czy jakiś nowy początek we wzajemnych relacjach? Jeśli w tym tygodniu dojdzie do kolejnego spotkania Andrzeja Dudy z Jarosławem Kaczyńskim, można będzie uznać, że spotkania te zaczynają kształtować rytm polskiej polityki.

Zmusiło to prezydenta do zmiany tonu wobec lidera PiS. Teraz jedynym złym jest Zbigniew Ziobro, któremu trzeba pamiętać, że kiedyś zdradził PiS. Ten ruch paradoksalnie – choć chyba bezwiednie ze strony głowy państwa – podkreślił ojcowsko-synowskie relacje między nim a liderem PiS. Coś w rodzaju: „Ojcze, pamiętaj, kto był twoim wiernym synem".

Prezydent może jednak czuć się wzmocniony w protokolarnych relacjach. Już nie musi się głowić, czy jeździć na Nowogrodzką. Teraz musi ocenić, czy może dalej ignorować propozycje PiS. Z Nowogrodzkiej płyną sygnały, że jeśli ta próba kompromisu nie wypali, rząd porzuci reformę sądów, a „Andrzej Duda będzie musiał tłumaczyć się wyborcom z zaniechania reform".

Prezydent też przyzwyczaił się już do wizji zmian. Widać to w częstym podkreślaniu przez głowę państwa wagi skargi nadzwyczajnej, którą chce uczynić swo-

wania miłością to coś, do czego wciąż nie może się przyzwyczaić.

Niedawno uszczypliwe uwagi na Twitterze wywołała informacja, że głowa państwa nie pojawiła się na różańcu wzdłuż granic kraju. Prezydent tłumaczył się ex post, że modlił się w prezydenckiej kaplicy, gdyż modlitwa nie musi odbywać się wśród fleszów, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Wcześniej przy okazji uroczystości religijnych flesze Andrzejowi Dudzie nie przeszkadzały.

Mało kto zwrócił uwagę, że prezydent wrócił ostatnio do wcześniejszego tonu w czasie niedawnej wizyty w Wodzisławiu Śląskim, gdzie chwalił działania Beaty Szydło. „Ten rząd i ja jako prezydent RP stawiamy na polską rodzinę. Ludzie o to wsparcie prosili. A skoro prosili, a nikt tego nie wprowadzał, oznacza, że demokracja była kulawa" – mówił.

W starym, przedlipcowym stylu brzmiały też prezydenckie słowa o potrzebie reformy sądów: „Zmiany następują i będą następowały. Wprowadzimy w końcu sprawiedliwe sądy.

wodzy

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

im znakiem firmowym w nowych ustawach. Kaczyński, choć ma pewne obawy przed funkcjonowaniem w praktyce tej nowej instytucji prawnej, nie będzie o to kruszył kopii – byle tylko reforma jak najszybciej weszła w życie.

Można odnieść wrażenie, że prezydent uznał, iż mimo doskonałych sondaży nie może sobie pozwolić na zbyt daleko idące zderzenie z podstawowym elektoratem PiS, który patrzy mu coraz uważniej na ręce. Wyraziste pytanie braci Karnowskich: „Czy prezydent jest jeszcze z nami", musiało zrobić jakieś wrażenie. Dla prezydenta głosy krytyki ze swoich szeregów po dwóch latach bombardo-

To w końcu wprowadzenie sprawiedliwości i patrzenie na ręce także tej trzeciej władzy".

Prezydent wzmacnia też swoją kancelarię. Niedawno zasilił ją prawnik o zacięciu popularyzatora historii, Marcin Czapliński. Pojawił się też znany fotograf Jakub Szymczuk.

Wobec sporu o sądy na linii PiS – prezydent na dalszy plan zeszły inne punkty zadrażnień z rządem.

eprasa.pl 75e3f2809d

Dlatego mało kto zwrócił uwagę na to, że przy okazji wizyty w Warszawie prezydenta Bułgarii Rumena Radewa Andrzej Duda zupełnie nieoczekiwanie wystąpił z daleko idącą retoryką zrozumienia dla Katalonii.

Zaznaczył, że mimo iż: „pobito i zmasakrowano Katalończyków w Barcelonie, to (niepodległościowe) referendum w taki czy inny sposób i tak się odbyło".

Było to oświadczenie, które nie mogło zachwycić Madrytu, a potrzebujemy wsparcia Hiszpanii w sporze z prezydentem Macronem o pracowników delegowanych. Deklaracje w sprawie Katalonii przypomniały o innej cesze działań prezydenta w epoce polipcowej – skłonności do deklaracji spontanicznych, nie zawsze solidnie przedyskutowanych z doradcami.

Sygnałem odprężenia na linii Duda – PiS jest wreszcie zgoda marszałków Sejmu i Senatu na zwołanie Zgromadzenia Narodowego 5 grudnia, w 150. rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego, z przemówieniem prezydenta inaugurującym jubileusz stulecia odzyskania niepodległości.

Złagodzenie napięcia na linii Nowogrodzka – Pałac Prezydencki nadal nie dotyczy konfliktów na linii BBN – MON

ZIMNY REALIZM

Kaczyński narzucił swojej partii zimny realizm. Reforma sądów jest tak ważna, że trzeba powstrzymywać emocje. Ludzie z otoczenia prezesa PiS opowiadają, że trzy ostatnie rozmowy na szczycie w Belwederze były gładkie i niezwykle kurtuazyjne, ale dość obłe. Politycy PiS obawiają się labilności Andrzeja Dudy.

Im bardziej w oczach PiS prezydent jest nieprzewidywalny, tym mocniej kwitnie wizja stosunkowo akceptowalnego człowieka, otoczonego paroma złymi bojarami. W tym kontekście pojawia się trio Krzysztof Łapiński, Marcin Kędryna i – doradzający z dystansu – Marcin Mastalerek. Jarosław Kaczyński nie jest też najlepszego zdania o prezydenckim teamie prawników na czele z Anną Surówką-Pasek i prof. Dariuszem Dudkiem.

Jednak te kuluarowe narzekania, szczególnie na dwójkę odstępców – Łapińskiego i Mastalerka – są według paru niezależnych ocen mitygowane przez prezesa. Głosi on, że trzeba się do nowej sytuacji przyzwyczaić, że to wciąż jest polityka, w której święte wojny rzadko komu wychodzą na zdrowie.

Chociaż Jarosław Kaczyński nie byłby sobą, gdy nie pozwolił sobie niekiedy na ironiczne uwagi – jak ta o swojej niechęci do zajmowania się sporami pokoleniowymi między czterdziestolatkami, która miała paść w czasie wizyty w Belwederze. Do twardego elektoratu PiS kieruje też wyraźny przekaz: „nie będzie zgody na zmiany pozorne". Może tak mówić, bo sondaże PiS i prezydenta na razie tylko rosną.

Odreagowaniem nowej sytuacji jest wyraźny nacisk na zwiększenie wielkości parlamentarnego klubu. Prezes też wyraźnie dowartościowuje skrzydła partii. Włożył wiele wysiłku, by zademonstrować swój szacunek dla Zbigniewa Ziobry i jego Solidarnej Polski. Z drugiej strony spędził niedawno pięć godzin na kolacji z Jarosławem Gowinem i jego frakcją „Polska razem". Frakcja Gowina w dość enigmatycznym stylu zapowiada poszerzenie się o jakąś liczbę samorządowców i działaczy partii Wolność.

Pewne złagodzenie napięcia na linii Nowogrodzka – Pałac Prezydencki nadal nie dotyczy konfliktów na linii Biuro Bezpieczeństwa Narodowego – MON. Dalej nie wiadomo, kiedy generałowie otrzymają nominacje, a minister Antoni Macierewicz kwaśno komentuje swoją współpracę z BBN. Jeśli uda się uchwalić ustawy o sądach, to właśnie ta kwestia pozostanie najbardziej zapalnym punktem pomiędzy prezydentem a PiS. Na razie Kaczyński uznał, że najważniejsze jest wprowadzenie w życie reformy sądów. Jednak od tego konfliktu na dłuższą metę uciec nie sposób. A im bliżej do kampanii samorządowej w 2018 r., tym bardziej wszelkie wojny na górze będą szkodzić PiS i dawać amunicję opozycji.

DLA OPOZYCJI „DUDA TU PO NIC"

Zajmijmy się wreszcie trzecim aktorem w politycznym spektaklu. To opozycja, która może obserwować tarcia na linii Nowogrodzka – Pałac Prezydencki jedynie z pozycji widza. Platformie i Nowoczesnej spadają słupki, obie partie nęka właśnie kryzys przywództwa.

A liderzy opozycyjnej opinii bynajmniej nie uznają Andrzej Dudy za czynnik równowagi między PiS a opozycją. Szef „Polityki" Jerzy Baczyński w tekście „Duda tu po nic" tak zdefiniował konflikt: „Desperackie weta Andrzeja Dudy po kolejnych odsłonach kryzysu zostały zredukowane do tego, czym były od początku: żądaniem szacunku, uwagi, uznania przez Ojca, że nie jest gorszy od reszty rodzeństwa".

Równie ostro odnoszą się do głowy państwa dwaj publicyści „Polityki", Mariusz Janicki i Wiesław Władyka, którzy „zauroczenie prezydentem Dudą" stawiają na pierwszym miejscu wśród „złudzeń anty-PiS-u".

Z tego punktu widzenia swary na linii PiS – prezydent jeśli nie są ustawką, to są jednak tylko „kłótnią w rodzinie".

Istotnie, o czym niekiedy zapominają krytycy prezydenta z obozu PiS, to właśnie łagodzący image Andrzej Dudy odbiera teraz impet tym z KOD, którzy chcieli wskrzesić we wrześniu świeczkowe demonstracje z lipca.

Ten aspekt lubią przypominać kanceliści prezydenta, wskazując, że bez Andrzeja Dudy PiS nie miałby tak wysokich słupków.

To prawda, ale jeśli konflikty będą się powtarzać, jeśli każda reforma będzie wymagać wielomiesięcznych targów, to w tę polityczną lukę opozycja kiedyś wkroczy z sukcesem. Z konfliktem Andrzeja Dudy z Jarosławem Kaczyńskim – bo między bajki włóżmy demonizację w tym sporze Zbigniewa Ziobry – jest jak z wieloma konfliktami w rodzinie. Niegaszone mogą niszczyć. Rozładowywane z odrobiną przezorności po obu stronach mogą stworzyć nowe modus vivendi.

Projekt prezydencki z poprawkami PiS – jeśli nie dojdzie do kolejnych zadrażnień – może być przyjęty przez Sejm i Senat już po Zaduszkach.

Wtedy na horyzoncie pojawi się projekt reformy służb specjalnych i znacznie bardziej drażliwy – projekt dekoncentracji mediów. Prezydent miał w wypadku tego ostatniego zadeklarować jedynie, że będzie się „przypatrywać" propozycjom PiS. Na horyzoncie kolejny test z prawicowej cohabitation.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Z Januszem Śniadkiem, posłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Petru powinien zjeść swój dyplom

MACIEJ PIECZYŃSKI: Nowoczesna protestuje przeciwko zakazowi handlu w niedziele. Myśli pan, że akcja pod hasłem: „Kupuję, kiedy chcę!" uratuje notowania partii Petru w wielkomiejskim elektoracie?

JANUSZ ŚNIADEK: Nie ma cienia wątpliwości, że akcja pana Petru to rozpaczliwa próba ratowania topniejącego poparcia. Argumenty, którymi w tej sprawie posługuje się szef Nowoczesnej, są dla mnie równie nieprawdziwe i śmieszne jak te, które kilka miesięcy temu z marsową miną wygadywał na temat tegorocznego budżetu. Dzisiaj wyniki gospodarcze są tak dobre, że Petru, który wówczas prognozował katastrofę, powinien zjeść swój dyplom i zapaść się pod ziemię ze wstydu. Teraz będzie podobnie. Kiedy ograniczenia handlu w niedziele wejdą w życie i okaże się, że nie spowodowały ani trzęsienia ziemi, ani zaćmienia słońca, „proroka" Petru czeka kolejna kompromitacja. Tym zaś przeciwnikom planowanych zmian, którzy twierdzą, że uderzą one w wolność konsumenta, odpowiedziałbym tak: wolność każdego z nas kończy się tam, gdzie zaczyna się zniewolenie drugiego człowieka.

Dziwnie słyszeć tę liberalną zasadę w ustach związkowca.

Stawką tych zmian jest wolność blisko miliona osób zatrudnionych w handlu. Postulat wolnych niedziel paradoksalnie nawiązuje do sierpniowego postulatu wolnych sobót. To ironia losu i chichot

eprasa.pl 75e3f2809d

historii, że dziś wciąż musimy walczyć o zmiany w duchu ideałów Sierpnia 1980 r.

Petru przewiduje, że w efekcie tych zmian pracę może stracić około 100 tys. osób. Pan odpowiada, że to wszystko będzie zależało od obrotu.

Przeciwników ograniczenia handlu w niedziele pytam: czy z tego powodu zjemy mniej chleba albo kupimy mniej butów? Bzdura, zrobimy zakupy w inne dni. Jako Solidarność prowadziliśmy negocjacje z przedstawicielami wielkich sieci handlowych i wiemy, że ci którzy są gotowi zamknąć sklepy w niedzielę, obawiają się nie spadku obrotów, tylko nieuczciwej konkurencji. Stawiają warunek: wszyscy albo nikt.

A czego w takim razie pańskim zdaniem obawia się lider Nowoczesnej?

Ryszard Petru martwi się jedynie o swoje spadające notowania. Dlatego usilnie próbuje zaistnieć, wygadując w efekcie coraz większe głupoty.

Za swoją akcję dostało mu się nawet od lewicowych środowisk antypisowskich, które z reguły same krytykują socjalne pomysły PiS. „Panicz Petru kupuje, kiedy chce" – ironizuje „Krytyka Polityczna".

„Krytyka Polityczna" stara się zachować pozory swojej tożsamości ideowej. Wiarygodność pana Petru jest żadna.

... że politycy Nowoczesnej dużo nagrzeszyli?

... że totalnej opozycji odebrało polityczny rozum.

Grzegorz Schetyna zapowiedział, że PO będzie koordynować antyrządowe protesty. Co pan, jako związkowiec, działacz społeczny, sądzi o tym pomyśle? Upolitycznienie protestów to szansa na ich sukces czy gwóźdź do trumny opozycji?

Myślę, że to kolejny przyczynek do naszej dyskusji o rozumie w polityce. Komunikat pana Schetyny to oczywisty dowód na to, że w przypadku ulicznych protestów nie mamy do czynienia z żadnym spontanicznym ruchem społecznym czy obywatelskim. Po raz kolejny okazuje się, że antyrządowe marsze to inspirowane przez partie polityczne działania, których celem jest torpedowanie poczynań obozu władzy.

Notowania PiS wciąż rosną. W jednym z ostatnich sondaży macie dwa razy większe poparcie niż PO. Czy to wszystko zasługa rozdawnictwa, programu „500+", którym, jak to określa antypisowska prasa, przekupiliście Polaków?

Jestem przekonany, że efekt „500+" powoli słabnie. Owszem, bezpośredni beneficjenci programu będą go nadal doceniać, ale w powszechnej świadomości społecznej powoli już zaciera się pamięć o tym, że PiS wprowadził takie właśnie rozwiązanie. Tak czy inaczej, nie da się tak wysokiego poparcia zbudować wyłącznie na jednym programie społecznym. Według mnie Prawo i Sprawiedliwość zjednuje sobie ludzi swoją żelazną konsekwencją w dotrzymywaniu słowa i realizacji programu wyborczego. Wiek emerytalny, sześciolatki i reforma oświaty, wzrost płacy minimalnej itd., a teraz reforma wymiaru sprawiedliwości. To jest pewne novum w polskim życiu politycznym, że oto pojawił się rząd, który poważnie traktuje swoje kampanijne deklaracje i stopniowo, sukcesywnie realizuje wyborcze obietnice. Znaczące uszczelnienie budżetu umożliwia wielomiliardowy transfer socjalny i ograniczanie ubóstwa. Wreszcie przyszła kolej na niesłychanie potrzebną, choć niezmiernie trudną reformę wymiaru sprawiedliwości, która wywołała napięcia społeczne oraz pomiędzy Pałacem Prezydenckim a rządem.

To jest pewne novum w polskim życiu politycznym, że oto pojawił się rząd, który poważnie traktuje swoje kampanijne deklaracje i sukcesywnie realizuje wyborcze obietnice

Może więc powinien obawiać się także konkurencji ze strony Piotra Misiły, który chce startować na przewodniczącego partii?

Pan Misiło i pan Petru są siebie warci. W zasadzie to jest dla PiS wielki dar, że opozycja ma tak „mądrych" przywódców... To bardzo ułatwia nam funkcjonowanie w polityce.

Ma pan okazję, by podziękować liderom opozycji za lekką, łatwą i przyjemną rywalizację.

(śmiech) Jeśli komuś podziękuję, to Panu Bogu. Jak mówi stare porzekadło, „Jeśli Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu rozum odbiera". Mam więc nieodparte wrażenie, że...

„Prezydent nie utracił mojego zaufania, jednocześnie wziął na siebie odpowiedzialność za dalsze losy absolutnie koniecznej reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości" – tak w sierpniu komentował pan prezydenckie weta. Prezydent się z tej odpowiedzialności wywiązał?

Dziś jeszcze za wcześnie na takie oceny. Zwłaszcza że prezydent nie wypowiedział się jeszcze na temat propozycji poprawek do jego projektów ustaw. Na pańskie pytanie będzie można wyczerpująco odpowiedzieć dopiero po tym, jak prezydent podpisze uchwalone ustawy. Właściwą odpowiedzią będą dopiero praktyczne skutki wdrażania tych reform. Przyznam, że dla mnie miłym zaskoczeniem była prezydencka propozycja wprowadzenia instytucji skargi nadzwyczajnej. To ciekawa koncepcja, dająca szansę naprawienia wielu krzywd, jakie zwykłym Polakom wyrządzili ludzie w togach z łańcuchami i orłem na szyi. Naprawianie krzywd i zarazem przestroga, że nie ma orzeczeń nieodwracalnych, w połączeniu z izbą dyscyplinarną to świetne rozwiązania systemowe. Jednak niewiele dadzą bez zmian personalnych. Mądrzy i uczciwi ludzie nawet w złym i głupim otoczeniu mogą zdziałać dużo dobrego. Ale niestety, nawet najlepszy system nic nie pomoże, jeśli nadal będą go tworzyć ludzie złej woli. Bez odsunięcia „nadzwyczajnej kasty" nic się nie zmieni.

Rozumiem, że rewolucja personalna jest pańskim zdaniem warunkiem sine qua non powodzenia reformy.

Bez zmian personalnych reforma sądownictwa nie ma sensu. Z drugiej strony bzdurą są insynuacje, że istnieją jacyś „pisowscy" sędziowie. Twierdzenie, że każdy awansowany w ostatnim okresie jest zwolennikiem PiS, jest równie niemądre jak posądzenie, że wszyscy sędziowie, którzy uzyskali awans zawodowy w latach rządów PO, to sędziowie platformerscy. To absurdy, których nie sposób bronić. Uważam, że przełamanie skostniałych sieci powiązań, wymiana kadr i otwarcie drogi kariery dla młodych prawników to warunek konieczny naprawy wymiaru sprawiedliwości. Odwołam się do „Dziadów" Mickiewicza: „Nasz naród jak lawa, z wierzchu

eprasa.pl 75e3f2809d

zimna i twarda, sucha i plugawa, lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi, plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi". Odsuńmy więc na bok skostniałą skorupę nadzwyczajnej kasty i sięgnijmy po młodych i ambitnych ludzi, którzy chcą coś dobrego zrobić dla Polski.

„Nie chcę się zajmować sporami pokoleniowymi między czterdziestolatkami" – tak prezes Kaczyński skwitował konflikt na linii prezydent Duda – minister Ziobro. Lekceważenie tego konfliktu nie jest przypadkiem ryzykowne?

Ryzykowne jest, kiedy emocje i relacje osobiste przesłaniają doniosły interes państwa.

Pije pan do prezydenta czy do ministra sprawiedliwości?

Tym razem daję upust swoim emocjom oraz niepokojom bardzo wielu Polaków. Wierzę, że wszyscy uczestnicy tego sporu są państwowcami i mają na tyle silne poczucie odpowiedzialności za Polskę, za misję, której się podjęli, że nie pozwolą na to, aby ten personalny konflikt wziął górę nad interesem kraju. A w interesie Polski jest, by się w tej sprawie porozumieć i zrealizować do końca reformę wymiaru sprawiedliwości. Najgorsze, co by mogło się stać, to zahamowanie tak potrzebnych zmian. Nie chcę więc swoimi wypowiedziami wzmacniać antagonizmów. Przeciwnie: uważam, że odpowiedzialność za państwo wymaga znalezienia dobrego kompromisu.

A czy uda się PiS znaleźć kompromis z Jarosławem Gowinem? Pojawiają się różne głosy na temat jego planów politycznych: a to sojusz z prezydentem przeciw PiS, a to nowa partia w obozie dobrej zmiany, a to nowa partia z wolnościowcami poza obozem dobrej zmiany.

Taka jest natura polityki, że zawsze znajdą się osoby lub środowiska, które nie zadowalają się swoim stanem posiadania i próbują ten stan poszerzać.

Zarzuca pan pazerność wicepremierowi Gowinowi?

Proszę mnie tak nie podpuszczać. Mówię ogólnie o ludzkiej naturze. To normalne, że w polityce funkcjonują ludzie ambitni. Jeśli polityk ma poczucie misji i chce ją realizować, to zabiega o jak najlepszą pozycję do walki o swoje cele. Problem polega na tym, aby umieć pogodzić te ambicje z interesem całej formacji. Ufam w rozsądek pana Gowina.

Gdyby od pana zależał ostateczny kształt reformy sądownictwa, to co by pan zaproponował?

Nie do końca przekonuje mnie ogólny duch zmian zaproponowanych przez pana prezydenta. Solą demokracji jest spór, którego efektem powinno być przyznanie racji większości. Propozycja, by zwiększyć próg przy wyborze sędziów do trzech piątych, to w pewnym sensie zakwestionowanie demokratycznych rozwiązań. Przecież Platforma z PSL, również mając jedynie zwykłą większość, przegłosowywały swoje ustawy, nie oglądając się ani na opozycję, ani na głos obywateli. Dlaczego więc my mamy uginać się pod zarzutami, że wykorzystujemy parlamentarną większość do przeprowadzania zmian, które obiecaliśmy swoim wyborcom? To absurd, właściwie podważanie zasad demokracji. Pomimo to PiS ustąpił panu prezydentowi w kwestii zasady trzech piątych. Moim zdaniem najważniejsze, aby ostateczne zapisy reformy wymiaru sprawiedliwości uniemożliwiały opozycji blokowanie wyboru sędziów. Jeśli dojdzie do klinczu, nie ruszymy z miejsca, ale jestem optymistą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 15.10-20.12.2017 r.
25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Turnus Świąteczny 20-27.12 | Turnus Noworoczny 27.12 - 03.01

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 75e3f2809d

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli PiS nie zmarginalizuje swojego „świrowiska", to zostanie zepchnięty na równię pochyłą prowadzącą do upadku

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

PiS i jego świrowisko

Kiedy Jerzy Targalski wyjaśnił publicznie, dlaczego jego zdaniem prezydent zawetował „poselską" reformę wymiaru sprawiedliwości, wydawało się, że narracja radykalna doszła już do ściany. Nie należałem do tego grona – radykalizm ma to do siebie, że zawsze pojawia się ktoś, kto zdemaskuje spisek sięgający jeszcze głębiej.

Nie ma powodu zajmować się teoriami spiskowymi, kiedy głoszone są one przez ośrodki czy ludzi o marginalnym znaczeniu. Teza, że Andrzej Duda został „sprofilowany" przez WSI, rozpoznany jako „najsłabsze ogniwo" dokonującej się rewolucji i zmanipulowany za pomocą satyrycznego programu „Ucho prezesa" tak, by bronił „ubekistanu", blokując reformę sądownictwa i inne zmiany, zwróciła uwagę, bo wygłosił ją wykładowca AON i publicysta wpływowy w obozie władzy, choćby jako współtwórca trzech tomów „Resortowych dzieci".

BŁĄD PREZESA?

Bloger, występujący w sieci jako Aleksander Ścios, może być uznany za człowieka w tych środowiskach równie wpływowego. Wśród dziennikarzy ugruntowana jest opinia, że pod tym pseudonimem występuje jeden z bliskich współpracowników Antoniego Macierewicza, ale nie ma na to żadnych dowodów. Opinia opiera się tylko na zbieżnościach w wielu punktach i na fakcie, że zamieszczane od wielu lat teksty Ściosa bazowały zwykle na informacjach, obecnie to wiemy, że prawdziwych, które zaczerpnięte mogły zostać jedynie z dokumentów opatrzonych gryfem tajności.

Pozwolę sobie na cytat. Początek wydaje się typowy, ale dalej…

„Objaśnianie obecnych procesów i relacji na linii Duda – PiS w kategoriach jakichś »odmiennych koncepcji«, »prawniczych dylematów« lub nawet »konfliktów pokoleniowych« jest kpiną z ludzi rozumnych i wystawia jak najgorsze świadectwo autorom takich dyrdymałów. Nie ma też żadnych podstaw, by rozdzielać (jak czynią to propagandyści) zachowania prezydenta od intencji pana Kaczyńskiego. To on ponosi całkowitą odpowiedzialność za »wybudzenie« Andrzeja Dudy, za prezydencką frondę i mistyfikację »dobrej zmiany«. Nie ma asymetrii w tych postawach. Jest za to kolejna klęska »złożonej strategii« szefa PiS, który wzorem użytecznych głupców z lat komuny mógł uwierzyć, że idąc na »kompromis« z bestią, uda się stworzyć lub ocalić dobro.

To powinni już dostrzec nawet wyborcy PiS".

Nie czują się państwo zaskoczeni? Myślę, że powinni państwo się tak czuć. Tekst blogera mającego znaczący wpływ na sposób myślenia żelaznego elektoratu partii rządzącej łamie obowiązujące dotąd w PiS tabu. Widać to już w cytowanym fragmencie, a jeśli ktoś zada sobie trud lektury całego tekstu, to nie będzie miał żadnych wątpliwości: także Prezes nie jest czysty! Jest „ojcem" prezydentury „śpiocha" podesłanego mu przez „akuszerów" z WSI, bo zawarł układ, na mocy którego za wprowadzenie do Belwederu gwaranta interesów ubeckiej mafii owa mafia pozwoliła mu na wygranie wyborów i objęcie rządów.

Co prawda Ścios pisze o tym tylko w kategorii „błędu". Trudno jednak nie dodać: na razie. Na razie wyznawcy muszą oswoić się z myślą, że Prezes mógł zawrzeć taki tajny pakt z ubecką bestią, powiedzmy, że w dobrych intencjach. Kiedy już się oswoją z myślą, że Prezes mógł popełnić błąd, przyjdzie naturalną koleją wątpliwość, czy aby na pewno był to błąd, a nie, powiedzmy wprost, zdrada.

SPADŁY MASKI

Najciekawsze jest w tym to, że Ścios wyprowadza logiczne konsekwencje z linii przyjętej przez radykałów występujących jawnie jako żelazna gwardia PiS-owskiej rewolucji, szczególnie w jej awangardzie medialnej. Wszystkie elementy narracji, do której Ścios dopisuje ujawniającą „porażającą prawdę" pointę, w mediach braci Karnowskich i Tomasza Sakiewicza

eprasa.pl 75e3f2809d

funkcjonują już bowiem jako „oczywiste oczywistości", choć zapewne jeszcze kilka miesięcy temu byłyby odrzucane z gniewem. Że prezydenckie weto to próba powtrzymania „dobrej zmiany" i świadoma ochrona ustrojowych fundamentów „ubekistanu", to rzecz dla odbiorców tych mediów już udowodniona. Podobnie jak to, że tłumaczenie prezydenckich wet, i w ogóle wszelkich odstępstw od jedynie słusznej linii rewolucji, jakimiś argumentami merytorycznymi to „dyrdymały" i „kpina z ludzi rozumnych". Ludzie „rozumni" wiedzą, jakie siły „naprawdę" za tym wszystkim stoją. Ścios idzie tylko dalej – tam, gdzie autorzy mniej radykalni i działający pod nazwiskiem dojść się jeszcze nie odważają, zatrzymując się na wskazywaniu „złych doradców".

Demaskacja Ściosa jest oczywiście bardzo na przyszłość. Na razie jeszcze teza o błędzie (co dopiero zdradzie) samego Kaczyńskiego i zawarciu przez niego tajnego paktu z bestią „nie chwyci". Wydaje się jednak, że to teza na czas (który w końcu przecież musi nadejść), gdy przyjdzie skoczyć sobie do gardeł o następstwo po Komendancie. Wtedy narracja – wyjaśniająca, dlaczego rewolucja dotąd nie została dokończona i kto może ją doprowadzić do zwycięstwa – będzie jak znalazł i będzie już miała swoich przekonanych wyznawców.

Skąd teza, że walka ta będzie się toczyć właśnie pod hasłem „dokończenia" rewolucji? O to można być spokojnym. Żadna rewolucja nigdy nie została dokończona, bo z zasady cele rewolucyjne są jak stale oddalający się horyzont. Dlatego też w każdej rewolucji musi nadejść ta chwila, gdy jakiś Danton mówi: już dość, wygraliśmy, czas pożywać owoce sukcesu i gdy jakiś Robespierre skacze mu do oczu, demaskując w nim wroga i wzywając w sukurs masy. O Stalinie można powiedzieć wszystko, co złe, poza jednym – głupi nie był. Teza, że walka klas musi zaostrzać się tym bardziej, im bliższe jest ostateczne zwycięstwo, jest genialną syntezą logiki wszystkich rewolucji.

A część PiS widzi „dobrą zmianę" nie jako normalny w demokracji proces wprowadzania reform przez władzę, która wygrała wybory i działa w ramach mandatu z nich wynikającego, ale właśnie jako rewolucję. Rewolucję, w której podwójne zwycięstwo wyborcze było tylko początkiem – ostatecznego sukcesu zaś na razie nawet nie widać. Widać tylko etapy, których szczęśliwe zakończenie jest „warunkiem", aby „iść dalej". Nie pójdziemy dalej z reformami, jeśli nie zreformujemy Trybunału Konstytucyjnego. Jeśli nie usuniemy przeciwników z KRS i Sądu Najwyższego. Jeśli nie wymienimy obsady sądów wojewódzkich, rejonowych, okręgowych. Jeśli nie zrepolonizujemy mediów. Jeśli nie odzyskamy samorządów…

A kiedy to zrobimy, też nie pójdziemy dalej, bo okaże się, że – tak jak możemy to obserwować w państwowych mediach – musimy się ciągle cofać i usuwać z opanowanych już bastionów zdrajców, którym w międzyczasie spadły maski i okazali się wrogami.

Nie piszę tu o żadnej obiektywnej prawidłowości, która by się musiała spełnić – w historii bywało z rewolucjami raz tak, raz tak: Robespierre zgilotynował Dantona, potem sam dał głowę i rewolucja pożarła się sama, ale następcy nie popełnili tego błędu i Stalin w porę usunął Trockiego, a Hitler Röhma, wstrzymując proces samopożerania. Piszę o mentalności rewolucjonistów, która ujawniła się w chwili, gdy – to też prawidłowość – w kręgach władzy zapanowało przekonanie, że „ancien régime" nie stanowi już zagrożenia i czas zabrać się za „wroga wewnętrznego".

Skoro sondaże „totalnej opozycji" spadły na pysk, to wróg wewnętrzny jest konieczny, żeby podtrzymać temperaturę sporu, mobilizację i zwartość szeregów. Stąd tezy godne w swej logice demaskacji Ściosa, jak choćby głoszona przez braci Karnowskich teza o „rekonstrukcji salonu", do którego dołączają (może „subiektywnie" nie dołączają, ale „obiektywnie" już dołączyły) osoby, które wprawdzie wspierały PiS w czasie, gdy przegrywał on osiem kampanii wyborczych po kolei i wydawał się równie odległy od sukcesu, jak dziś Mateusz Kijowski, ale teraz dały się przekupić. Nie pytajcie o logikę demaskacji, że tacy zdrajcy (nie da się ukryć, że pada tu moje nazwisko) nie byli łasi na frukta salonu wtedy, gdy salon był potężny i rzeczywiście mógł je dać, a sprzedali się salonowi upadłemu, pozbawionemu wpływów i kasy (której, nie wymawiając, Karnowscy przyjmowania od nowej władzy na analogicznych zasadach jak salon od dawnej bynajmniej nie odmawiają). Demaskatorzy mają na to odpowiedź. „W tej walce obóz IV RP jest wciąż relatywnie słabszy" – oznajmia wprost Jacek Karnowski. Obóz jest słaby, oblegany ze wszystkich stron, a zdrajcy, krytykując posunięcia rządu i partii, dołączają do hord napastników.

Jak można uważać swój obóz za „relatywnie słaby", gdy ma on Sejm, Senat, prezydenta, media państwowe i już prawie wszystko, co można było „odzyskać"? Tak samo, jak można pisać, że Andrzej Duda wygrał wybory dzięki temu, iż pozwoliły na to WSI, a pozwoliły, ponieważ Jarosław Kaczyński zawarł z nimi kapitulancki układ. Przecież gdyby WSI na to nie pozwoliły, to ani Duda, ani PiS by wygrać wyborów nie mogli. Dyrdymały, że miliony Polaków zagłosowały sobie, na kogo chciały, to kpina z ludzi rozumnych.

Obóz IV RP, choćby nie wiem jak urósł, zawsze musi być słaby, otoczony przez przeważające siły wroga i na dodatek osłabiany zdradą „rozkraczonych", bo tylko wtedy można podtrzymywać histerię, zwierać szeregi, apelować do wyznawców o jeszcze większą ofiarność i jeszcze gorętsze poświęcenie, last but not least – liczyć na ich pieniądze. I tylko dzięki temu można będzie, gdy już utrzymywana w permanencji rewolucja znowu pozostanie niedokończona, wskazać, przez kogo tak się stało.

DOKĄD TO ZAPROWADZI PIS

Nigdy jeszcze nie ujawnił się z taką mocą wewnętrzny spór w PiS, a szerzej – w całym obozie tradycjonalistycznym – pomiędzy tymi, którzy wyznają logikę rewolucji, a tymi, którzy wyznają logikę demokracji. Jednych i drugich połączyła wcześniej świadomość, że Polska nie może pozostawać „państwem teoretycznym", rządzonym na sposób latynoski przez rodzimy odpowiednik „partii instytucjonalno-rewolucyjnej", oraz zgoda co do podstawowych zmian. Jednak wizja, co robić dalej, jest krańcowo odmienna. Jedni myślą w kategoriach: „Jaka Polska?", drudzy: „Czyja Polska?". Pierwsi chcą budowy trwałych instytucji, zdolnych sprawnie funkcjonować także po ewentualnej zmianie władzy. Drudzy nie potrafią myśleć o niczym innym niż usuwanie z instytucji „onych" i przejmowanie ich przez „naszych", gwarantujących słuszny kierunek i dalsze „reformowanie".

Partia rządząca ma dwie możliwości. Albo swoje „świrowisko" zmarginalizuje, albo da mu się zepchnąć na równię pochyłą wykrywania i demaskowania kolejnych odchyleń, wypaczeń, spisków oraz zdrad, a także czyszczenia i zwierania szeregów, które w dalszej perspektywie obrzydzą PiS wyborcom i zadecydują o jego upadku. Logika rewolucji nie daje się bowiem pogodzić z logiką demokracji, a paliwa dla rewolucji w Polsce, na szczęście, nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Łukasz Warzecha

Misiło chce pokonać Petru, ale nie wiadomo, czy jego wizja jest lepsza, bo wizja obecnego lidera jest nieznana. A w PO mamy „młodych", którzy nie potrafią pokonać Schetyny

Rekord Guinnessa – 100 meczów, 336 setów, 5628 punktów, czyli 17 godzin i 58 minut gry w squasha. Oto życiowe osiągnięcie rywala Ryszarda Petru w walce o przywództwo w Nowoczesnej. Piotr Misiło, były członek Unii Wolności, a potem PO, ustanowił rekord w czerwcu 2015 r. I nie wiadomo, dlaczego specjalnie się nim nie chwali. A przecież to jest jakiś konkret, w przeciwieństwie chociażby do przegranych w 2006 r. wyborów na burmistrza Polic. Ba, to konkret w porównaniu nawet z osiągnięciami obecnego przewodniczącego.

Bo gdy idzie o obecnego lidera partii, to nie mamy pewności, czy jest dobry w czymkolwiek. Wiemy na pewno, z czym radzi sobie średnio: z językiem polskim, historią, z matematyką i ekonomią. Być może pan Ryszard ma jakiś ukryty atut, którego nie zdążył jeszcze w ciągu dwóch lat ujawnić. Może ta wunderwaffe zostanie użyta właśnie w starciu z Piotrem Misiłą.

Ten bowiem oznajmił, że ma inną wizję ugrupowania niż obecny lider. To stwierdzenie o tyle śmiałe, że nikt do końca nie wie, jaka jest wizja samego pana Ryszarda. Może na tym polega trik – żeby była to wizja możliwie niedookreślona, bo wtedy nikt z przekonaniem nie może twierdzić, że się z nią nie zgadza. A jednak jest jeden aspekt, w którym mistrz squasha Piotr Misiło wyraźnie zaznacza swoje odrębne stanowisko. Stwierdza mianowicie, że jego celem jest stworzenie dużej koalicji mającej na celu zwycięstwo w wyborach i pokonanie PiS.

Tak się jednakowoż znów składa, że nie wiadomo do końca, czy faktycznie jest to stanowisko odrębne od stanowiska Ryszarda Petru, gdyż plany porozumienia Nowoczesnej z innymi partiami opozycyjnymi ulegały w ciągu ostatnich dwóch lat wielokrotnym fluktuacjom i bardzo trudno wyśledzić, na jakim są obecnie etapie. W każdym razie nikt nigdy nie powie-

Piotr Misiło (z prawej) chce przejąć władzę w Nowoczesnej Ryszarda Petru FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

Nowa wspaniała opozycja

eprasa.pl 75e3f2809d

dział – ani w PO, ani w Nowoczesnej – że nie ma zamiaru takiej koalicji zawierać. Wręcz przeciwnie! Można nawet podejrzewać, że formalnie wciąż istnieje twór zwany Wolność, Równość, Demokracja, powołany w maju 2016 r., co triumfalnie ogłaszał ówczesny lider Komitetu Obrony Demokracji Mateusz Kijowski (tak, był taki jegomość). Miała to być jak najszersza koalicja sił opozycyjnych – od KOD właśnie przez Platformę, Nowoczesną, PSL po SLD i Zielonych (oraz organizmy tak egzotyczne jak Dom Wszystkich Polska czy Wolność i Równość).

Szukając śladów deklaracji przywódców Nowoczesnej i PO na temat różnych wspólnych inicjatyw, można się łatwo pogubić. Plany i propozycje były już najróżniejsze – od wspólnych prawyborów kandydatów do wyborów samorządowych po jeden klub w Sejmie. Za każdym razem kończyło się na słowach, rzecz bowiem w tym, że wspólna inicjatywa jest dobra o tyle, o ile przemożny wpływ na nią oraz perspektywę późniejszej dominacji ma ten, kto ją proponuje. Innymi słowy – zróbmy jeden klub w Sejmie na zasadach absolutnej równości, ale szefem będę ja.

PROGRAM TRZECH SŁÓW

Ale na tym nie koniec. Piotr Misiło napisał bowiem do członków partii list, w którym zaanonsował swą kandydaturę, a także zawarł program na czas po obaleniu kaczystowskiego reżimu. List mieści się na jednej kartce, a więc – powiedzmy sobie szczerze – również zawarty w nim program nie jest przesadnie szczegółowy. A dokładnie – składa się z trzech słów.

„Gospodarka, praworządność, samorząd. To filary mojej propozycji dla Nowoczesnej i Rzeczypospolitej na najbliższe lata. Staną się one realnym programem, tylko gdy uwolnimy nasz kraj od rządów obecnej »złej zmiany«. Wiem, jak to zrobić" – oznajmia Piotr Misiło (interpunkcja oryginalna). Czyli na razie trzeba się ograniczyć do tych trzech słów kluczy, ale gdy tylko PiS zostanie pokonany dzięki połączonym intelektom mistrza squasha i lidera PO, ktokolwiek nim będzie – okaże się, jaka w nich tkwi głębia.

Załóżmy, że hasło „gospodarka, praworządność, samorząd" porwie członków ugrupowania podczas listopadowych wyborów władz. Wówczas przed ewentualnym przewodniczącym Misiłą stanie jeszcze jeden problem. Otóż jego partia nazywa się Nowoczesna Ryszarda Petru. Można sobie wyobrazić, że z wdzięczności za wysiłek ojca założyciela ta nazwa pozostanie niezmieniona. Byłaby to więc Nowoczesna Ryszarda Petru pod zarządem Piotra Misiły. Coś jak Wojewódzki Małopolski Urząd Mierzenia Poziomu Opadów w Krakowie z siedzibą w Nowym Sączu, filia w Pcimiu. Możliwe też, że nazwisko amatora egzotycznych zimowych wakacji po prostu z nazwy zniknie, ale możliwe też, że nowy lider ulegnie pokusie lub uzna, że na tym polega tradycja jego ugrupowania, i będziemy mieć Nowoczesną Piotra Misiły.

Warto docenić odwagę i determinację Misiły, który zdecydował o rzuceniu wyzwania panu Ryszardowi wkrótce po tym, jak przegrał wybory na przewodniczącego zachodniopomorskich struktur partii. Jego nazwisko nie pojawiło się także w przeprowadzonym w sierpniu sondażu popularności kandydatów na przywódców, przeprowadzonym wśród wyborców poszczególnych partii dla portalu OKO.press. Wśród wyborców Nowoczesnej Petru zajął dopiero trzecie miejsce, za Katarzyną Lubnauer i Kamilą Gasiuk-Pihowicz.

Czyja zaś będzie Platforma Obywatelska? Tutaj w obliczu wyborów władz ugrupowania, co nastąpi również w listopadzie – ale nie obejmie przewodniczącego, sprawującego mandat od stycznia ubiegłego roku – na razie nie objawił się żaden Misiło, w każdym razie nie pojedynczy.

KTO MISIŁĄ PLATFORMY?

Być może mamy do czynienia z platformerskim Misiłą zbiorowym w postaci tak zwanej frakcji młodych. Ci „młodzi" w sporej części nie spełniają już nawet peerelowskiego kryterium przynależności do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (35 lat), ale najwyraźniej czują się młodzi duchem. Jedna z najbardziej rozpoznawalnych przedstawicielek tej frakcji, znana wokalistka (porywające wykonanie utworu „Nie pucz, kiedy odjadę") Joanna Mucha, stwierdziła ostatnio: „Platforma Obywatelska to nie jest Grzegorz Schetyna. PO to spora grupa ludzi, których będę chciała przekonać do tego programu". Mucha miała na myśli program, o którego przygotowaniu – bez konsultacji z kierownictwem PO – poinformowała niedawno. Podobnie jak w przypadku hasłowego programu Misiły także tutaj nie wiemy, co miałby on zawierać, ale – jak można się domyślać – jego cechą wyróżniającą byłoby, że zostanie napisany przez „młodych". Zatem prawdopodobnie znajdziemy w nim problemy tak ważkie dla młodych Polaków, jak związki partnerskie, aborcja czy walka z mową nienawiści. Do grupy „młodych" należą też znawczyni literatury rosyjskiej Kinga Gajewska czy Michał „Kochany panie marszałku" Szczerba, jednak najbardziej wybijającym się posłem jest Borys Budka, który chyba naprawdę uwierzył w swoją charyzmę i posłannictwo dziejowe. We wspomnianym już sondażu dla portalu OKO.press z sierpnia Budka zdecydowanie wygrywa wśród wyborców PO (28 proc.), podczas gdy Schetyna ląduje dopiero na czwartym miejscu (mizerne 13 proc.).

Paradoksalnie m.in. te wyniki dla „młodych" z PO mogą okazać się zgubne. Schetyna, stary wyga, który wciąż jeszcze zachował jakąś zdolność do politycznych mordów, wie, że „młodym" – w tym Borysowi Budce – brakuje nie tylko doświadczenia, lecz także cierpliwości oraz pokory. Chcieliby wszystko już, teraz, natychmiast, a dotychczasowego lidera uważają za zgreda, który stoi na drodze rozwojowi formacji. I to będzie sprzyjało podejmowaniu nieprzemyślanych, chaotycznych działań, dzięki czemu Schetyna nie będzie miał kłopotu z zastawieniem na „młodych" pułapek. Rzecz w tym, że ani ów zgred, ani „młodzi" nie mają żadnego pomysłu na odzyskanie rozpędu przez PO. Są wraz ze swoją partią w głębokiej… powiedzmy: defensywie. Przy czym zgred wie przynajmniej, jak wprowadzić swoje ugrupowanie w tryb przetrwania ciężkich czasów, podczas gdy jego narwani rywale nawet tego nie umieją.

Dla ludzi dzisiejszej Platformy niegdysiejszy znakomity słuch społeczny Donalda Tuska jest legendą z czasów arturiańskich. Dziś mogą tylko stać z rozdziawionymi ustami, patrząc na wciąż podnoszące się notowania partii Jarosława Kaczyńskiego – która to sytuacja może się oczywiście dla tej ostatniej również okazać zgubna za sprawą popadnięcia w gnuśność, ale to temat na inną rozmowę.

Wyobraźmy sobie, że wybory na lidera Nowoczesnej wygrywa squashista Misiło. Schetyna ma więcej spokoju, bo kadencja przewodniczącego może trwać – w zależności od decyzji Rady Krajowej – od dwóch do czterech lat, ale puszczając wodze fantazji, możemy wyobrazić sobie na czele PO przenikliwego, błyskotliwego i charyzmatycznego Borysa Budkę w roku, powiedzmy, 2019. Czy taki dream team – Misiło i Budka – nie poprowadziłby obu partii, najlepiej w koalicji, do druzgocącego zwycięstwa? Czy w ogóle można mieć wątpliwości?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Kapłan na czasy trudne

Tomasz P. Terlikowski

Ojciec Dolindo Ruotolo szturmem zdobył serca polskich katolików. A wszystko za sprawą książki Joanny Bątkiewicz-Brożek i wytrwałości wydawnictwa Esprit

FOT. ARCHIWUM

Na ręku od pół roku noszę niebieską opaskę z napisem: „Jezu, Ty się tym zajmij". Od czasu do czasu słyszę pytanie, po co mi ona, i odpowiadam, że to przypomnienie najprostszej, a także niezwykle skutecznej modlitwy, której nauczyłem się dzięki o. Dolindo Ruotolo. Te słowa, proste, ale bardzo konkretne, wielokrotnie przypominały mi, że nie jestem Bobem Budowniczym i że sam nie dam rady. Nie dam, bo jestem człowiekiem, który – tak jak każdy – potrzebuje pomocy. Wypowiedzenie ich zaś zazwyczaj pomagało załatwić najtrudniejsze nawet sprawy. Skuteczność zaś tej niezwykłej, bo bardzo prostej modlitwy potwierdza życiorys tego, który nauczał jej najpierw Włochów (a konkretniej południowców z Neapolu), a teraz naucza Polaków.

Gdy ma się pisać o o. Dolindo Ruotolo, nie wiadomo, od czego zacząć. Ten włoski kapłan miał życiorys tak niewiarygodny, że trudno wybrać to, czym zająć się najpierw.

BIOGRAFIA JAK HAGIOGRAFIA

Jego ojciec był nauczycielem i wykładowcą matematyki, ale w domu była przeraźliwa bieda, bo był skąpy, a do tego okrutny wobec dzieci. Ciągły głód, poniżanie przez ojca sprawiały, że dzieci, tak było przynajmniej w przypadku małego Dolindo, nie rozwijały się w tempie odpowiednim, a nawet były – tak mówił sam o sobie późniejszy kapłan – opóźnione w rozwoju. I wtedy, w czasie ufnej modlitwy chłopaka marzącego o kapłaństwie, wkracza do akcji sam Bóg. To On sprawia, że nieradzący sobie z żadnym przedmiotem chłopiec nagle zaczyna mieć niezwykłe zdolności, ale… tylko do przedmiotów, które będą mu potrzebne w przyszłości do kapłaństwa. Innych nie jest w stanie opanować nadal.

Kapłanem Dolindo ostatecznie został i początkowo był uwielbiany zarówno przez własne zgromadzenie (był księdzem misjonarzem), jak i wiernych. Dość szybko jednak na skutek nieprawdziwych oskarżeń najpierw usunięto go ze zgromadzenia, a później zakazano mu w ogóle odprawiać mszy świętej, a nawet przystępować do komunii. Taki stan trwał wiele lat, a ks. Dolindo, wyśmiewany nawet przez najbliższych, nigdy się nie buntował. Gdy zakazano mu przystępowania do komunii, adorował Najświętszy Sakrament i trwał w Kościele i przy nim. Kochał Kościół i cierpiał z jego powodu. Dla wielu kapłanów to właśnie ten element jego biografii, wierność w odrzuceniu, jest najbardziej ważny, bo daje im nadzieję, gdy sami zderzają się z hierarchią lub niesłusznymi oskarżeniami.

To jednak nie wszystko. Gdy kapłan zostaje zrehabilitowany i może wreszcie powrócić do sprawowania obowiązków kapłańskich, zajmuje się pisaniem (dziesiątki tysięcy zapisanych stron), spowiadaniem, głoszeniem kazań. Wokół niego są tłumy ludzi, którzy dostrzegają w nim wielkiego mistyka i wprost mówią o cudach, jakie dokonywały się przez jego ręce. O czym mowa? O niezwykłym darze spowiadania (o. Dolindo był mniej surowy niż o. Pio, ale równie skutecznie pomagał im w rozprawieniu się z grzechem), o bilokacjach (jednoczesnym przebywaniu w różnych miejscach), o uzdrowieniach, mistycznych objawieniach i ekstazach w czasie mszy świętej, walce ze złym duchem i wreszcie o ostatnich latach wielkiej, osobistej

eprasa.pl 75e3f2809d

golgoty, cierpliwego niesienia własnej choroby. Jednym słowem – biografia jak z opowieści o średniowiecznych świętych, tyle że w książce pt. „Jezu, Ty się tym zajmij. O. Dolindo Ruotolo. Życie i cuda" jest udokumentowana zebranymi cierpliwie przez Joannę Bątkiewicz-Brożek słowami naocznych świadków owych cudów.

OJCIEC PIO NEAPOLU

We Włoszech ta historia, choć także robi wrażenie, nie jest jakoś szczególnie nietypowa. W XX w. podobne do o. Dolindo życiorysy mieli w tym kraju nie tylko o. Pio, lecz także choćby bł. Matka Speranza, która nie tylko codziennie miała objawienia Jezusa, lecz także potrafiła nakłonić Go do tego, by pozował on rzeźbiarzowi albo… by załatwił jej pieniądze konieczne do opłacenia budowy drogi krzyżowej w budowanym przez nią sanktuarium. Gdy wyczerpane były już wszystkie ludzkie środki, a dłużnicy zapowiadali, że przyjdą, by odzyskać swoje pieniądze, Matka Speranza klękała i się modliła. Kapłani i siostry byli przerażeni, a ona po prostu się modliła. – Jeśli Jezus zamówił drogę krzyżową, to On musi zapłacić – mówiła. I rzeczywiście po takiej modlitwie, gdy wyszła na moment ze swojej celi, po powrocie znalazła w niej równo ułożone paczki z nowymi banknotami. Historię tę, przebadaną w trakcie procesu beatyfikacyjnego, opowiadał mi jej bliski współpracownik, gdy odwiedziłem sanktuarium we Włoszech.

Takich świadectw jak z bł. Matką Speranzą czy o. Dolindo Ruotolo katolicy na całym świecie bardzo potrzebują. Dlaczego? Odpowiedź wydaje się prosta. Otóż są one odtrutką na suchy, zracjonalizowany do granic wytrzymałości katolicyzm, jaki od wielu dziesięcioleci serwują nam wychowani na protestanckiej demitologizacji i katolickim heideggeryzmie teologowie. Dla nich cuda są bajkami dla głupich dzieci, Bóg to postać odległa, obca ludzkim sprawom, jakby żywcem przeniesiona z filozofii deistów. Taki Bóg, nie ma co ukrywać, jest ludziom niepotrzebny, a do tego taki Jego obraz obcy jest Pismu Świętemu i całej tradycji Kościoła. Ludzie szukają więc innego postrzegania Boga. I znajdują je albo w ruchach charyzmatycznych, w nauczaniu wielu kapłanów i świeckich, którzy posługują we mszach o uzdrowienie, albo właśnie w życiorysach świętych kapłanów. Modlitwa za ich wstawiennictwem, która – sam wielokrotnie tego doświadczyłem – jest po prostu skuteczna, sprawia, że Bóg ponownie staje się bliski, a wiara realnie zmienia życie. Ojciec Dolindo jest jednym z takich wstawienników i przykładów niezwykłej bliskości Boga.

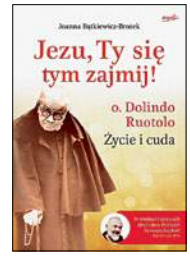

JOANNA BĄTKIEWICZ-BROŻEK „JEZU, TY SIĘ TYM ZAJMIJ. O. DOLINDO RUOTOLO. ŻYCIE I CUDA" ESPRIT

WZÓR KAPŁAŃSTWA W CZASACH TRUDNYCH

To jednak nie wszystko. Wydaje się, że o. Dolindo jest ważny także dla ogromnej rzeszy księży, którzy dostrzegają, że tożsamość kapłańska – w związku ze zmianami cywilizacyjnymi, demograficznymi, z laicyzacją, a także posoborową reformą w Kościele – ulega stopniowemu zatraceniu. Dla nich o. Dolindo Ruotolo jest niezwykłym wzorem tego, jak w zmieniającym się świecie, bez wsparcia przełożonych, a często wbrew nim, zachować głębię Chrystusowego kapłaństwa. I nie chodzi o jakieś odtwarzanie muzealnych wzorców ani grupy rekonstrukcyjne, ale o żywe doświadczenie wiary, mocy kapłaństwa, trudności związanych z ludzką stroną Kościoła, a także otwarcia na nowe potrzeby i wyzwania.

A mnie, pozwólcie na kilka słów osobistych, bo i mnie – tak jak setki tysięcy Polaków – o. Dolindo urzekł, szczególnie pociąga wielkie zaufanie tego neapolitańskiego kapłana do Boga. Jego najpiękniejszym wyrazem pozostaje przywołana już modlitwa: „Jezu, Ty się tym zajmij". Gdy czasem z żoną brakuje nam już sił, gdy mamy dość hałasu (przy pięciorgu dzieciach nie jest o niego trudno), niezałatwionych spraw (zajęć, nie tylko domowych, nam nie brakuje), piętrzących się problemów (któż ich nie ma?) i braku czasu, wówczas ta króciutka modlitwa przywraca nam właściwą hierarchię spraw i świadomość, że nie musimy troszczyć się o wszystko, bo jest ktoś, kto czuwa nad nami i kto rzeczywiście może się zająć tym, co nam nie wychodzi. I wiecie co? Dzięki tej modlitwie wiele spraw zaczyna się układać. Jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki albo – by ująć sprawę bardziej po katolicku – za sprawą Bożej Opatrzności. Za to jestem osobiście o. Dolindo wdzięczny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

„Pan premier Kaczyński dowiódł, że niebezpiecznie mieć premiera, a pani Szydło dowodzi, że można nie mieć premiera."

(*Leszek Miller*)

Kontrowersyjne stwierdzenia zawsze o 8:02.

eprasa.pl 75e3f2809d

Jerzy Ziętek ma pomnik w Katowicach. Michał Grażyński ma jedynie skromną tablicę w gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego – a i to wzbudzało „kontrowersje"

FOT. MACIEJ JASTRZĘBIŃSKI/FORUM

Jorg nasz, Grażyński wasz!

Andrzej Krzystyniak

Dlaczego przedwojenny wojewoda Michał Grażyński budzi u niektórych na Śląsku większą niechęć niż Sowieci i komunistyczny reżim, którym służył wojewoda z PRL Jerzy Ziętek?

Jeszcze na dobre nie zaczęła obowiązywać ustawa dekomunizacyjna, a już na Śląsku słychać było groźne pomrukiwania w obronie powojennego wojewody Jerzego Ziętka. „Ziętka nie oddamy!" – zagrzmiały media regionalne i przedstawiciele środowisk, których można określić mianem „regionalistów". Wyidealizowanie postaci Ziętka stało się tak duże, że nie może się przez nie przebić nieśmiałe działanie katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, który jednoznacznie określił Jerzego Ziętka jako postać negatywną, kwalifikującą się – zgodnie z ustawą o dekomunizacji uchwaloną przez polski parlament – do usunięcia z przestrzeni publicznej. Pomijając ocenę tej postaci, do czego zobligowani są historycy wspomnianego oddziału IPN, zastanawiać musi, czym Ziętek tak zasłużył na chwałę jak przedwojenny wojewoda Michał Grażyński na niechęć (doszło do tego, że zaczęto zmieniać zasługi przedwojennego wojewody Śląska i Ślązaków, jego oddanie dla ziemi śląskiej).

Obydwu łączy podobna droga życiowa. Obaj brali udział w powstaniach śląskich, byli członkami obozu sanacyjnego. Wybuch wojny rozdzielił ich polityczne szlaki: Grażyński, uciekając przed Niemcami, znalazł się w Londynie, gdzie spędził resztę życia. Spoczywa na jednym z londyńskich cmentarzy. Ziętek odnalazł zaś swoje miejsce u boku Sowietów, rozpoczynając swą karierę w randze komisarza politycznego, a kończąc jako generał i wojewoda śląski. Jego legenda okazuje się tak silna, że do dziś znajduje swoich zwolenników. Odwrotnie Grażyński, za którym nadal ciągnie się cień komunistycznej propagandy.

DZIWNY PARADOKS

Komuniści, wkraczający na Śląsk w 1945 r. wraz z Armią Czerwoną, siali terror nazywany dziś tragedią górnośląską. W ich szeregach służył również Ziętek – choć zdaniem jego apologetów rzecz jasna nie miał on nic wspólnego ze zbrodniami komunistów.

Grażyński przybył na Śląsk po przyłączeniu części Górnego Śląska do Polski jako przedstawiciel państwa polskiego. Zatem Grażyński miał wprowadzać brutalną polonizację i rugować Ślązaków ze stanowisk w administracji. Natomiast Ziętek miał być obrońcą Ślązaków przed nieludzkim reżimem, któremu jednakże sam służył bez większych oporów. Nawet w umyśle niezorientowanego w historii i życiorysie obu osób wszystko to musi

eprasa.pl 75e3f2809d

budzić poczucie wplątania w jakiś dziwny paradoks. Państwo polskie i sanacja reprezentowane przez Grażyńskiego budzą większą niechęć niż Sowieci i komunistyczny reżim, którym służył Ziętek (choć ten skądinąd również służył sanacji).

Michał Grażyński przez wiele lat nie doczekał się upamiętnienia choćby skromną tablicą. Kiedy odsłonięto takową rok temu w gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, w lokalnej prasie posypały się gromy różnej maści „autorytetów" uzurpujących sobie prawo przemawiania w imieniu Ślązaków. Krytyce nie było końca. Chociaż nawet najzacieklejsi przeciwnicy przyznawali, że Grażyński miał „jakieś zasługi" dla Śląska, to jednak upamiętnianie go tablicą jest dziś „zbędne, całkowicie niepotrzebne" oraz „cuchnące bieżącą polityką". Największą skazą dla Grażyńskiego miał być konflikt z Korfantym, którego to on miał wtrącić do więzienia.

Redaktor naczelny jednej z gazet regionalnych orzekł groźnie: „Ktoś, kto szanuje Śląsk i go zna, wie, że honorowanie Grażyńskiego jest sztuczne. Nigdy nie będzie bohaterem takim, jakim chcieliby go widzieć ci, którzy dziś piszą historię na nowo".

DLACZEGO KŁUJE W OCZY?

Zagadką, nad którą niewielu ma ochotę się zastanawiać, jest to, dlaczego to Grażyński kłuje w oczy, za to Ziętek jest hołubiony jako „nasz Jorg", którego nie wolno „oddać centrali". Nieżyjący publicysta i znawca Śląska, Michał Smolorz, swoisty kult Jerzego Ziętka oceniał jasno: „Trwała obecność Jerzego Ziętka w naszej świadomości wynika w dużej mierze z konsekwentnego i całkiem współczesnego PRL-u. »Człowiek z kryką« [gwarowo: z laską – przyp. red.] ciągle ma swoje lobby złożone z ludzi, którzy osobiście wiele mu zawdzięczają – artystów, naukowców, lekarzy, inżynierów, architektów, którzy właśnie pod jego opiekuńczymi skrzydłami osiągali sukcesy. To oni postawili mu pomnik w centrum Katowic (choć na jego pełne sfinansowanie brakło im determinacji). Ta wdzięczna pamięć o dawnym protektorze wynika też z nieskromnego przekonania o wielkości własnego dorobku, czego wielu apologetów Starego Jorga nie potrafi ukryć. Gloryfikując Ziętka, wynoszą na piedestał przede wszystkim siebie, swoje czasy i swoje dzieła".

Trudno odmówić trafności tej opinii. Z wielu zdań wypowiedzianych na temat Ziętka przebija nostalgia za minionymi czasami, z jednoczesnym zapomnieniem, czym był reżim komunistyczny.

Negatywnie o Jerzym Ziętku wypowiedział się niedawno katowicki oddział IPN. Zdaniem jego historyków Ziętek powinien zniknąć z cokołów i nazw ulic, placów itp. Opinia ta nic nie obchodzi obrońców Ziętka. „Jorg jest nasz, nie wasz" – będą grzmieć. Tak samo jak dla tych obrońców upamiętnianie Grażyńskiego będzie „działaniem czysto politycznym" i „sztucznym". Ziętkowi wybaczono służbę w komunistycznym wojsku, w randze komisarza politycznego, Grażyńskiemu mimo przyznawanych zasług nie chce się wybaczyć udziału w walce politycznej z Wojciechem Korfantym. Wśród zarzutów wobec Grażyńskiego niektórzy wymieniają nawet „represje wobec mniejszości niemieckiej". Ziętka zaś nazywa się „wielkim pragmatykiem", człowiekiem, który działając w komunistycznych organach, potrafił czynić wiele dobra dla Śląska i Ślązaków. Nie potrafił jednak lub nie chciał zrobić czegokolwiek dla Ślązaków osadzonych w komunistycznym obozie pracy w Świętochłowicach. Z kolei Grażyński miał Ślązaków „dzielić" i „rugować" ze stanowisk.

Ziętek rzeczywiście był pragmatykiem. Wiedział, że w niektóre sprawy nie powinien się w żadnym wypadku mieszać. Takimi były z całą pewnością procesy żołnierzy podziemia niepodległościowego. Ziętek z zasady nie podejmował interwencji, a sądzę, że jako człowiek bardzo wpływowy mógłby niejednego Ślązaka skazanego na karę śmierci za walkę z komunistami uratować. Oczywiście wielu powie, że nie mógł nic zrobić, gdyż pogrążyłby być może siebie, a tym samym później nie uczyniłby tak wiele dobrego dla Śląska. Cóż, chyba właśnie tak należy rozumieć pragmatyzm polityczny i życiowy w przysłowiowym płynięciu pod prąd. Pragmatykiem nie był albo nie musiał być Grażyński. To z jego inicjatywy tworzono wiele instytucji, m.in. Muzeum Śląskie, budowano w Katowicach gmachy, które stoją do dziś. Grażyński jest dużo bardziej zapomniany niż Ziętek. Niewielu przychodzi do głowy, że powinien spoczywać w ojczystej ziemi, śląskiej ziemi, której to poświęcił życie. Obie postacie różnią się od siebie biegunowo, mają jednak wspólny mianownik: nie zasłużyły na takie traktowanie przez współczesnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 75e3f2809d

Paweł Kukiz określił Kamilę Gasiuk-Pihowicz mianem Myszki Agresorki FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Ksywka Adrian wyraźnie szkodzi wizerunkowi prezydenta FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Waldemar Pawlak – polityk nieszczególnie energiczny – bywał nazywany Cyborgiem FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Pozbyć się Adriana

Agnieszka Niewińska

W karierze politycznej trudno uniknąć przezwisk nadawanych zarówno przez wyborców, jak i kolegów z sejmowych ław. Gorzej, jak niechciana ksywa przykleja się na dekady

Chodź, Pałka" – to zawołanie zarejestrowane przez kamery obiegło media. Posłanka Nowoczesnej Joanna Scheuring-Wielgus tuż przed prasowym briefingiem w ten sposób pospieszała partyjną koleżankę Paulinę Hennig-Kloskę. A internauci rozprawiali, kto w partii Ryszarda Petru nadaje takie pseudonimy. – To nie była Pałka, tylko Pauka, przez „u" – skrót od imienia koleżanki – Paulina – tłumaczy nam Joanna Scheuring-Wielgus i dodaje, że posłanka Hennig-Kloska z powodu tej ksywki się nie obraża. – Ma poczucie humoru i dystans do siebie. Zresztą w Nowoczesnej często zwracamy się do siebie różnego rodzaju ksywkami czy skrótami. Ja jestem JSW, Kamila Gasiuk-Pihowicz to KGP. Na co dzień nie mówimy do siebie: „panie pośle", „pani posłanko". Jesteśmy normalnymi ludźmi, takimi samymi jak przeciętni Polacy.

SUSŁOW Z MUŁEM

Ksywki powstają wśród samych polityków, są im nadawane przez dziennikarzy, ale także wymyślane i propagowane przez internautów. Bardzo często to wariacja na temat poselskich inicjałów i nazwiska. I tak np. Marek Suski jest Susłowem, Stefan Niesiołowski Niesiołem, Jacek Kurski Kurą, Maciej Masłowski z Kukiz'15 Masłem. Zbigniew Ziobro nawet dla współpracowników jest Zizem. – Posła Krzysztofa Mieszkowskiego ze względu na jego nazwisko nazywam Mieszkiem – zdradza posłanka Scheuring-Wielgus.

– Muł to Arkadiusz Mularczyk. Często słyszy się w sejmowych kuluarach teksty w rodzaju: „Rozmawiałeś już z Mułem?" – mówi nam dyrektor biura jednego z posłów. I przypomina, że w Kukiz'15 jest dwóch Kukizów. Poza liderem mąż jego kuzynki, a zarazem doradca – Paweł Kukiz-Szczuciński. Nazywany jest w Sejmie Kukizem II (drugim).

Nazwisko stało się też inspiracją ksywki Jarosława Kaczyńskiego. Bo chociaż dla PiS-owców jest prezesem albo Jarosławem, to bywa także Kaczorem. W sieci funkcjonuje także jako Kaczafi. Ksywkę wylansowali w tygodniku „Uważam Rze" Robert Mazurek i Igor Zalewski. I choć nawiązuje do libijskiego dyktatora Kadafiego, to wedle specjalistów od politycznego marketingu w polityce nie najgorzej jest być Kaczafim, bo kojarzy się to z człowiekiem, który narzuca agendę i kontroluje sytuację.

– Nazwisko lub wygląd stanowią najczęstszą motywację pseudonimów – przyznaje prof. Elżbieta Awramiuk, językoznawca z Uniwersytetu w Białymstoku, ale nie nazwałaby ich mało kreatywnymi. – Te nowe słowa powstają w różny sposób. Może to być zwykłe skrócenie nazwiska, kojarzące się z jakimś wyrazem pospolitym (np. Masło) albo nie (np. Niesioł), neologizm bazujący na skojarzeniu dźwiękowym imienia i nazwiska jak Zizu albo żartobliwa przeróbka nazwiska jak Susłow – wylicza prof. Awramiuk.

Politycznych przezwisk odnoszących się do wyglądu rzeczywiście nie brakuje. Karol Karski, europoseł PiS, ze względu na wydatny nos nazywany jest Nocha-

eprasa.pl 75e3f2809d

lem, były polityk SLD Ryszard Kalisz był określany mianem Grubego Rycha. Cezarego Grabarczyka dziennikarze ochrzcili Elvisem, bo w podobny do Presleya sposób zaczesuje on włosy do tyłu. Inna fryzjerska inspiracja powstała w bieżącej kadencji Sejmu. Tapiry to ksywka pań ministrów z wyraźnie nastroszonymi włosami – Beaty Kempy, Elżbiety Witek i Anny Zalewskiej. Określenie rozpowszechniło się i w partii rządzącej, i wśród polityków opozycji.

Bartosz Czupryk, specjalista ds. wizerunku i marketingu politycznego, jest jednak zdania, że ksywki odnoszące się do czyjegoś wyglądu to zwykły przejaw bezsilności i małostkowości ich twórców. – Jeśli już nie ma do czego się przyczepić, chętnie wytykamy wygląd zewnętrzny – to, czy ktoś jest gruby, czy niski, lub to, jaką nosi fryzurę. Gdy politykowi nie brak kompetencji i charakteru, żadna ksywka nie przylgnie na trwałe i nie zyska na popularności. Dużo większą siłę mają te określenia, które odwołują się do faktycznych cech i osobowości lub uchwyconych niekompetencji.

Takich ksywek też nie brakuje. Waldemar Pawlak – polityk nieszczególnie energiczny i emocjonalny – bywał nazywany Cyborgiem. Najmłodszą w klubie posłankę PO Kingę Gajewską-Płochocką lider partii ochrzcił mianem Dzidzi. – Grzegorz Schetyna zawsze zwraca się do mnie z sympatią i troską. On jest jak dobry trener – tłumaczyła w „SE" Gajewska-Płochocka.

Ksywka Budyń przylgnęła do prezydent Gdańska Pawła Adamowicza i polityka prawicy Kazimierza Michała Ujazdowskiego. Po tym, jak się doktoryzował, zaczęto go nazywać Doktorem Oetkerem (od nazwy jednej z marek budyniów). – Ochrzczenie kogoś ksywką Budyń to nic dobrego. Określenie to ujmuje w charakterze, odbiera wyrazistość. Budyń to przecież banalny deser, bez charakteru. By zyskał na smaku, trzeba go ubarwić konfiturą bądź dżemem, ale to i tak wciąż kisiel mleczny.

Profesor Awramiuk jest jednak zdania, że miano Budynia, Bufetowej (tak warszawiacy nazywają Hannę Gronkiewicz-Waltz) czy Myszki Agresorki (tak Paweł Kukiz nazwał Kamilę Gasiuk-Pihowicz z Nowoczesnej) samo w sobie nie musi być pejoratywne.

– Najistotniejsza jest intencja twórcy czy środowiska, w którym ten pseudonim jest używany. Może się zdarzyć, że przezwisko utworzono, aby kogoś ośmieszyć czy upokorzyć, a inni je podejmują już bez tych negatywnych emocji. W rozpoznaniu nacechowania emocjonalnego danego słowa istotne jest rozpoznanie motywacji. Samo przezwisko Budyń nie jest jeszcze nacechowane, dopiero uświadomienie sobie, dlaczego do kogoś przylgnęło, może wartościować – tłumaczy językoznawca.

Oddzielny rozdział politycznych przezwisk to te będące efektem wpadek. Posłance PiS Elżbiecie Kruk koledzy z sejmowych ław po niemal 10 latach nie zapomnieli odpowiedzi na pytanie dziennikarki, czy przyszła do Sejmu pod wpływem alkoholu. Tłumaczyła wówczas, że „potrafi coś tam, coś tam". – Jak trzeba zadzwonić do pani poseł, to mówi się: dzwonię do „coś tam, coś tam" – zaśmiewa się nasz rozmówca.

Polityczne ksywki niekiedy mają swoje źródło w dzieciństwie i młodości. Joachim Brudziński to Jojo. – To moje przezwisko z pierwszej klasy podstawówki – tłumaczył niegdyś w TVN. Ryszard Terlecki to Pies. Pseudonim wymyślił mu milicjant, który spisywał dzisiejszego szefa klubu PiS – dawniej hipisa – i nie wiedział, jak zapisać słowo „hippies". „To mu podpowiedzieliśmy »hip-pies«. »A, pies!« – ucieszył się. No i tak już do mnie przylgnęło" – wspominał Terlecki w „Dzienniku". Hipisem był także klubowy kolega Terleckiego – Marek Kuchciński. – W Nowoczesnej obu panów nazywamy po prostu hipisami. Zresztą ksywek dla polityków innych partii mamy więcej, ale nie będę ich zdradzać – zastrzega Scheuring-Wielgus.

Ryszard Kalisz był określany mianem Grubego Rycha. Cezary Grabarczyk to Elvis, a do Pawła Adamowicza przylgnęła ksywa Budyń

DZIDZIA I KRWAWY KAZIK

– Nie zawsze pseudonimy wychodzą od politycznych przeciwników – komentuje Katarzyna Chołdzyńska z agencji PR Projekt. – Określenie „żelazna dama" w stosunku do Margaret Thatcher było rozpowszechniane przez jej środowisko polityczne i bardzo korzystne dla premier Wielkiej Brytanii. W Polsce pozytywną ksywkę miał Leszek Miller. Kiedy kierując SLD, wygrał wybory i został premierem, lansowano go jako „żelaznego kanclerza". To określenie było dość popularne, często pojawiało się w mediach. Czas jednak pokazał jego nietrafność – przypomina Chołdzyńska. Wśród współczesnych politycznych pseudonimów nie widzi jednak tych, którymi politycy mogliby się chwalić. – Jest jednak różnica między tymi, które są powszechnie znane dzięki internautom – jak na przykład Adrian czy Swetru – a tymi, których używają między sobą politycy, jak Gruby Rycho, Budyń czy Dzidzia. O ile pierwszych trudno uniknąć, o tyle drugimi politycy nie powinni się chwalić. Dziś trudno w to uwierzyć, ale Kazimierza Marcinkiewicza, zanim został premierem, nazywano nawet w jego okręgu wyborczym „krwawym Kazikiem", bo potrafił bezwzględnie „likwidować konkurencję". Opinia publiczna nie znała jednak tego przydomka byłego premiera. Nie współgrał on z ówczesnym wizerunkiem Marcinkiewicza. Upowszechnianie informacji, że w partii ktoś jest nazywany Dzidzią, raczej politykowi się nie przysłuży. Opowiadanie o tym w wywiadach nie jest szczególnie mądrym posunięciem, bo to sygnał dla wyborców, że nawet koledzy partyjni nie traktują takiej osoby poważnie.

Bartosz Czupryk zaznacza, że w dobie mediów społecznościowych trudno uniknąć rozpowszechniania się prześmiewczych pseudonimów nadawanych politykom przez internautów. – Tak jest z zaczerpniętą z serialu „Ucho prezesa" ksywką Adrian w odniesieniu do prezydenta Andrzeja Dudy. Adrian wyraźnie szkodzi wizerunkowi prezydenta, podważa pozycję społeczną, bo nawiązuje do braku niezależności i spłyca funkcję państwową do roli nieproszonego gościa, który w satyrycznym serialu wyczekuje na łaskawe przyjęcie prezesa. Prezydent nie powinien pozwolić na to, by ta ksywka przylgnęła do niego na stałe – mówi Czupryk i dodaje, że taka sztuka nie udała się poprzednim prezydentom. – Aleksander Kwaśniewski w Internecie od lat przedstawiany jest jako król napojów wysokoprocentowych. Z kolei Lech Wałęsa okrzyknięty został Bolkiem – mimo roli, jaką odegrał w historii Polski, kończy karierę z ksywką będącą jednocześnie pseudonimem tajnego współpracownika SB.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Radosław Wojtas

Zbrodnia niedoskonała

Zabił studentkę i zdarł z niej skórę, by zaspokoić swoje chore żądze. Jak podejrzany o dokonanie jednej z najbardziej przerażających zbrodni w historii polskiej kryminalistyki trafił za kratki

Ja się niczego nie boję – słychać na nagraniu, na którym policyjni antyterroryści prowadzą Roberta J. krótko po zatrzymaniu. Deficyt lęku to jedna z cech charakteryzujących osobowość dyssocjalną, czyli psychopatów. A do takich z pewnością należy zabójca Katarzyny Z., studentki religioznawstwa z Krakowa, który 19 lat temu uwięził, torturował i obdarł ze skóry swoją ofiarę.

Główny podejrzany o zabójstwo i zatrzymany 4 października br. chyba uwierzył, że ominie go kara, choć w kręgu podejrzanych był niemal od początku dochodzenia. Mieszkał z matką na Kazimierzu w Krakowie, niedaleko odcinka Wisły, gdzie natrafiono na szczątki Katarzyny. Chociaż po niemal 20 latach wydawało się, że w tej sprawie nie ma szans na przełom, nadziei na sprawiedliwość nie straciła mama Kasi, która w programie „Interwencja" w październiku 2016 r. mówiła: „Myślę, że może doczekam tej chwili, że jednak sprawca zostanie ujęty". Nie poddali się też prokuratorzy i policjanci z Archiwum X, biegli, naukowcy. I to właśnie ich tytaniczna praca dała owoce. Między innymi dzięki zastosowaniu nowatorskiej w Polsce techniki 3D udało się ustalić, że morderca trenuje sztuki walki, które w latach 90. uprawiał Robert J.

MILCZENIE OWIEC

W styczniu 1999 r. coś zablokowało śrubę silnika płynącej po Wiśle barki typu Łoś. Nie było to nic nadzwyczajnego, zdarzało się dość często. Załoga czyszcząca śrubę tym razem nie wyjęła na pokład gałęzi i śmieci, ale duży płat ludzkiej skóry oraz skrawki ubrania.

Po wykonaniu sekcji zwłok nie było wątpliwości – to skóra kobiety, ściągnięta nieprzypadkowo, nie przez śrubę silnika łodzi, ale zdjęta z ciała z dużą dokładnością. Ktoś oskórował tułów w taki sposób, jakby chciał się ubierać w zdjętą skórę. Znaleziony fragment przypominał kształtem damskie body. Było to zabójstwo, jakiego wcześniej polska kryminalistyka nie znała. Po przeczesaniu dna rzeki wydobyto jeszcze prawą nogę i pośladki.

Zabójcę z Krakowa porównywano z mordercą z „Milczenia owiec". Obawiano się, że – podobnie jak w popularnym w latach 90. filmie – na jednym mordzie się nie skończy. Okrzyknięto go „skórzakiem" i „kuśnierzem". Sposób zdjęcia skóry wskazywał na to, że zrobił to ktoś, kto miał w tym pewną wprawę. Badanie szczątków dziewczyny przyniosło potworne wnioski. Przed śmiercią była więziona, cierpiała. Jej oprawca bił ją i kopał, ranił za pomocą różnych przedmiotów. Prokuratura nie zdradza wszystkich makabrycznych szczegółów, ale prawdopodobne jest, że morderca ściągał jej skórę z ciała, gdy jeszcze żyła. A wszystko – jak podaje prokuratura – „w celu zaspokojenia swojego patologicznego popędu seksualnego, a także w celu pozbawienia życia ofiary ze szczególnym okrucieństwem".

W śledztwo zaangażowano duże siły, powołano biegłych z różnych dziedzin, o pomoc polska policja poprosiła nawet

eprasa.pl 75e3f2809d

52-letniego dziś Roberta J. zatrzymano 4 października, niemal 20 lat po morderstwie studentki z Krakowa FOT. MATERIAŁY POLICJI

jasnowidza, a także FBI. Przedstawiciel amerykańskich służb w Europie był zaskoczony znaleziskiem, miał stwierdzić, że cywilizowany świat nie zna podobnego przypadku. Wykonano jedne z pierwszych w Polsce badań DNA na użytek sprawy kryminalnej. Tylko dzięki temu udało się ustalić tożsamość ofiary. Znalezione w rzece szczątki należały do Katarzyny Z., studentki, której zaginięcie jej mama zgłosiła 12 listopada 1998 r.

ON DZIWNY, ONA CICHA

Katarzyna Z. studiowała religioznawstwo. W wieku 23 lat był to już jej trzeci kierunek studiów, poprzednie – psychologię i historię – rzuciła. Była cicha i zdystansowana. Kochała muzykę i góry. Często można ją było spotkać w sklepach muzycznych, na giełdzie i w klubie, gdzie krakowska młodzież w latach 90. zaopatrywała się w płyty i kasety.

Jej dystans do świata mógł jednak wynikać nie tylko z cech charakteru. Była świadkiem poważnego wypadku ojca podczas wycieczki w górach, po którym trafił do szpitala. Kasia mocno przeżyła jego chorobę i śmierć, popadła w depresję. Przed zaginięciem zaczęła opuszczać zajęcia na uczelni. Jej mama o niczym nie wiedziała. Kasia codziennie wychodziła z domu. Coś się w niej jednak zmieniło. Przefarbowała włosy na blond, zaczęła się odchudzać. Wiele wskazywało na to, że kogoś poznała.

Możliwe, że był to właśnie Robert J. Ma opinię dziwaka, ale nie odmawia mu się inteligencji mimo wykształcenia ledwie zawodowego. Jego ojciec, krakowski poeta, przyznaje, że z synem było coś nie tak od dziecka. – W czasie przerw w szkole, gdy dzieciaki ganiały po korytarzach, on zamykał się w szafie – opowiadał dziennikarzom „Faktu". I podawał inne przykłady dziwnych zachowań: – Zatrudnił się do pomocy przy budowie. Gdy zmywał podłogę, a inni ją deptali, tak się zdenerwował, że rzucił wiadrem z wodą o ścianę i tak skończyła się jego kariera w tym miejscu.

Reporterzy „Superwizjera" dotarli do kobiety, z którą Robert J. próbował się związać. „Opowiadał, że odrabiał służbę wojskową w szpitalu. Tam był przy sekcjach zwłok. Twierdził, że wynosi zwłoki" – relacjonowała kobieta. Reporterzy ustalili również, że J. pracował w krakowskim Instytucie Zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie mógł obserwować proces skórowania zwierząt, oraz że stracił pracę, gdy podczas swojej zmiany zabił wszystkie doświadczalne króliki.

– Z całą pewnością pokrzywdzona i podejrzany znali się, spotykali się w różnych kręgach towarzyskich i wiele osób w związku z tym było przesłuchiwanych w tamtym czasie – mówi „Do Rzeczy" prok. Arkadiusz Jaraszek z Prokuratury Krajowej.

PRZEŁOM W 3D

Robert J. był w kręgu podejrzanych już na początku śledztwa. Nie był jednak jedyny. O dokonanie mordu podejrzewano również m.in. Władimira W. Rosjanin studiujący w Krakowie cztery miesiące po odnalezieniu szczątków Katarzyny Z. został zatrzymany po tym, jak zabił swojego ojca, a ze skóry z jego twarzy zrobił maskę, którą zakładał i nosił. Wydawało się, że to nie może być przypadek – w jednym mieście w krótkim odstępie czasu doszło do bardzo specyficznych i rzadkich mordów połączonych z oskórowaniem ofiar. Jednak Władimir W. został skazany tylko za morderstwo ojca, nie ustalono jego związku ze sprawą Kasi.

Prokuratura nie zdradza, dlaczego Robertowi J. nie postawiono zarzutów wcześniej, choć interesowano się nim od początku dochodzenia. – Tak jak wiele osób od początku pozostawał w kręgu zainteresowań prokuratury i policji. Był w przeszłości do tej sprawy zatrzymany jako osoba podejrzewana, został wówczas przesłuchany w charakterze świadka i zwolniony – ucina prok. Arkadiusz Jaraszek.

Wiadomo, że do zgromadzenia dowodów pozwalających postawić J. zarzuty przyczyniły się najnowocześniejsze techniki kryminalistyczne, „które pozwoliły na odtworzenie sposobu działania sprawcy i wykrycie szeregu istotnych z punktu widzenia dowodowego okoliczności zabójstwa Katarzyny Z.". W Laboratorium Ekspertyz 3D Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu dokonanego prawdziwego kryminalistycznego majstersztyku, który w Polsce nie ma precedensu. Na podstawie danych biometrycznych i dokładnej analizy śladów działania sprawcy na niektórych tkankach ofiary opracowano trójwymiarowy obraz przebiegu makabrycznego zabójstwa. To pozwoliło wyciągnąć wniosek, że sprawca uprawiał sztuki walki.

Na skrawkach ubrania Kasi znaleziono fragmenty roślin występujących tylko w niektórych miejscach w Krakowie, co mogło doprowadzić śledczych do miejsca zbrodni. Z kolei skrupulatne badania wykonane przez specjalistów Katedry Biologii Eksperymentalnej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu wykazały, jakimi związkami chemicznymi sprawca otumaniał ofiarę. Ciągle była prowadzona również zwyczajna praca operacyjna. Robert J., który po zabójstwie zaczął chodzić do kościoła i sprawiać wrażenie człowieka nawróconego, odwiedzał grób Kasi.

5 października prokuratura postawiła mu zarzut zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem, za co może spędzić za kratami resztę życia. Robert J. złożył obszerne wyjaśnienia, ale odmówił odpowiedzi na niektóre pytania. Prokuratura nie zdradza, czy przyznał się do winy. Przeszukano jego mieszkanie i lokale przynależne, np. piwnicę. Dowody są na tyle mocne, że sąd zdecydował o jego tymczasowym aresztowaniu. Czy na tyle mocne, by go skazać? „Miałam kilka momentów, w których czułam, że ten koniec się zbliża. Za każdym razem jednak okazywało się, że koniec jest daleko" – mówiła w 2014 r. mama Kasi w wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej" o wznowionym w 2012 r. śledztwie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Rzeczywistość Wielkopolan podczas zaborów

Po podpisaniu drugiego rozbioru Polski w 1793r. Wielkopolska została włączona do Prus. 24 października 1795 r. Polska całkowicie zniknęła z mapy świata. Początkowo pomimo utraty swojego państwa sytuacja Polaków pod zaborem pruskim, w tym Wielkopolan, nie była najgorsza.

W 1815 r. na mocy kongresu wiedeńskiego utworzono mające zaspokoić narodowe dążenia Polaków Wielkie Księstwo Poznańskie. Jednak okres namiastki polskiej autonomii szybko się skończył. Mimo że powstanie listopadowe było wyzwaniem zbrojnym rzuconym Imperium Rosyjskiemu, jego upadek spowodował wystąpienie tendencji depolonizacyjnych we wszystkich trzech zaborach. W zaborze pruskim walka przeciw polskości przybrała najszerszy, najbardziej kompleksowy zasięg. Obejmowała zarówno sferę polityczną, kulturalno-narodowościową, jak i gospodarczą. Następnym punktem przełomowym dla pogorszenia się sytuacji Wielkopolan był rok 1871, kiedy proklamowano w Wersalu zjednoczenie Niemiec. Kanclerz Otto von Bismarck, uważany za jednego z najwybitniejszych polityków europejskich XIX w., dotychczas pochłonięty wojną z Francją i zadaniem zjednoczenia Niemiec, mógł teraz zająć się kwestią polską. Swój stosunek do Polaków wyraził w liście napisanym do siostry 26 marca 1861: „Bijcie Polaków, aż im się żyć odechce. Mam wszelkie współczucie dla ich sytuacji, ale jeżeli przetrwać chcemy, to nie możemy uczynić niczego innego jak ich wytępić". Celem polityki rządu pruskiego stała się ostateczna germanizacja wschodnich prowincji państwa. Kurs ten objął administrację, sądy, szkolnictwo. Lata 1871–1978 stanowiły okres prowadzonej przez Bismarcka walki kulturowej, tzw. kulturkampf. W praktyce była to ostra walka z Kościołem katolickim, w zaborze pruskim połączona z intensywną germanizacją ludności polskiej. W 1876 r. ustanowiono na terenie zaboru pruskiego język niemiecki jako wyłączny język urzędowy wszystkich władz i sądów nie tylko w czynnościach wewnętrznych, lecz także w kontakcie ze stronami. Oznaczało to, że nawet na poczcie i kolei Polakowi nie wolno było posłużyć się językiem ojczystym. W krótkim czasie ze służby rządowej usunięto lub przeniesiono na tereny rdzennie niemieckie niemal wszystkich urzędników polskiego pochodzenia. Z przestrzeni publicznej usunięto wszystkie nazwy i napisy, które nie były po niemiecku; dotyczyło to szyldów, ogłoszeń, masowo germanizowano nazwy miejscowe. Przykładowo Wielkopolska od tej pory nosiła nazwę Provinz Posen. Przystąpiono do germanizacji szkolnictwa. W Poznańskiem w szkołach elementarnych (podstawowych) utrzymano jeszcze język polski jako przedmiot, po polsku nauczano także religii. Pozostałe przedmioty wykładane

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. FOKA/FORUM

były już tylko w języku niemieckim. Także w paru gimnazjach utrzymano język polski, w niewielkim wymiarze, jako przedmiot nadobowiązkowy. Tą swoistą „tolerancję" określano z góry jako przejściową, mającą trwać do czasu, gdy zniemczenie poczyni odpowiednie postępy w warstwach ludowych.

W 1885 r. ciężar walki z polskością rozszerzono na obszary ekonomiczne. W pierwszym etapie z całą bezwzględnością przeprowadzono tzw. rugi pruskie, polegające na usunięciu z terenu zaboru pruskiego wszystkich poddanych innych monarchów. Byli to głównie robotnicy i rzemieślnicy polscy przybyli w celach zarobkowych z innych zaborów, ok. 26 tys. osób. Następnym krokiem było powołanie przez sejm pruski Komisji Kolonizacyjnej i przyznanie jej funduszu 100 mln marek na wykup polskich majątków i ich parcelację pomiędzy chłopów niemieckich. Był to jednoznaczny akt zaangażowania ekonomicznego rządu pruskiego w zwalczenie polskiej ludności. W ciągu 20 lat działalności Komisji Kolonizacyjnej udało się wykupić z rąk polskich ok. 40 tys. ha ziemi. Dziewięć lat później, w 1894 r., utworzono Związek dla Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich. Jego charakter określić można krótko: jako antypolski. Przez Polaków został on przezwany Hakatą, od nazwiska trzech założycieli: Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna. Głównym jego celem było kształtowanie wśród Niemców antypolskich nastrojów za pomocą odczytów, broszur i prasy. Władze w mniejszym lub większym stopniu najpierw promowały „wyższość" kultury niemieckiej nad polską, by później bezwzględnie wyrugować polskość z każdej dziedziny życia. Ta organizacja podejmowała wszelkie działania dla bojkotu polskich kupców, rzemieślników, lekarzy. Hakata zyskała silne wsparcie w osobie cesarza Wilhelma II oraz odsuniętego już w tym okresie od władzy kanclerskiej Ottona von Bismarcka. Jej poparcie dla wszelkich form walki ekonomicznej z ludnością polską, decyzji o wywłaszczaniu Polaków oraz dla działalności Komisji Kolonizacyjnej nabrały dzięki temu szczególnego rozmachu. Ta ostatnia została zresztą wsparta dodatkową kwotą następnych 100 mln marek z przeznaczeniem na wsparcie niemieckiego osadnictwa na terenach Wielkopolski i pozostałych ziem zaboru pruskiego. Gospodarczy atak w polskość doprowadził do sytuacji, w której znakomita większość pracodawców było pochodzenia niemieckiego lub żydowskiego, Polacy zaczęli stanowić tutaj zwalczaną mniejszość.

W 1904 r. wprowadzono przepis, według którego osiedlenie się czy budowa domu na własnej ziemi wymagały specjalnego pozwolenia urzędnika, tzw. prezesa rejencji. Cel był jeden: zmusić Polaków do pozbycia się swojej ziemi. Rozwijany twórczo przepis powodował sytuacje, w których np. robotnikowi chcącego po urodzeniu się następnego dziecka przybudować jeden pokój do istniejącego domu nie wydawano stosownego pozwolenia. Wielu Polaków zostało zmuszonych do zamieszkiwania w stajniach, stodołach lub – tak jak sławny Michał Drzymała – w zakupionym dla walki z zaborcą wozie cyrkowym. Sprawa tego ostatniego stała się zresztą symbolem walki narodu polskiego z brutalną germanizacją.

Walka o zachowanie polskości na terenach Wielkopolski toczyła się nieprzerwanie przez cały okres zaboru pruskiego, ale jej najgłośniejszym i najbardziej charakterystycznym epizodem był strajk szkolny w 1901 r. we Wrześni. W czasie rządów kanclerza Bernarda Bülowa, w latach 1900–1909, ostatecznie zlikwidowano nauczanie w języku polskim. W odpowiedzi na ten szczególny akt germanizacji dzieci z Wrześni podjęły samodzielną decyzję o odmowie użycia języka niemieckiego w modlitwie i nauce religii. Z tego okresu pochodzi wiersz, autorstwa dzieci wrzesińskich:

My z Tobą, Boże, rozmawiać chcemy,
lecz „Vater unser" nie rozumiemy
i nikt nie zmusi nas Ciebie tak zwać,
boś Ty nie Vater, lecz Ojciec nasz.

Wobec brutalnej reakcji nauczycieli oraz władz niemieckich dzieci nie ugięły się, pomimo szykan otrzymały także pełne wsparcie swoich rodziców. Zaborca nie cofnął się przed ukaraniem grzywną lekarza dokonującego lekarskich oględzin pobitych za opór strajkujących dzieci, dr. Ludwika Krzyżanowskiego. Podobnie próbowano spacyfikować fotografa Szymona Furmanka, autora zdjęcia, które później w formie pocztówki z napisem: „Pamiętajmy o Wrześni" obiegło całą Europę. Pełniący rolę opiekuna duchowego protestujących ks. Jan Laskowski został usunięty z Wrześni.

Zwany m.in. Kronikarzem Warszawy Bolesław Prus w swoich „Kronikach Tygodniowych" zamieszczanych w „Tygodniku Ilustrowanym" pisał: „Dzieci poznańskie walczą nie tylko o język polski […] one walczą o kilka zasad wszechcywilizacyjnych… w obronie od kilkudziesięciu lat gwałconej w Poznańskiem duszy ludzkiej".

Prowadzona tak kompleksowo i bezwzględnie walka z polskością spotkała się z niezwykłym oporem Wielkopolan. Wykorzystali w niej wszystkie możliwości, jakie dawało im poszanowanie przez zaborcę pruskiego prawa. Prawa dla Polaków niesprawiedliwego i antypolskiego, ale w odróżnieniu od zaboru rosyjskiego dzięki temu poszanowaniu stawiającego jednak skuteczną granicę samowoli urzędnikowi niemieckiemu. Postawę Polaków zaboru pruskiego wobec polityki germanizacyjnej najlepiej chyba wyrażają słowa „Roty" Marii Konopnickiej: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród". ***Kamila Comba***

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

MECENASEM CYKLU O HISTORII WIELKOPOLSKI JEST ENEA

Enea

eprasa.pl 75e3f2809d

Czas replikantów

Piotr Gociek

„Blade Runner 2049" to wielki triumf reżysera Denisa Villeneuve'a. Nie ma dziś ważniejszego twórcy kinowej fantastyki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Oglądałem „Blade Runnera 2049" na przedpołudniowym seansie w poniedziałek. Mimo nietypowej pory sala w dużym multipleksie była w połowie pełna i nie była to typowa multipleksowa publiczność: średnia wieku okazała się dość wysoka. Przez prawie dwie i pół godziny na sali panowała cisza jak makiem zasiał. Wtedy pomyślałem: no tak, Denis Villeneuve to dziś najważniejszy twórca kinowej fantastyki dla dorosłych.

Kiedy ponad trzy dekady temu, w połowie lat 80., oglądaliśmy oryginalny film Ridleya Scotta na konwentach klubów fantastyki, atmosfera była równie skupiona. Na niewielkich ekranach (jak na dzisiejsze standardy) niewiele było widać, amatorski lektor zagłuszał ścieżkę dźwiękową, ale mieliśmy poczucie, że ktoś rozmawia z nami na poważnie. Jakże łatwo o takie poczucie, gdy jest się nastolatkiem. Dla jednych to było krótkie zauroczenie, dla innych prawdziwa miłość, ja należałem do tych ostatnich. Wraz z przyjaciółmi z opolskiego klubu fantastyki SOKIBUS-F wydaliśmy nawet specjalny fanzin poświęcony tylko jednemu filmowi – „Blade Runnerowi" właśnie. Do dziś mam egzemplarz.

– Nastrój niesamowity, to prawda, muzyka rewelacyjna, ale film taki sobie – narzekał Andrzej Ziemiański, wtedy początkujący pisarz, dziś autor bestsellerów, podczas jednego ze spotkań przy piwie. Kiedy przeglądam amerykańskie recenzje z 1982 r., widzę podobny sceptycyzm. Krytyka przyjęła film z mieszanymi uczuciami. Dzisiaj uznawany jest i za klasykę, i za jeden z najlepszych filmów SF wszech czasów. Obrósł w interpretacje, doczekał się specjalnych wydań rocznicowych i kolekcjonerskich, poświęcono mu znakomitą książkę „Future Noir: The Making of Blade Runner". Jej autor Paul M. Sammon opowiedział historię filmu, znanego w Polsce także pt. „Łowca androidów", z pieczołowitością, drobiazgowością i miłością, która powinna zawstydzić krytyków piszących o Fellinim czy Coppoli.

To z książki Sammona dowiedziałem się o ciężkim kryzysie, jaki przechodził podczas kręcenia filmu reżyser Ridley Scott. Nim ruszyła produkcja, na raka zmarł jego starszy brat Frank, z którym był bardzo blisko związany. Scott znalazł się w mrocznym miejscu i ten mrok było widać w jego filmie. „Blade Runner", opowieść o policjancie ścigającym

eprasa.pl 75e3f2809d

replikantów – zbuntowanych sztucznych ludzi, którzy szukają swego twórcy, by wydłużył ich życie – był filmem nie tylko o tym, czym jest człowieczeństwo. Był także filmem o stracie.

LOS ANGELES 30 LAT PÓŹNIEJ

Denis Villeneuve, reżyser „Blade Runnera 2049", dokonał rzeczy niełatwej – jego film naprawdę jest kontynuacją – fabularną i myślową – słynnego oryginału, a nie powtórką z rozrywki. Tego bałem się przed seansem najbardziej. Mamy przecież już za sobą dwa powroty Ridleya Scotta do innej franczyzy sprzed lat, czyli filmy „Prometeusz" i „Obcy: Przymierze", rozgrywające się w świecie thrillera SF „Alien", i jego kontynuacji. Obydwa powroty słabe, bo mniej świeże od oryginału, za to z bardziej rozbudowanymi efektami specjalnymi. Gdyby w ten sposób podejść do „Blade Runnera", mielibyśmy na ekranach film ładny i wystawny, ale pusty, bezwstydnie odcinający kupony od popularności poprzednika.

Villeneuve, twórca „Sicario" i „Nowego początku", uniknął tej pułapki. Zrobił film własny, niesłychanie stylowy i mocno inny od oryginału, ale bardzo konsekwentnie rozwijający idee, z którymi zmagał się Scott w roku 1982. Trzydzieści lat po wypadkach z „Blade Runnera" znów jesteśmy w Los Angeles przyszłości. Jest to miasto jeszcze bardziej przeludnione niż w roku 2019, ludzie mieszkają nawet w korytarzach budynków, a świat dookoła jest jeszcze bardziej zrujnowany: miasto przed morzem chroni wielki mur, duże połacie Ziemi są skażone i niezdatne do życia, inne zamieniły się w śmietniska, jeszcze inne w farmy dostarczające wygłodniałym milionom białka. Na potrzeby pozaziemskich kolonii wciąż produkowani są replikanci, tyle że bezwzględnie posłuszni.

Jednym z nich jest oficer K (Ryan Gosling) tropiący nielicznych ukrywających się sztucznych ludzi wyprodukowanych w czasach korporacji Tyrella. Film otwiera scena, która znajdowała się w oryginalnym scenariuszu Hamptona Fanchera do pierwszego „Blade Runnera", ale ostatecznie została odrzucona wtedy przez Ridleya Scotta: łowca androidów przybywa na samotną farmę, wchodzi do niewielkiego budynku, w którym znajduje garnek zupy bulgoczący na ogniu. Siada w kącie i czeka na lokatora. Ten pojawia się po chwili – to wielki replikant, który zanim zostanie zabity („wycofany", jak pamiętają państwo z pierwszego filmu), zdąży jeszcze rzucić w twarz oficerowi K: „Wy, nowi replikanci, wysługujecie się ludziom, bo nie byliście świadkami cudu".

O jaki cud chodzi i czym jest prawda, za którą warto umrzeć – tego będzie dochodził K, chwalony przez swoją przełożoną (Robin Wright) jako perfekcyjny funkcjonariusz. Tajemnica, na którą się natknął, może zmienić dzieje ludzkości. Oprócz K własne śledztwo w tej sprawie szybko zaczyna prowadzić replikantka Luv (Sylvia Hoeks), asystentka tajemniczego bogacza Niandera Wallace'a (Jared Leto), którego firma przejęła dawny biznes Tyrella. Kto widział zwiastuny filmu, ten wie, że dochodzenie doprowadzi K między innymi do Ricka Deckarda (Harrison Ford), czyli bohatera pierwszego „Blade Runnera". Zapewniam, że ich spotkanie będzie dużo ciekawsze i brzemienne w skutki niż znana z trailera krótka pogawędka przy barze.

POSTĘP WYMAGA NIEWOLNIKÓW

Pamiętamy z pierwszego filmu, jak bardzo replikanci chcieli się upodobnić

REKLAMA

Prestige MJM · REGENT WARSAW HOTEL · RMF Classic · Dziennik Bałtycki · wprost · Do Rzeczy · PANI · Twój STYL · LAVIE · T3 · WP · trojmiasto.pl · cgm.pl · DlaWas.info · Multikino · VIXON

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

do ludzi, jakie pretensje mieli do swego twórcy nie tylko o zbyt krótki zaprogramowany czas życia, lecz także o to, że nie są obdarzeni duszą. Czasem wyposażeni w fałszywe wspomnienia nie mieli nawet pojęcia, że nie są ludźmi. Lekcja, której Deckardowi udzielił w finale Roy Batty, była taka: „Kochamy życie tak jak wy, a może nawet bardziej. Dlaczego więc nam go odmawiacie?". W „Blade Runnerze 2049" producent sztucznych ludzi mówi bez ogródek: bez niewolniczej siły roboczej nie ma postępu. Jest nawet gorzej. Ze skąpo rozsianych w scenariuszu podpowiedzi wynika, że bez niewolników replikantów nie da się dalej kolonizować kosmosu, a ludzkość po prostu ulegnie zagładzie.

To, jak traktujemy istoty, za których stworzenie jesteśmy odpowiedzialni, określa nasze człowieczeństwo – o tym był nie tylko pierwszy „Blade Runner", to także najważniejsza kwestia, z jaką w ostatnich dekadach zmagało się poważne kino SF, poczynając od „Sztucznej inteligencji" Spielberga, a kończąc na „Ex Machinie" Alexa Garlanda. Tej samej kwestii dotyczy serial Jonathana Nolana „Westworld". Wyzywany przez ludzi od robotów oficer K sam szuka ukojenia w ramionach wirtualnej kochanki Joi (Ana de Armas), która staje się dla niego czymś więcej niż tylko holograficzną damą do towarzystwa. Kolejny minus dla ludzkości, patrzcie i uczcie się: idealny replikant K ma więcej uczucia dla obsługującego jego dom systemu operacyjnego udającego kobietę niż wy, ludzie, macie dla replikantów.

Chociaż w „Blade Runnerze 2049" jest kilka scen akcji, to nie jest to film przygodowy. To, co najważniejsze, dzieje się między kilkoma głównymi osobami dramatu. Znów sięgnę do wypowiedzi scenarzysty Hamptona Fanchera o tym, czego nie udało mu się przeforsować w pierwszym filmie: „Chciałem, żeby to była kameralna produkcja. Kręcona we wnętrzach, oparta głównie na dialogu". Marzył mu się „face to face movie". Tak było, zanim za projekt nie zabrał się Ridley Scott. Różnice między Fancherem a producentami i reżyserem narastały, aż wreszcie pisanie dokończył kto inny: David Peoples.

W kontynuacji Scott jest producentem, Fancher ponownie scenarzystą (z pomocą Michaela Greena), a reżyser Denis Villeneuve łączy ogień z wodą: tak, to wciąż wielka superprodukcja science fiction pełna niezwykłych obrazów, które zapadają w pamięć na długo, ale jednocześnie jest to film kameralny i „mówiony" – istotne sceny dialogowe są długie, pełne niuansów, przesycone podskórnymi emocjami. Villeneuve nigdzie się nie śpieszy, opowiada przez dwie i pół godziny, ale ani razu nie mamy wrażenia, że film się dłuży.

★★★★★☆
REŻ. DENIS VILLENEUVE
„BLADE RUNNER 2049"
USA 2017

wyst. Ryan Gosling, Harrison Ford, Ana de Armas, Jared Leto

KONTYNUACJA I HOŁD

„Blade Runner 2049" jest nie tylko kontynuacją i rozszerzeniem oryginału, lecz także hołdem złożonym twórcom pierwszego filmu. Kadry nie powtarzają się wprost, ale w twórczy sposób nawiązują do pierwowzoru. Autor zdjęć Roger Deakins, który współpracował z Villeneuve'em przy „Sicario", wykonał niesamowitą pracę, pokazując mroczne Los Angeles przyszłości w sposób przypominający oryginał, ale jednocześnie świeży i zachwycający.

Gdy patrzymy, jak K przeszukuje na komputerowych zbliżeniach opustoszałe Las Vegas, przypomina nam się natychmiast scena, podczas której Deckard przeglądał zdjęcia, powiększając wybrane fragmenty. Dwuwymiarowe gigantyczne reklamy z oryginału zamieniły się w trójwymiarowe, dziwaczny nastrój panujący w siedzibie korporacji Tyrella został zwielokrotniony i intrygująco przekształcony na potrzeby siedziby korporacji Wallace'a. Porównajcie też na spokojnie, kiedy już obejrzycie drugi czy trzeci raz „Blade Runnera 2049" (jestem pewien, że tak będzie), kiedy i po co pojawiają się w jednym i drugim filmie deszcz i śnieg.

Prostytutka Mariette (Mackenzie Davis) przypomina replikantkę Pris, graną kiedyś przez Daryl Hannah. Relacja między oficerem K a wirtualną Joi to wariacja na temat relacji Deckard – Rachel. Tam i tu mamy do czynienia ze sztuczną istotą, która pokochała inną sztuczną istotę. Tak – przypomnę tym, którym mogło to umknąć – już ładny kawałek czasu temu Ridley Scott potwierdził, że w oryginalnym „Blade Runnerze" Deckard grany przez Harrisona Forda to tak naprawdę replikant. Ten fakt ma gigantyczne znaczenie dla najważniejszych zwrotów akcji w „Blade Runnerze 2049".

Powstał niezwykły, zachwycający film, jeden z tych, o których amerykańscy krytycy zwykli mówić „instant classic". Nawet jeśli dotykane w nim kwestie, które w roku 1982 wydawały się nowatorskie, dziś mogą zdawać się niezbyt oryginalne. Uwodzi obrazem, hipnotyzuje montażem, daje okazje dobremu zespołowi aktorów do stworzenia świetnych kreacji. Nie psuje go nawet kilka kiksów: nadmierną łatwizną było wymyślenie kataklizmu między czasem akcji jednego a drugiego filmu tylko po to, by wyczyścić policyjne archiwa i utrudnić oficerowi K śledztwo. B-klasową taniochą zalatuje scena, w której poznajemy podziemną organizację replikantów. I jeszcze jedno: dopiero w ostatniej scenie, kiedy na chwilę pojawia się oryginalny motyw muzyczny Vangelisa z pierwszego filmu, wzdychamy, mówiąc: „No tak, już wiem, czego mi przez te dwie i pół godziny brakowało".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

RECENZJA ŚCIEŻKI DŹWIĘKOWEJ Z FILMU „BLADE RUNNER 2049" NA STRONIE 72

eprasa.pl 75e3f2809d

Tropami mistrza, tropami zwodziciela

Andrzej Horubała

Nie ma Klementyna Suchanow silnego chwytu na Gombrowicza. I niestety zachwyty nad jej biografią „Gombrowicz. Ja, geniusz" są zdecydowanie na wyrost. Ktoś zachwala, że to najważniejsze wydarzenie literackie sezonu, ktoś stawia na równi z biografią Miłosza pióra Andrzeja Franaszka. Ale przecież to w ogóle nie ta liga

FOT. BOHDAN PACZOWSKI/FOTONOVA

Suchanow ani nie potrafi z dystansu spojrzeć na twórczość autora „Ferdydurke", ani też ująć jego osoby w mocne ramy. Autorka nie posiada wykształcenia filologicznego ani też talentu literackiego, więc niektóre partie jej książki czyta się z bólem. Streszczenia dzieł Gombrowicza, ich interpretacje – wszystko to albo toporne, albo wtórne. Także robienie literatury i wczuwanie się w Witolda, patrzenie na świat jego oczyma, jakie czasem serwuje nam autorka, sprawia wrażenie pensjonarskiego wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać biografia twórcy.

Na szczęście Suchanow bywa powściągliwa i na dużych przestrzeniach koncentruje się na porządkowaniu spraw, przytaczaniu świadectw, konfrontowaniu zeznań. To zadanie wypełnia autorka dość sprawnie, choć i tutaj brakuje jej śmiałego gestu demaskatorskiego: wiadomo, że Gombrowicz był mistrzem autokreacji, a więc zakłamania. Autorce jego biografii nie starcza czasem odwagi, by przedrzeć się przez zasłonę Gombrowiczowskiej fanfaronady i pokazać jego żałosne oblicze: socjopaty, zalęknionego bufona, emocjonalnego kaleki, pisarza odreagowującego życiowe niepowodzenia nad kartką papieru.

Jeszcze gorzej idzie Klementynie Suchanow, gdy przychodzi jej rzutować twórczość Gombrowicza na szerszy plan: trudno naprawdę uznać autorkę za kompetentnego przewodnika po życiu intelektualnym XX w.

Tka więc swoją opowieść o twórcy „Ferdydurke" z materii czasem mocno przypadkowej. Gdy brakuje jej wiedzy, watuje opowieść historyjkami zupełnie ni pricziom: opisując francuski przedwojenny epizod Gombrowicza (rok 1928), wprowadza na scenę postaci, z którymi pisarz się nie zetknął, na zasadzie luźnych skojarzeń, że tu ktoś mieszkał, że tego mógł minąć na ulicy albo że ktoś rok później odwiedził tę samą miejscowość. A i tu nie potrafi ustrzec się od błędów. Szczupłość źródeł sztukuje zastępczymi materiałami (tak dzieje się na przykład, gdy omawia sądową aplikanturę Gombrowicza).

Nie należy zapominać, że od zawsze Gombrowiczem zajmowała się ekstraklasa naszych literaturoznawców i krytyków: wyborni fechmistrze, zręczni prestidigitatorzy humanizmu, prawdziwi koneserzy. Klementyna Suchanow – entuzjastka

eprasa.pl 75e3f2809d

i dyletantka – na ich tle pobrzmiewa miejscami bardzo niezdarnie, tym bardziej że choć należy do innej generacji czytelników, nie wprowadza żadnego nowego tonu do opowieści o dziele największego polskiego pisarza XX w. Ani nie umieszcza go na mapie intelektualnych mód minionego stulecia, ani nie konfrontuje z nowymi nihilistycznymi prądami, z lewacką destrukcją kultury, które przecież sprawiają, że jego prowokacje zdają się nagle mocno poczciwe, i sytuują go raczej po stronie świata konserwatywnego i mocno zachowawczego. Nic z tych rzeczy.

Gombrowicz wymagałby mocnej osobowości, która oparłaby się jego wdziękowi i sugestywności. Która pewną ręką prowadziłaby nas przez tak silnie zmitologizowaną przez samego pisarza jego biografię oraz recepcję.

Owszem, Suchanow jest pracowita i choć niektóre jej tropy, mimo że szczegółowe, niewiele wnoszą do wiedzy o pisarzu, to przecież wykonuje robotę nieodzowną: ustala personalia, przeprowadza mnóstwo rozmów, dokonuje kwerendy w prywatnych zasobach korespondencji.

KLEMENTYNA SUCHANOW „GOMBROWICZ. JA, GENIUSZ" T. 1–2 WYDAWNICTWO CZARNE 2017

OPOWIEŚĆ RITY

Najciekawsza jest dla mnie Suchanow jako rozmówczyni Rity, żony Witolda Gombrowicza. Kilka sesji rozmów, jakie odbyły, rzuca nowe światło na wiele spraw. Rozdziały poświęcone dzieciństwu Rity, jej wzrastaniu, edukacji, wreszcie intymnym szczegółom relacji z Gombrowiczem to najbardziej poruszające fragmenty biografii.

Rita – wychowana w wielodzietnej bogobojnej rodzinie Labrosse'ów w Quebecu, urodzona jako piąte z dziesięciorga dzieci (pierworodny syn zmarł wkrótce po narodzinach) – z wyraźną niechęcią podchodzi do katolickiej formacji, w jakiej wzrastała, traktując ją jako opresyjną i godną politowania. „Dziesięcioro dzieci. Biedna kobieta" – wyrazi się o matce, a swą rodzinę ujmować będzie jako bez mała patologiczną.

Wyrwanie się z mrocznego domu i mrocznej Kanady stanie się więc naczelnym celem młodej Rity.

Czym znaczona będzie droga dziewczyny ku emancypacji? Jak Rita będzie wybijać się na niezależność? Jak wychodzić z opresji? Dość banalnie. Uwodząc starszych mężczyzn: „Uwielbiałam starych profesorów, stawałam się ich pupilką, zadawałam pytania, a oni odpowiadali". Tak zauroczyła profesora Uniwersytetu Montrealskiego – Guya Boulizona, który później załatwił jej stypendium we Francji („Ponieważ czasy były pruderyjne, można było tylko wyjechać gdzieś samochodem i uprawiać »necking« – całowanie po karku").

Nie inaczej owinęła sobie wokół palca profesora Pierre'a-Henri Simona, poznanego na kolacji u Boulizonów. Kolejny lewicowy katolicki intelektualista, który później, we Francji, stanie się jej patronem naukowym pomagającym w karierze naukowej. Ten posunął się dalej, ich związek trwał kilka lat: „Były poważne propozycje, nawet rozważania o rozwodzie".

Romanse rozgrywały się na oczach żon, bo Rita była zapraszana do ich domów, robiąc za obiecującą uczennicę, przyjaciółkę rodziny. Owszem, w tym samym czasie pozostawała w erotycznym związku z młodym Hiszpanem, uchodźcą z frankistowskiej ojczyzny, ale – jak podsumowuje ten burzliwy okres Klementyna Suchanow – skłonność do „tatusiów" wygrała z pociągiem do rówieśników.

Związek z Gombrowiczem będzie się jednak różnił od relacji, jakie Rita nawiązywała wcześniej ze swymi profesorami. On – schorowany, wciąż walczący o literacki i materialny sukces, mający lat 60, ona 29… I przecież interes w wiązaniu się ze starym pisarzem nie był dość pewny. Jak napisała Litka de Barcza, przyjaciółka Witolda, w liście do Rudolfa Richtera, oceniając swoją wizytę w Vence: „Pewno, że jak jego forsę przepuści, to rzuci się gdzie indziej. Ale, muszę powiedzieć, doszlusowała do niego, jak jeszcze żadnej forsy nie było. Tyle że doczekała się jej po latach, co b. się jej chwali, bo zniuchała, że na dobrego konia postawiła, co np. krytykom literackim b. rzadko się zdarza".

Późniejsze lata zaprzeczyły cynizmowi Litki – Rita nie tylko wytrwała przy boku Witolda do końca, w zdrowiu i chorobie, ale i została fantastyczną opiekunką jego schedy, broniącą integralności jego dzieł, prawdziwym skarbem, który przydarzył się kulturze polskiej.

W rozmowach z Klementyną Suchanow Rita Gombrowicz jest niesamowicie szczera. Osiemdziesięcioletnia wdowa postanowiła porzucić wszelką dyskrecję, by dopuścić nas do prawdy o ich historii. Opowiada więc o swoim romansie z 26-letnim Alistairem Hamiltonem, jaki miała za przyzwoleniem Witolda.

„Czy romans tłumacza »Pornografii« z Ritą odmładza Gombrowicza jak Fryderyka? Czy – pyta Suchanow, cytując powieść – »szukał grzechu, który by go z nimi spoufalił«?". Chyba niekoniecznie, sprawy były bardziej bolesne. Rita opowiada: „Witold cały czas się bał, że go opuszczę. Wyobrażał sobie, że jest stary… nie mógł uwierzyć, że młoda kobieta może go chcieć, a ja go kochałam, podobał mi się jako mężczyzna. Nigdy bym go nie opuściła".

Rita jest rozmówczynią wyśmienitą.

Doskonale relacjonuje swą podróż do szarej, przerażającej ją gomułkowskiej Polski.

Z autoironią mówi o swych stylizacjach, modzie (kostiumy ze spodniami Yves'a Saint Laurenta), ale i pozerstwie, gdy – aby wyglądać na kobietę wyzwoloną – pozowała do zdjęć z papierosem w ręku, choć nigdy nie paliła…

Ujawnia też jeden wstrząsający fakt.

GOMBROWICZ JUNIOR

W „Kronosie" zapis jest lakoniczny. Czerwiec 1965:

W tyłku wrzód, przecina chirurg Raffo, przedłużenie pobytu. Źle oddycham. Rita zwierza się, panika z Paczkowskimi, zabieg w Genui.

W relacji Rity rzecz zyskuje dramatyczne wypełnienie. Okazuje się, że od trzech miesięcy jest ona w ciąży. A kłopot z wrzodem Gombrowicza i przedłużenie pobytu u Paczkowskich komplikuje jej plany. Posłuchajmy Rity: „Witold zawsze bardzo uważał, ale zdarzyło się. Nie powiedziałam mu jednak o tym i sama pojechałam do »planning familial« w Nicei. To było nowe miejsce, w którym pomagano kobietom w podobnych sytuacjach. Inaczej jeździło się do Szwajcarii lub Londynu, gdzie aborcja była dozwolona, jednak trzeba było mieć na to pieniądze. Zarezerwowałam termin na zabieg w Nicei, który straciłam przez tygodniowe opóźnienie". W tej sytuacji – pisze Suchanow – wyznaje prawdę Witoldo-

eprasa.pl 75e3f2809d

wi i Paczkowskim. Wszyscy wpadają w panikę. Witold metodycznie sporządza listę pytań. Przede wszystkim ważne są: „1. Pewność 2. Znieczulenie 3. Ile dni musiałaby być w klinice?". „Wiedziałam, że nie chce mieć dzieci – opowiada Rita – z powodu szaleństwa w rodzinie Kotkowskich. Ja wówczas też nie chciałam. Po zastanowieniu i naradzie z naszymi przyjaciółmi zdecydowaliśmy, że poddam się zabiegowi w prywatnym mieszkaniu lekarza w Genui".

No i dalej – cytuję za przesłanym mi „egzemplarzem recenzenckim": „Zabieg miał miejsce w mieszkaniu prywatnym lekarki, bo aborcja we Włoszech była nielegalna i szło się za nią do więzienia. To było straszne dla kobiet, zdarzały się zgony… Mój zabieg odbył się na stole, bez, pardon, znieczulenia. Znieczulenie mogło wywołać krwawienie, a bez niego było mniejsze ryzyko. Tyle że bardziej bolało. To trwało prawie… brrrr…

To był mały chłopiec. Po aborcji Witold bał się, przestaliśmy uprawiać seks, nie było wtedy antykoncepcji" (rozmowa z Ritą Gombrowicz, listopad 2015).

A więc – był. Nie imaginowany południowoamerykański bękart, zmyślony przez Gombrowicza w „Dzienniku" (zapisy z lutego 1968):

Okrążający syn nieślubny
Nieślubność krągła syna!
Gabinet Rosy okrągły
W którym napoczął się syn!

Nie twór wyobraźni, który zainspirował Grzegorza Packa do zrealizowania kapitalnego mockumentu o poszukiwaniach nieślubnego dziecka (film pod tytułem „List z Argentyny" 1997), ale – do bólu realny, z określoną płcią, wiekiem…

Urodziłby się na przełomie 1965 i 1966 r., gdzieś pomiędzy Piotrem Semką a Pawłem Lisickim. Młody Gombrowicz.

Czy zasiliłby nasze łamy, niczym młody Tyrmand? Losy dzieci słynnych pisarzy bywają różne, można sobie gdybać do woli. Gdyby przeżył… Ktoś może pójść tropem Wisławy Szymborskiej, która w wierszu „W biały dzień" motała Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w banalność („Do pensjonatu w górach jeździłby, na obiad do jadalni schodziłby, […] »panie Baczyński, telefon do pana« i nic dziwnego w tym nie byłoby"). Ktoś może popuścić wodze fantazji, uznając, że Gombrowicz junior, ten to dopiero dałby nam popalić.

W 1989 r. miałby lat 23, teraz przekroczyłby już pięćdziesiątkę. Sprawa niesamowita. Czy to poruszenie wyobraźni powodowane jest moim prolajferskim podejściem? Być może, ale przecież sam Gombrowicz, tak chętnie rozpatrujący różne warianty losu, skręty w tę ścieżkę albo inną, mógłby patronować takim rozważaniom. Kim byłby Młody? Wiele dzieciaków słynnych ludzi sprawia zawód. Nie wytrzymują presji, gubią się. Zresztą czas był krótki. Witold miałby przed sobą niecałe cztery lata ojcostwa. Chyba że narodziny syna dodałyby mu sił. Patrzyłby ze zdziwieniem na rosnące życie, poszukiwał w rysach oseska własnych cech… On na wózku i dzieciak w wózku. A przy nich krzątająca się Rita. No tak, pozostaje nam gdybanie: Synczyzna została unicestwiona.

Cóż, inni mogą przy okazji wydania biografii Gombrowicza zachłystywać się, że pisarz zostawił nam zadania intelektualne na 300 lat, a mnie poruszyła wieść o Młodym i przyćmiła wszelkie inne wątki. No i piszę o tym, bo przecież trzeba zdawać sprawę z własnej indywidualnej lektury. Prawda, Mistrzu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

SMART GETS REAL

KOLEJNY SMARTWATCH OD CITIZEN

Japoński producent niezawodnie zaskakuje wyjątkowymi nowościami. Na jesień proponuje nową odsłonę hybrydowego czasomierza analogowego łączącego funkcje typy „smart".

Zegarek CITIZEN Bluetooth łączy się z telefonem komórkowym oferując wachlarz opcji dostępnych za pomocą dedykowanej aplikacji (zarówno na Android jak i IOS): auto-korekta czasu na podstawie czasu z telefonu, 316 miast świata do wyboru strefy czasowej, alarmy. Powiadomienia o nadchodzących telefonach, wiadomościach, notyfikacjach pojawiają się wedle spersonalizowanych ustawień za pomocą sygnału dźwiękowego, wibracji bądź subtelnego ruchu wskazówki na tarczy. Obłędnie niebieska tarcza służy także jako panel słoneczny, który wyłapuje światło z każdego źródła (nawet sztucznego i przyciemnionego). Dzięki modułowi Eco-Drive – zegarek CITIZEN przetwarza to światło w energię, aby zasilić nią mechanizm oraz wszystkie smart-funkcje bez potrzeby ładowania, używania kabli bądź wymiany baterii. Model ze sportowym zacięciem - na kauczukowym pasku z charakterystycznie ciętym szafirowym szkłem.

CITIZEN BLUETOOTH
BZ1020-14L
CENA: 2290 ZŁ
CITIZEN.PL

eprasa.pl 75e3f2809d

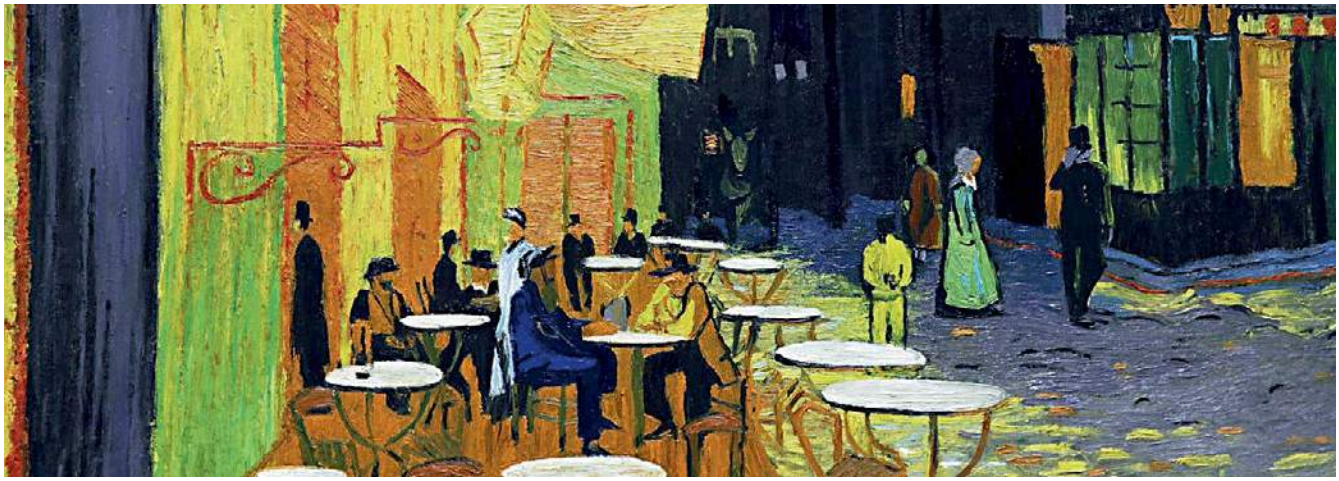

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wszyscy kochają Vincenta

Film, reklamowany jako pierwsza w historii pełnometrażowa „animacja malarska", jest ucztą dla oczu, lecz już niekoniecznie dla rozumu. Jego twórcy postąpili bowiem odwrotnie niż tytułowy bohater. Odrzucając ryzyko pójścia własną drogą, postawili na bezpieczny banał.

„Twój Vincent" to hołd złożony twórczości artysty, który żadnego wsparcia nie potrzebuje – jest dziś najsłynniejszym malarzem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Sława Picassa przyblakła, przed dziełami dawnych mistrzów bijemy pokłony bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Autorowi „Słoneczników" popularnością dorównują jedynie impresjoniści, lecz oni są bytem zbiorowym. Król palety był tylko jeden i nazywał się Vincent van Gogh. Trudno uwierzyć, że jego obrazy mogły się nie podobać. Holender z ryżą bródką umarł w poczuciu klęski, przekonany, iż zmarnował życie. Któż mógł wtedy przypuszczać, że dla przyszłych pokoleń typ buntownika outsidera będzie najdoskonalszym wcieleniem artysty?

Liczby zawsze robią wrażenie, dlatego każdy opis „Twojego Vincenta" zaczyna się od wyliczanki. 125 malarzy zużyło 3 tys. litrów farby po to, by widzowie mogli podziwiać 65 tys. ręcznie pokolorowanych klatek. Film rzeczywiście budzi podziw. Chciałoby się wierzyć, że ludzie, których van Gogh sportretował i tym samym unieśmiertelnił, w rewanżu schodzą z obrazów i opowiadają jego historię. Prawda jednak jest bardziej przyziemna. Nie trzeba zeskrobywać z ekranu warstwy farby, by domyślić się, że mamy do czynienia ze zwykłym filmem. Aktorzy, poprzebierani w stroje z epoki, zagrali to, o co ich proszono, a dopiero potem w ruch poszły pędzle.

Scenariusz powstawał w bólach, ostatecznie użyto sprawdzonej konwencji śledczej. Kto zabił van Gogha? Aroganckiemu i z reguły nietrzeźwemu synowi listonosza z Arles spowiadają się wszyscy: paryski sprzedawca farb, karczmarka i lekarze z Auvers-sur-Oise (miasteczka, w których malarz spędził ostatnie i najbardziej twórcze tygodnie swojego życia), kobieta, do której być może czuł miętę przez rumianek. Rok po śmierci holenderskiego przybłędy ludzie, którzy się z nim zetknęli, już mają go za geniusza lub przynajmniej to przeczuwają. To grzech pierworodny większości „biografii sławnych ludzi". Trudno jednak wyzbyć się prezentyzmu, wiedząc, że publiczność odrzuciłaby wizerunek zapijaczonego gbura. Lepiej już cytować listy do brata, w nich van Gogh przedstawia się jako wrażliwiec i człek o stalowym kręgosłupie moralnym. W tak ustawionej grze się nie przegrywa. Nawet jeśli Oscar trafi w inne ręce, „Twój Vincent" zapewni swoim twórcom rozgłos i godziwy dochód. ©℗

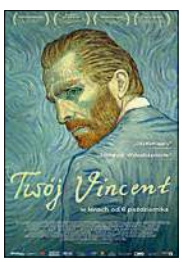

★★★★☆☆

REŻ. DOROTA KOBIELA, HUGH WELCHMAN
„TWÓJ VINCENT"
POLSKA/WIELKA BRYTANIA 2017

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „GEOSTORM"

Dean Devlin znany był dotąd ze współpracy z Rolandem Emmerichem – jako producent współtworzył jego hity: „Gwiezdne wrota", „Dzień Niepodległości", „Godzillę". Teraz sam debiutuje w kinie jako reżyser katastroficznej superprodukcji, w której ludzkość staje na krawędzi zagłady, gdy system satelitów stworzonych do kontrolowania pogody zamiast zapobiegać niebezpieczeństwu, tylko je potęguje. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Geostorm", reż. Dean Devlin, wyst. Gerard Butler, Jim Sturgess, Abbie Cornish, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Człowiek z magicznym pudełkiem", reż. Bodo Kox, Polska 2017***
- ***„Ach śpij, kochanie", reż. Krzysztof Lang, Polska 2017***
- ***„Pomiędzy nami góry" („The Mountain Between Us"), reż. Hany Abu-Assad, USA 2017***

eprasa.pl 75e3f2809d

Wyspa osłów

Rok 1943. Generał George Patton szykuje się do inwazji na Sycylię. Szeregowy Arturo Giammarresi wybiera się jednak do ojczyzny przodków nie po to, by walczyć z faszystami, lecz by odnaleźć ojca pięknej Flory i prosić go o jej rękę.

„Ciao Italia" zaczyna się jak rubaszna komedia, ogrywająca włosko-amerykańskie stereotypy. Prostoduszni jankesi próbują zniechęcić Sycylijczyków do Mussoliniego, zrzucając na nich bomby, a potem rozdając im papierosy i mleko w proszku. Na wyspie bieda aż piszczy, lecz najważniejsze jest, by zachować honor i nie dać sąsiadom powodów do plotek. Faszyzm spłynął po nich jak woda po kaczce, podobnie jak chrześcijaństwo. Rząd dusz sprawuje mafia i to ona występuje w roli gospodarza. Amerykanom w to graj, bo ich marzeniem jest wygrać wojnę bez jednego strzału.

Jeśli dla autorów tego filmu perypetie Artura i pobocznych postaci były tylko pretekstem do historycznego rachunku sumienia, to zdecydowanie zabrakło im umiejętności, by ów plan wprowadzić w życie. Warstwy komediowa i dramatyczna przeplatają się, nie tworząc sensownej całości i utrzymując widzów w stanie permanentnej konfuzji.

Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. PIF
„CIAO ITALIA!" („IN GUERRA PER AMORE")
WŁOCHY 2016

wyst. Pif, Andrea Di Stefano, Miriam Leone, Stella Egitto

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AUTOBUS PEŁEN WIERSZY

„Paterson" to film, w którym wszystko jest zwyczajne, ale cudowne. I ogląda się go jak optymistyczną fantazję. Oto kilka dni z życia kierowcy autobusu, który w sekrecie przekuwa okruchy otaczającego go rzeczywistości na wiersze. W mieście Paterson wszyscy tak naprawdę są artystami: rapujący ziomal spotkany nocą w pralni, barman budujący legendę swego baru i miasta, kobieta głównego bohatera, która oddaje się malarstwu, 10-letnia dziewczynka zapisująca wiersze w notatniku. Nawet przechwalający się swoimi rzekomymi podbojami miłosnymi robotnicy próbują z nieistotnych zdarzeń stworzyć coś więcej – niezwykłą historię. Życie ma bowiem sens, kiedy przekuwamy je na coś więcej właśnie – podpowiada reżyser Jim Jarmusch. Nawet gdy to tylko pisanie na wodzie. W roli głównej znakomicie wypada Adam Driver (Kylo Ren z „Przebudzenia mocy" i misjonarz „Garupe" z „Milczenia"). Wiersze specjalnie na potrzeby filmu napisał Ron Padgett, poeta ze szkoły nowojorskiej (do której należą też O'Hara, Koch, Ashbery). ©℗

★★★★★☆

REŻ. JIM JARMUSCH
„PATERSON"
USA 2016, KINO ŚWIAT

wyst. Adam Driver, Golshifteh Farahani

A NA PLAŻY MI SIĘ MARZY

W nowej wersji „Słonecznego patrolu" gwiazdą plaży jest ratownik grany przez Dwayne'a Johnsona, wokół niego po piasku biegają piękne panie: Kelly Rohrbach jako nowa wersja C.J. Parker oraz intrygująca egzotyczną urodą Ilfenesh Hadera, prawa ręka Mitcha. Akcję uruchamiają dwa wydarzenia. W Emerald Bay pojawia się tajemnicza bogata piękność (Priyanka Chopra), która ma wielki apetyt na miejscowe nieruchomości, a wraz z nią przypływa fala przemocy i narkotyku flakka. Drugi wątek to nowicjusze w patrolu. Co roku rekrutowany jest jeden, a wśród kandydatów tego lata mamy m.in. dwukrotnego mistrza olimpijskiego w pływaniu Matta Brody'ego (Zac Efron), kolejną dziewczynę nadającą się do ujęć slow motion, czyli piękną Summer Quinn (Alexandra Daddario) oraz otyłego niezgułę imieniem Ronnie (Jon Bass). Komedia lekka i głupawa, ale mimo wszystko poprawia humor. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★☆☆☆☆

REŻ. SETH GORDON
„BAYWATCH. SŁONECZNY PATROL" („BAYWATCH")
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Dwayne Johnson, Zac Efron, Alexandra Daddario, Kelly Rohrbach

GRA TYGODNIA: „ORIENTAL EMPIRES"

★★★★☆☆

Gry, których akcja zakorzeniona jest w historii Państwa Środka, należą do rzadkości. Niemniej raz na jakiś czas pojawiają się ambitne produkcje, które tę lukę wypełniają. Jedną z nich jest strategia turowa „Oriental Empires", która w autorski sposób łączy mechanikę rozgrywki serii „Civilization" z bitwami przypominającymi starcia z „Total War". Mamy zatem mapę kampanii podzieloną na heksy i potężne armie podzielone na oddziały. Największa różnica? Nie sterujemy nimi samodzielnie, tylko wydajemy rozkazy. Efekt? Ciekawa propozycja, niestety w warstwie taktycznej momentami mocno losowa. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Shining Pixels/Techland*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 75e3f2809d

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Herby i flagi

O ile „heraldyka" jest terminem powszechnie znanym, o tyle „weksylologia" wymaga objaśnienia. Najprościej powiedzieć można, że tak jak pierwsza z tych pomocniczych nauk historii dotyczy herbów, tak druga – flag. Z tymi ostatnimi spotykamy się często; zwykle są to flagi państw i miast oraz różnych jednostek samorządu terytorialnego. Własnych jednak weksyliów, nie tylko flag, lecz także sztandarów, proporczyków i bander, używają również siły zbrojne, policja, straż graniczna oraz straż pożarna, uczelnie i szkoły, instytucje, firmy, organizacje i stowarzyszenia, grupy etniczne i narodowościowe, związki religijne i kluby sportowe.

Równie często w przestrzeni publicznej stykamy się z herbami. O tym, gdzie, kiedy i dlaczego powstały, dowiedzieć się możemy z przepięknej pod względem edytorskim, imponującej publikacji Arkad – „Heraldyki i weksylologii" Alfreda Znamierowskiego. Mająca formę leksykonu wielka księga zawiera 1,6 tys. haseł i 3 tys. ilustracji przedstawiających ponad 2 tys. herbów i 1,2 tys. weksyliów oraz liczne mapy, symbole graficzne, pieczęcie, monety i odznaki. Przy tym ta benedyktyńska praca Alfreda Znamierowskiego (powstała przy współpracy i redakcji Janusza L. Kaczmarka) nie jest dziełem wyłącznie historycznym, jak nie tylko do historii przynależy heraldyka. Wprawdzie za heraldykę żywą uważa się czas do XV stulecia, gdy znaki bojowo-rozpoznawcze używane były w bitwach, jednak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat stworzono więcej herbów niż przez poprzednie 800 lat. W samej Polsce od 1990 r. ustanowiono ponad 2,4 tys. herbów jednostek samorządu terytorialnego. Tak dzieje się i gdzie indziej, niemal na całym świecie.

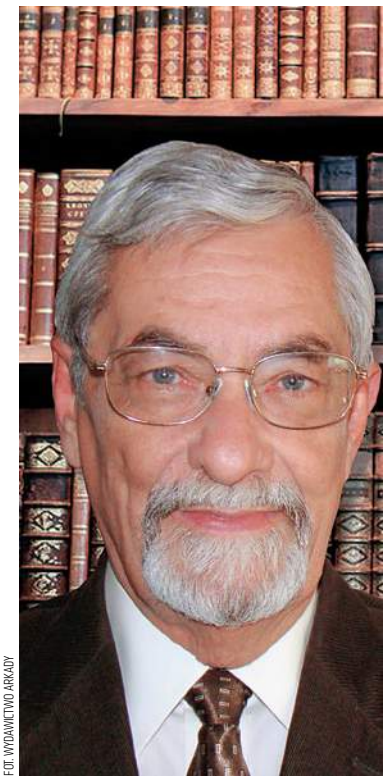

FOT. WYDAWNICTWO ARKADY

Mająca formę leksykonu wielka księga zawiera 1,6 tys. haseł i 3 tys. ilustracji przedstawiających ponad 2 tys. herbów i 1,2 tys. weksyliów

„Heraldyka i weksylologia" oprócz historyków zainteresuje niemałe grono kolekcjonerów, a myślę, że niezwykła ikonografia sprawi, iż obok tego dzieła nie przejdzie obojętnie żaden miłośnik książki naprawdę pięknej. A żeby zaciekawić laików, wymienię tylko kilkanaście haseł zaczynających się np. na literę L: „labarum", „labry", „Larysza", „laska tau", „Le Blancq Armorial", „legenda herbowa", „Lelewel Joachim", „Leliwa", „Leo Belgieus", „Lew Judy", „lewart", „lilia", „litewska heraldyka", „logo", „Lubicz".

Polecam jednak tę książkę nie tylko do czytania, lecz także do oglądania, do smakowania skrytych w niej delicji. A przypomnieć jeszcze warto postać autora dzieła.

Alfred Znamierowski, wnuk znanego filozofa i prawnika, prof. Czesława Znamierowskiego, urodził się w 1940 r. w Warszawie. Pracował jako dziennikarz, artykuły o flagach i banderach publikując już w pierwszej połowie lat 60. w licznych czasopismach.

Następnie wyjechał z Polski, w 1966 r. uzyskując azyl polityczny we Francji. Przez 12 lat pracował w Radiu Wolna Europa, a na przełomie lat 80. i 90. w Głosie Ameryki, m.in. jako rzymski korespondent tej rozgłośni. Był członkiem władz Ruchu Społeczno-Politycznego Pomost i członkiem Solidarności Walczącej.

W 1978 r. założył w San Diego, w USA, ośrodek The Flag Design Center. Był dyrektorem artystycznym przedsiębiorstwa zajmującego się produkcją flag i głównym ilustratorem pisma „The Flag Bulletin".

Przez Międzynarodową Federację Stowarzyszeń Weksylologicznych (FIAV) wyróżniony został tytułem Fellow of the Federation i Vexillonem – najwyższą nagrodą za wybitny wkład w rozwój weksylologii. Po roku 1989 Alfred Znamierowski powrócił do kraju. W 1992 r. został współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Weksylologicznego, następnie jego prezesem i wiceprezesem. Jest autorem wielu książek, m.in.: „Flag świata", „Herbarza rodowego", „Wielkiej księgi heraldyki" i „Orła Białego – znaku państwa i narodu". ©℗

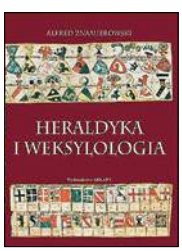

★★★★★★

ALFRED ZNAMIEROWSKI „HERALDYKA I WEKSYLOLOGIA" ARKADY 2017

eprasa.pl 75e3f2809d

POLONIA RECORDATUR · POLSKA PAMIĘTA ·

DODATEK SPECJALNY

Mordy popełnione na księżach w PRL

- Metody zabójców z SB
- Sfabrykowane śledztwa
- Kto stał za oprawcami?

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

eprasa.pl 75e3f2809d

Pogrzeb ks. Jerzego

SPIS TREŚCI

IV–IX MACIEJ ROSALAK
MĘCZEŃSTWO KS. JERZEGO
Komuniści zabili go, bo zrozumieli, że pojawił się ktoś niezwykle charyzmatyczny, kto może zagrozić systemowi opartemu na zniewoleniu, kłamstwie i lęku...

X–XI FOTOREPORTAŻ GROZY
ŚWIADECTWO UTRWALONE W KADRZE
Józef Popiełuszko: „To, co zobaczyłem, było straszne – ciało zostało potwornie zmasakrowane. [...] Brat miał na piersi charakterystyczne znamię i tylko po tym go poznałem"

XII–XV PYTANIA PIOTRA WŁOCZYKA
TOMASZ WIŚCICKI: ZMOWA MILCZENIA, ZATARTE ŚLADY
Kto rzeczywiście kazał zamordować ks. Popiełuszkę, a także innych księży? Czy IPN ma nowe dowody w tych sprawach? Czy i kiedy poznamy prawdę?

XVI–XIX GRZEGORZ WOŁK
ZABIĆ KSIĘŻY, ROK 1989
Gdy system komunistyczny się już sypał, rozmowy z opozycją trwały w najlepsze, a Polacy zaczęli patrzeć z nadzieją w przyszłość, „nieznani sprawcy" zamordowali trzech kapłanów: Niedzielaka, Suchowolca i Zycha

eprasa.pl 75e3f2809d

Komando śmierci

W komandzie śmierci – jakim była Samodzielna Grupa „D" Departamentu IV MSW – skupia się jak w soczewce istota totalitarnego państwa typu sowieckiego. Zatrudnieni tam funkcjonariusze prześladowali i mordowali z zimną krwią duchownych. Wytresowani jak psy-zabójcy nie mieli wątpliwości co do słuszności swych poczynań. Nauczono ich traktować ofiary jak wrogów oraz wpojono im przeświadczenie, że mord stanowi dopuszczalną, a zarazem najlepszą, bo najskuteczniejszą, metodę walki z nimi.

Osaczyć klechę, szpiegować go, podsłuchiwać, kompromitować, szantażować, zastraszać, a w końcu zabić – oto nakaz, jaki funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa otrzymywali od swych bezpośrednich przełożonych, a ci z pewnością decyzji też nie podejmowali sami. Łańcuch tego draństwa i tych zbrodni piął się ku górze władzy politycznej. Ta „góra" to – prawdopodobnie – sam „pierwszy", a przynajmniej jego najbliżsi zausznicy. Trudno to udowodnić, bo ogniwa wspomnianego łańcucha skutecznie zacierały ślady, Grupa „D" stanowiła zaś jednostkę zakamuflowaną nawet w samych strukturach SB, której bandyckich rozkazów nie wydawano na piśmie.

Nie można więc udowodnić, kto pobił i skrytobójczo zabił w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia 1982 r. ks. Leona Błaszczaka w Cielętnikach ani kto spowodował śmiertelny wypadek samochodowy poznańskiego dominikanina o. Honoriusza Kowalczyka 17 kwietnia 1983 r. koło Mogilna. Wiemy jednak, że obaj bardzo narazili się komunistom. W 1989 r. – o czym szerzej piszemy w tym zeszycie – „nieznani sprawcy" zamordowali ks. Stefana Niedzielaka – duszpasterza Rodzin Katyńskich, ks. Stanisława Suchowolca – duchowego opiekuna białostockiej Solidarności, oraz ks. Sylwestra Zycha – powiernika patriotycznie nastawionej grupy chłopców. Inni księża figurowali na liście „do odstrzału" Departamentu IV MSW – z niepokornym kaznodzieją ks. Stanisławem Małkowskim na czele. Pomagał on m.in. w odprawianiu mszy za ojczyznę ks. Jerzemu Popiełuszce – ofierze mordu szczególnie okrutnego, który na przełomie października i listopada 1984 r. wstrząsnął całą Polską. To jedyny przypadek, kiedy zbóje z komanda śmierci zostali ujęci, postawieni przed sądem i ukarani, a informacje o tym podano do publicznej wiadomości.

Kościół rzymskokatolicki chciano zniszczyć od zarania tzw. Polski Ludowej. Był on bowiem największą instytucją niezależną od komunistycznej władzy. Nauczał o miłości do Boga przejawiającej się w miłości do bliźniego – a nie nienawiści do „wroga klasowego", którym okazywał się każdy, kto kwestionował rządy narzuconej przez Sowietów nomenklatury. Oznaczał też dobro moralnie górujące nad złem. Tak właśnie widziały to miliony Polaków, co już było doprawdy nie do zniesienia dla kolejnych ekip rządzących w naszym kraju od przełomu lat 1944/1945. I wreszcie niszczono Kościół, bo tak chcieli mocodawcy w Moskwie.

Księdzu Jerzemu Popiełuszce i innym duchownym zamordowanym przez komunistyczne komando śmierci – owo ucieleśnienie zła – poświęcamy ten dodatek „Do Rzeczy". ©℗

Maciej Rosalak

REDAKCJA:
Redaktor: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący),
Anna Sobieska-Wójtowicz (grafik),
Jacek Nadratowski (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**
Okładka: **archiwum Marka Popiełuszki/FOTONOVA**

eprasa.pl 75e3f2809d

Męczeństwo księdza Jerzego

Maciej Rosalak

Komuniści zrozumieli, że pojawił się ktoś niezwykle charyzmatyczny, kto może zagrozić systemowi opartemu na zniewoleniu, kłamstwie i lęku...

Pamiętam milion ludzi, którzy zebrali się na mszy świętej 3 listopada 1984 r. w centrum Żoliborza. Szczelnie otaczali oni kościół pw. św. Stanisława Kostki, ale wypełnili także cały pl. Wilsona i szerokie wyloty ulic trzech wieszczów. Pamiętam też późny wieczór i noc poprzedzające tę patriotyczną mszę manifestację, kiedy kolejka tych, którzy chcieli pokłonić się przed trumną bestialsko zamordowanego kapłana, sięgała aż wiaduktu nad Dworcem Gdańskim. Wiał dotkliwy, mroźny wiatr, a chłód przenikał ciała i serca. Oto Polacy żegnali ks. Jerzego Popiełuszkę, który mówił do nich, by zło zwyciężali dobrem, i w ich imieniu próbował poruszyć sumienia oraz umysły komunistów rządzących krajem za pomocą terroru. Tego terroru stał się właśnie ofiarą.

NA TAMIE WE WŁOCŁAWKU

Przebieg wydarzeń wedle wersji przyjętej przez sąd podczas procesu morderców ks. Jerzego Popiełuszki wyglądał następująco. Trzech funkcjonariuszy Samodzielnej Grupy „D" MSW zatrzymało 19 października 1984 r. samochód, którym ksiądz wracał z Bydgoszczy. Przebywał tam na zaproszenie Duszpasterstwa Ludzi Pracy w parafii Świętych Polskich Braci Męczenników. Porwanie nastąpiło wieczorem na drodze do Torunia niedaleko Górska. Grupą oprawców ubranych w mundury milicji drogowej dowodził kpt. Grzegorz Piotrowski, mając pod komendą poruczników Waldemara Chmielewskiego i Leszka Pękalę.

Kierowcę i ochroniarza ks. Jerzego – Waldemara Chrostowskiego – podobno skuto kajdankami i posadzono na prawym przednim siedzeniu w wozie esbeków, a księdza pobito i wrzucono do jego bagażnika. Kiedy usiłował się stamtąd wydostać, pobito go jeszcze dotkliwiej, a w końcu związano tak, że jeśliby chciał rozprostować nogi, to udusiłaby go pętla zaciągnięta na szyi. Podczas jazdy Chrostowskiemu udało się

eprasa.pl 75e3f2809d

Zwłoki ks. Jerzego Popiełuszki po wyłowieniu z Wisły w końcu października 1984 r.

uciec i poinformować o porwaniu władze kościelne. Chociaż wypadł z pędzącego pojazdu, nic wielkiego mu się nie stało, a kajdanki same rozpięły się podczas skoku. Porywacze nie zatrzymali się ani go nie szukali. Cóż, te nader szczęśliwe okoliczności, plus informacje o współpracy Chrostowskiego z SB (jako TW „Desperat"), skłoniły po latach m.in. dziennikarza śledczego Wojciecha Sumlińskiego i prok. Andrzeja Witkowskiego do powątpiewania w wiarygodność kierowcy – jedynego naocznego świadka.

Nie widział on zresztą, jak zamordowano księdza, bo wyskoczył wcześniej. Z zeznań oskarżonych miałoby wynikać, że zatrzymali się oni około północy na jezdni biegnącej po zaporze na Wiśle we Włocławku. Tam do nóg skatowanego, zapewne jeszcze żyjącego człowieka przywiązali worki z kamieniami – po 10 kg każdy – i zrzucili do wody z wysokości kilkunastu metrów.

Kiedy do społeczeństwa dotarła wiadomość najpierw o zniknięciu, a potem o śmierci znanego powszechnie kapłana, miliony ludzi przeniknął dojmujący ból. Na plebanii św. Stanisława Kostki psem księdza – Tajniaczkiem – opiekowała się wtedy pani Joanna Sokół, prawniczka. W rozmowie z Włodzimierzem Rędziochem („Święty Jerzy XX wieku…" patrz: przypis na końcu artykułu) przypomniała, że po podaniu informacji o porwaniu księdza w wieczornym „Dzienniku Telewizyjnym" „pierwsza zjawiła się aktorka Kalina Jędrusik. Ona mieszkała bardzo blisko, zaraz za kościołem. Była w koszuli nocnej, na to miała narzucony jakiś płaszczyk z futra. Była zapłakana i zrozpaczona. Martwiłam się o nią, bo się dusiła (nie wiedziałam, że ma astmę). W jednej ręce trzymała papierosa, a w drugiej inhalator. Drugą osobą był mieszkający również niedaleko aktor Jan Kobuszewski, a potem to już przybywały tłumy".

Zbrodni politycznych komuniści dopuszczali się od początku swoich rządów, i to za każdej kolejnej ekipy; nie tylko podczas terroru lat stalinowskich. Prześladowali i mordowali także księży. Jednak po raz pierwszy (i ostatni...) w historii PRL sami ujęli wykonawców mordu, podali ich nazwiska do publicznej wiadomości i urządzili im proces. Czy tylko dlatego, aby oczyścić z podejrzeń rządzący duumwirat, wywodzący się z wojskowych służb specjalnych: Jaruzelski – Kiszczak? Czy pogrążenie przeciwników w obozie władzy i w policji politycznej – a przede wszystkim Mirosława Milewskiego, który rychło stracił funkcje członka Biura Politycznego KC PZPR i sekretarza KC PZPR – warte było ogromnego wzburzenia społeczeństwa, i tak wystarczająco dotkniętego już stanem wojennym? Czy może zgrabnie przedstawiona podczas procesu historyjka o kilku zdezorientowanych i nazbyt brutalnych funkcjonariuszach SB miała w istocie zakryć w mroku innych mocodawców – jak to się wtedy mówiło i pisało przy okazji „kolejnych historycznych zdobyczy socjalizmu" – „ze Związkiem Radzieckim na czele"? Czy wreszcie męczennik istotnie pożegnał się z życiem 19 października, a nie później, po dalszych torturach? Cóż, w obiektywie kamer zwłoki wyłowiono z Wisły pod tamą dopiero 30 października. Niektórzy i akcję płetwonurków uznają za mistyfikację…

Wydobyte ciało księdza przewieziono do białostockiego Zakładu Medycyny Sądowej. Identyfikował je 2 listopada brat Józef. Mówił: „To, co zobaczyłem, było straszne – ciało zostało tak zmasakrowane, że trudno było je rozpoznać. Gdy otworzyli mu usta, nawet nie było widać języka, tylko jakby galaretę. Zdjęcia, które zostały opublikowane, zrobiono już po kosmetyce… Brat miał na piersi charakterystyczne znamię i tylko po tym go rozpoznałem".

Alek, jako ministrant, z rodzicami – matką Marianną i ojcem Władysławem

Wracając do procesu, który odbył się w Toruniu. Podobno mordercy działali z polecenia jedynie bezpośredniego przełożonego – płk. Adama Pietruszki. I tylko tych czterech funkcjonariuszy stanęło przed sądem w końcu grudnia, a 7 lutego 1985 r. usłyszało wyroki. Pietruszka dostał 25 lat więzienia (zwolniono go po 10 latach), dowódca i najbardziej bestialski z wykonawców zbrodni Piotrowski otrzymał też 25 lat (przesiedział 15), Pękala – 15 lat (przesiedział sześć), a Chmielewski – 14 (spędził w więzieniu pięć lat).

MSZE ZA OJCZYZNĘ

Ksiądz Jerzy bardzo naraził się bezpiece, gdy 31 sierpnia 1980 r. odprawił mszę świętą dla robotników strajkujących w Hucie Warszawa, a potem utrzymywał z hutnikami należącymi do NSZZ „Solidarność" stały kontakt. Młody kapłan przemawiał podczas strajku do 10 tys. pracowników huty, a znalazł się

eprasa.pl 75e3f2809d

tam przypadkowo (a może zadziałała Opatrzność...). Otóż kapelan prymasa Wyszyńskiego, ks. Bronisław Piasecki, poszukując księdza do tej nietypowej posługi, przyjechał do kościoła św. Stanisława Kostki akurat w momencie, gdy do zakrystii wszedł ks. Jerzy. Zapytany, czy zechciałby pojechać do Huty Warszawa, zgodził się natychmiast...

Podczas I Krajowego Zjazdu NSZZ „Solidarność" pełnił we wrześniu i w październiku 1981 r. posługę kapłańską w hali Olivia. Na przełomie listopada i grudnia tego roku wspomagał natomiast studentów strajkujących podczas głośnego strajku studentów stołecznej Wyższej Szkoły Oficerskiej Pożarnictwa. 19 maja 1983 r. prowadził pogrzeb maturzysty Grzegorza Przemyka, jedynego syna opozycyjnej poetki Barbary Sadowskiej, śmiertelnie pobitego przez milicjantów w komisariacie na warszawskim Starym Mieście. Z kolei pod koniec lata tegoż roku zorganizował pierwszą pielgrzymkę ludzi pracy na Jasną Górę i 18 września odprawił mszę świętą na wałach historycznego klasztoru.

W stałym rozkładzie zajęć Służby Bezpieczeństwa ks. Jerzy Popiełuszko znalazł się na początku września 1982 r., po pół roku odprawiania przezeń mszy za ojczyznę w warszawskim kościele św. Stanisława Kostki. Bezpieka nadała akcji kryptonim Popiel. Ponad 70-letni proboszcz parafii św. Stanisława Kostki, ks. Teofil Bogucki (1908–1987), rozpoczął odprawianie mszy za ojczyznę już w październiku 1980 r. Był on dla ks. Jerzego jak ojciec, nie tylko duchowy – tak odnosił się do niego 30-latek z Podlasia. Przejął prowadzenie tych mszy od ks. Boguckiego po prawie dwóch latach. Na początku nie uczestniczyło w nich wielu ludzi, ale sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy osoby z otoczenia ks. Jerzego – wśród których znajdowało się liczne już grono artystów – zaczęły pisać „solidarycą" i umieszczać na ulicach informacje o tych mszach z udziałem „znanych", ale nie wymienionych z nazwiska aktorów. Ten, kto raz przyszedł i usłyszał jego kazanie, już przychodził stale. Dlaczego?

Alumn Popiełuszko jako żołnierz jednostki specjalnej WP w Bartoszycach

Jak mówi współpracownik i powiernik księdza Adam Nowosad: „Ksiądz Jerzy nie pisał sobie scenariuszy, on najzwyczajniej odnosił się do tego, co działo się aktualnie w Polsce. Miał taki dar, że potrafił odczytać, co będzie ludzi w danym momencie interesować najbardziej, czego oczekują". A dlaczego tak bardzo przeszkadzało to reżimowi? „Po pierwsze dlatego, że ks. Jerzy pokazał, iż można tak wielu ludzi sprowadzić do Kościoła. Po drugie chyba dlatego, że ludzie słyszeli tam to, co reżim bolało najbardziej – mianowicie wezwanie do życia w prawdziwej wolności. Całe przesłanie ks. Jerzego było i pozostaje wezwaniem do życia w wolności, nawet w warunkach zewnętrznej opresji i ucisku. […] I tak jak powiedział w swoich ostatnich słowach, byśmy byli wolni również od chęci odwetu, nawet na ówczesnej władzy. Chyba to te wezwania najbardziej im przeszkadzały. Zrozumieli, że pojawił się ktoś niezwykle charyzmatyczny, kto może w przyszłości zagrozić systemowi, opartemu przecież na zniewoleniu, kłamstwie i lęku".

Rychło zaczęto szykanować uczestników tych mszy świętych. Legitymowano ich, zabierano im dokumenty, zdarzały się wyrzucenia z pracy i pobicia. Grożono spaleniem kościoła, wysadzeniem plebanii w powietrze, wykończeniem „starego", czyli ks. Teofila. Bez skutku. Tym bardziej więc osaczano samego ks. Jerzego.

Ksiądz Jerzy z Anną Walentynowicz i Sewerynem Jaworskim oraz (z tyłu, z prawej) aktorem Mieczysławem Voitem

NIECH ON NIE SZCZEKA!

Był on szczupły, niewysoki i – pomimo młodego wieku – bardzo schorowany. Do anemii i choroby serca, na które cierpiał, przyczyniło się niewątpliwie wyjątkowo brutalne traktowanie podczas służby wojskowej. Dostał do niej powołanie jako 19-latek, po pierwszym roku studiów w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie. Służył w specjalnej jednostce w Bartoszycach, w której miano sponiewierać, upokorzyć i moralnie złamać alumnów, a w efekcie skłonić ich do porzucenia myśli o kapłaństwie. W tym to 54. szkolnym batalionie ratownictwa terenowego czekały kleryków bezsensowne wielogodzinne

eprasa.pl 75e3f2809d

Duże zdjęcie w muzeum przy kościele św. Stanisława Kostki: ks. Popiełuszko głosi Słowo Boże na wałach jasnogórskich

ćwiczenia i nocne alarmy, czołganie się na mrozie oraz czyszczenie toalet w masce przeciwgazowej. Ponieważ odkryto, że szeregowiec Popiełuszko nie potrafi pływać, wrzucano go do basenu i trzymano tam dopóty, dopóki nie zaczynał się topić.

Nie zdołano jednak złamać chłopskiego syna z Podlasia. To on podtrzymywał na duchu kolegów i umacniał w nich opór. Warto szczególnie przypomnieć, jak odmówił dowódcy plutonu zdjęcia różańca, co sam tak opisywał w liście do opiekuna w seminarium, ks. Czesława Miętka:

„Najpierw spisał moje dane. Potem kazał mi zdjąć buty, wyciągnąć sznurówki z butów i rozwinąć onuce. Stałem więc przed nim boso. Oczywiście cały czas na baczność. Zaczął wyzywać. Stosował różne metody. Starał się mnie ośmieszyć. Poniżyć przed kolegami, to znów zaskoczyć możliwością urlopów i przepustek. Na boso stałem przez godzinę… Nogi zmarzły, zsiniały, więc o 21.30 kazał mi buty założyć… Ja zbywałem go raczej milczeniem, odmawiając modlitwy w myśli i ofiarując Bogu cierpienia, powodowane ciężarem plecaka, maski, broni i hełmu, jako przebłaganie za grzechy…. O 22.20 przyszedł polityczny, kazał mi zdjąć różaniec przy nim. A niby z jakiej racji? Nie zdjąłem, bo przecież nikomu nie przeszkadzał, a nie będę zdejmował dlatego, że ktoś nie może na to patrzyć. Zwolnił mnie o 23.00… Poszedłem na salę do spania. Ale nie zdążyłem się położyć, gdy dowódca drużyny ogłosił alarm mojej drużyny za mnie".

Niedługo po wyjściu z wojska w 1968 r. Popiełuszko trafił do szpitala z ostrą anemią. W 1982 r. zakwalifikowano ją w szpitalu jako anemię złośliwą. Operowano mu tarczycę i leczono serce, na które chorował po kres swych dni. 26 września 1983 r. przyjęto go na oddział kardiologiczny z podejrzeniem zawału serca. Było to już w czasie, gdy SB poddawała go prześladowaniom wprost zbrodniczym. Tak o nich mówiła s. Krystyna Włodarska ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Marii Panny Niepokalanie Poczętej, która na plebanii opiekowała się schorowanym proboszczem ks. Boguckim, a przyszło jej też chronić ks. Jerzego:

„Nie przestraszyły go żadne pogróżki, listy, szantaże, ściganie i wtrącanie do więzienia, liczne przesłuchania, napady w czasie podróży… Pod plebanią stał samochód, dzień i noc nas pilnowali, zastraszali, robili zdjęcia… Raz w nocy wrzucili cegłę z materiałem wybuchowym, innym razem odkręcili śruby koła od samochodu, żeby spowodować wypadek. Kiedyś pomalowali mu samochód białą farbą… Telefony były na podsłuchu. Pisano listy, w których grożono, że poderżną mu gardło, że powieszą go krzyżem do góry nogami… Pewnego razu pod budynek przyszła grupa parunastu ubeków, szukali ks. Jerzego. Widząc

Podczas chrztu maleńkiej Moniki Prusakow

eprasa.pl 75e3f2809d

ich, w sporej grupie kobiet, włącznie ze mną, stanęłyśmy przed wejściem na plebanię i odmawiałyśmy głośno Różaniec – aż do momentu, kiedy ubecy odeszli, bo Różaniec to najwspanialsza broń w walce ze złem".

12 grudnia 1983 r., po przesłuchaniu w Komendzie Stołecznej MO (w słynnym Pałacu Mostowskich), przeprowadzono rewizję w jego małym mieszkaniu prywatnym przy ul. Chłodnej (kupionym za pieniądze od ciotki Mary Kalinoski z USA), gdzie „odkryto" podrzucone wcześniej granaty łzawiące, naboje do pistoletu maszynowego, materiały wybuchowe i farbę drukarską. Ubecy dostali się do mieszkania dzięki podrobionym kluczom. Umożliwił to agent, który jakiś czas przedtem prosił księdza o litość i miejsce do spania…

Sygnał do rozprawy z niepokornym księdzem dały „Izwiestija" 12 września 1984 r., pisząc o nim, że „przekształcił swoje mieszkanie w składnicę literatury nielegalnej i ściśle współpracuje z kontrrewolucjonistami. Ma się wrażenie, że nie czyta z ambony kazań, lecz ulotki napisane przez Bujaka. Zieje z nich nienawiść do socjalizmu". W dniu 13 września – a więc następnego dnia po sowieckiej publikacji – podczas spotkania z Kiszczakiem i innymi wysokimi funkcjonariuszami państwa Jaruzelski miał powiedzieć: „Załatw to, niech on nie szczeka!". Jerzy Urban pod pseudonimem Jan Rem w najbliższym numerze tygodnika „Tu i Teraz" – z datą 19 września – opublikował tekst „Seanse nienawiści", jak nazwał kazania księdza, który „mierzi", jest „sfanatyzowany" i kieruje się „nienawiścią". W domyśle: stawia się poza wspólnotą społeczną. 13 października komando śmierci Piotrowskiego usiłowało zabić księdza rzutem kamieniem w szybę samochodu, którym jechał, a dokładnie miesiąc po publikacji Urbana ksiądz został porwany i – prawdopodobnie tego samego dnia – zamordowany.

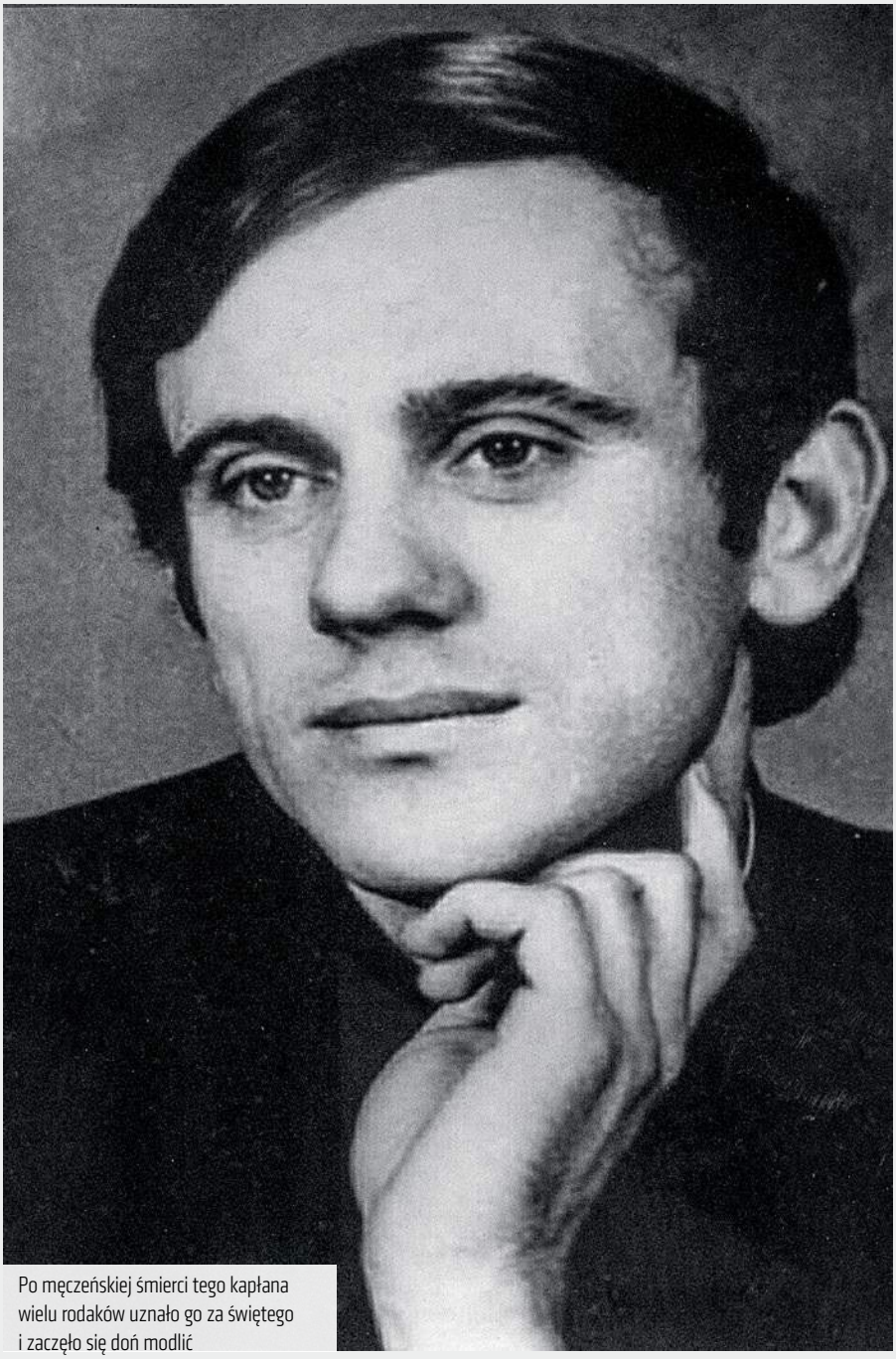

Po męczeńskiej śmierci tego kapłana wielu rodaków uznało go za świętego i zaczęło się doń modlić

Z PODLASIA NA OŁTARZE

Urodził się 14 września 1947 r. w Okopach na ziemi podlaskiej, z jej pięknymi lasami i polami, ze świątyniami, z licznymi sanktuariami oraz grobami synów tej krainy, poległych i pomordowanych w obronie ojczyzny. Owa ziemia i głęboko religijne oraz patriotyczne wychowanie ukształtowały chłopskiego syna i jego rodzeństwo – dwóch braci (Józefa i Stanisława) oraz siostrę Teresę. Jadwinia zmarła przed ukończeniem drugiego roku życia. Wychowanie w wierze i tradycji było wielką zasługą rodziców: ojca Władysława (1910–2002), a szczególnie matki Marianny (1920–2013) z Gniedziejków. Jej brata Alfonsa Gniedziejkę, żołnierza Armii Krajowej, zamordowali Sowieci, gdy miał 21 lat. Dla uczczenia jego pamięci rodzice dali imię Alfons trzeciemu z kolei dziecku – chłopcu. Imię – dające jednak w naszych czasach sposobność do niewybrednych skojarzeń i żartów – wyraźnie nie pasowało jego nosicielowi. Dlatego bliscy, a potem koledzy w szkole i seminarium, zwracali się do niego „Alek". A w 1971 r. urzędowo zmienił je na Jerzy Aleksander.

Przyszły ks. Jerzy nie należał do najlepszych uczniów liceum w Suchowoli, do którego uczęszczał w latach 1961–1965. Pierwszą komunię świętą, a także bierzmowanie przyjął, gdy miał dziewięć lat – w tym samym 1956 r. Został też ministrantem. Nie krył się z re-

eprasa.pl 75e3f2809d

ligijnością, co powodowało, że rodziców wzywano do szkoły. Było to za rządów Gomułki, a właśnie on po Październiku – a wcale nie Bierut we wczesnych latach 50. – wyrugował nauczanie religii ze szkół i kazał pozdejmować krzyże w klasach. Z prymitywną, agresywną ateizacją dorastający młodzieniec spotykał się więc w szkole, prasie, urzędach.

Wygląda na to, że drogę do kapłaństwa wytyczyło mu umacniające się z upływem lat, autentyczne powołanie, ale też trudno wyobrazić sobie, aby wybrał w PRL zawód, w jakim musiałby niemal codziennie dokonywać wyborów czy iść na kompromisy, które były dla niego nie do przyjęcia. Wiemy, że ten wątły chłopak miał twardy kręgosłup moralny, że potrafił walczyć o własne przekonania do końca. Dowiódł tego w owym karnym batalionie dla kleryków, dowiódł tego jako duszpasterz, którym został po otrzymaniu święceń z rąk prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego 28 maja 1972 r. Jako głęboko wierzący człowiek i duchowny siły czerpał oczywiście z modlitwy i głoszenia Ewangelii.

Przed przybyciem do św. Stanisława Kostki w charakterze rezydenta pracował w parafiach: pw. Trójcy Świętej w podwarszawskich Ząbkach, Matki Bożej Królowej Polski w niedalekim Aninie, w warszawskim kościele Dzieciątka Jezus oraz – po dłuższej chorobie – w kościele akademickim św. Anny, gdzie zajmował się głównie duszpasterstwem wśród studentów medycyny i średniego personelu medycznego. Zajmował się tym środowiskiem również po przeniesieniu do swej ostatniej parafii – na Żoliborzu – 20 maja 1980 r. W październiku 1981 r. został nawet mianowany diecezjalnym duszpasterzem służby zdrowia i kapelanem Domu Zasłużonego Pracownika Służby Zdrowia. Wydarzenia historyczne dziejące się na początku lat 80. w Polsce spowodowały, że nieco mimowolnie stał się kapłanem i przyjacielem hutników i artystów, dziennikarzy i prawników, ludzi prostych i z tytułami naukowymi.

Po męczeńskiej śmierci kapłana wielu ludzi – zwłaszcza jego rodaków – uznało go za świętego i zaczęło się doń modlić. Kościół uznał go za błogosławionego ponad ćwierć wieku później: Jerzy Popiełuszko został beatyfikowany 6 czerwca 2010 r., podczas mszy świętej celebrowanej na warszawskim pl. Piłsudskiego przez prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych kard. Angela Amato. Cud wydarzył się po dalszych dwóch latach. Bynajmniej nie w Polsce.

Jan Paweł II modli się u grobu męczennika podczas pielgrzymki do kraju w 1987 r.

Poświęcenie sztandaru hutniczej Solidarności 24 kwietnia 1983 r.

Otóż tego samego dnia oraz w tym samym miesiącu i roku co ks. Jerzy Popiełuszko – 14 września 1947 r. – we Francji urodził się Bernard Brien. Handlowiec z „pogmatwanym" życiem, ojciec i dziadek, wcześniej dwukrotnie żonaty, księdzem został dopiero po zaskakującym nawróceniu w wieku 60 lat. Zezwolił na to bp Michel Santier i skierował go do opieki duszpasterskiej w szpitalach swej diecezji Créteil. Tam ks. Brien poznał polskie zakonnice. Dzięki nim odwiedził Polskę, zetknął się z historią ks. Popiełuszki, a kiedy dowiedział się o męczeństwie owego – jak mówi – „bliźniaka", zaczął się do niego modlić.

Przy łóżku umierającego na białaczkę François Audelana szeptał w 2012 r.: „Słuchaj, Jerzy, dzisiaj jest 14 września, dzień twoich, a zarazem moich urodzin. Jeżeli więc masz coś zrobić dla naszego brata François, to jest to odpowiedni dzień". I oto… komórki rakowe zniknęły z całego organizmu, a lekarze jednoznacznie stwierdzili, że medycyna nie potrafi tego wyjaśnić (podobnie jak innego cudu we Francji – za wstawiennictwem Jana Pawła II). Ojciec Brien powiada: „Francja upadła tak nisko, że te cuda mogą jej pomóc podnieść się nieco. […] To są bardzo mocne znaki od Boga".

Dwa lata później bp Santier otworzył proces kanonizacyjny, którego faza diecezjalna zakończyła się 14 września 2015 r., a dokumenty zostały przekazane Watykanowi. Jeśli Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych stwierdzi związek między uzdrowieniem François Audelana a modlitwą za wstawiennictwem bł. ks. Jerzego, to otwarta zostanie droga do wydania przez papieża dekretu o cudzie i do kanonizacji. Uznanie cudu sprawi, że ks. Jerzy stanie się wzorem męczennika mającego znaczenie dla całego Kościoła powszechnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty i ilustracje pochodzą z właśnie wydanej książki Włodzimierzs Rędziochs, Grzegorzs Górnego i Janusza Rosikonia „Święty Jerzy XX wieku. Zło dobrem zwyciężył", Rosikon Press, Warszawa 2017.

eprasa.pl 75e3f2809d

Kadry grozy

Józef Popiełuszko: „To, co zobaczyłem, było straszne – ciało zostało potwornie zmasakrowane. [...] Brat miał na piersi charakterystyczne znamię i tylko po tym go poznałem". Tak mówił brat ks. Jerzego, który – jako jedyny z rodziny czujący się na siłach, by tego dokonać – identyfikował zwłoki w prosektorium. W archiwum IPN zachowały się zdjęcia z prosektorium oraz z wizji lokalnej na miejscu zbrodni, gdzie pozorant m.in. układał się w bagażniku fiata 125p tak jak skulony ksiądz ze stryczkiem na szyi. Z Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku są natomiast zdjęcia nóg kapłana obciążone 10-kilogramowymi workami kamieni, jego skrępowane sznurami dłonie i znalezione przy nim: różaniec oraz zapalniczka z logo Solidarności

eprasa.pl 75e3f2809d

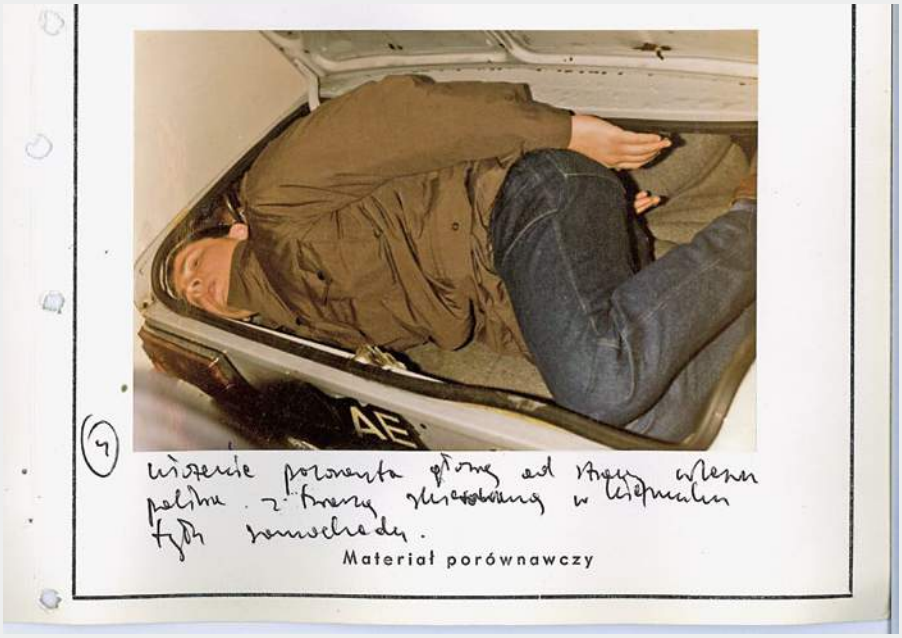

FOT. IPN (6)

eprasa.pl 75e3f2809d

Z Tomaszem Wiścickim, historykiem, współautorem książki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko”
rozmawia Piotr Włoczyk

Sowiecki trop

Pewną przesłanką, która uprawdopodobnia interwencję Moskwy, jest to, że Grzegorz Piotrowski miał konto w rublach....

PIOTR WŁOCZYK: Jak wysoko i jak daleko prowadzą tropy w sprawie zleceniodawców zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki?

TOMASZ WIŚCICKI: Problem w tym, że wciąż wiemy o tej sprawie bardzo niewiele. Władze PRL wytypowały do ukarania najniższy możliwy szczebel decydencki, czyli wicedyrektora Departamentu IV MSW płk. Adama Pietruszkę. Logika podpowiada jednak, że nie mogło się to kończyć na tym jednym decydencie. To akurat jest jeden z niewielu pewników w tej sprawie: decyzja zamordowania kogoś takiego jak ks. Popiełuszko musiała zapaść wyżej.

Dokładnie w drugą stronę poszli prokuratorzy w czasie procesu toruńskiego: wina ogranicza się tylko do czterech esbeków, którzy działali samowolnie i bezprawnie, bez wiedzy kierownictwa resortu.

W pierwszych latach Polski Ludowej możliwe były takie prywatne mordy w ramach UB, ale 40 lat później SB była już świetnie działającą machiną i mordowano tam na rozkaz. To oczywiste, że bez nakazu przełożonych ci czterej nie tknęliby ks. Jerzego palcem. Już w czasie procesu toruńskiego pełnomocnikom oskarżycieli posiłkowych udało się jednoznacznie wykazać, że było to działanie resortu, a nie pojedynczych funkcjonariuszy. Nie było wówczas możliwe odkrycie prawdy, ale czterech mecenasów zadbało o to, żeby proces nie przebiegł dla władz zupełnie bezboleśnie.

Niestety, w sprawie tego, kto wydał wyrok śmierci, oraz tego, jaka gra toczyła się wokół zamordowania ks. Popiełuszki, jesteśmy skazani jedynie na spekulacje. Czesław Kiszczak powiedział wówczas o płk. Pietruszce, że musi on odgrywać rolę tamy dla tej sprawy. Po 33 latach ta tama wciąż się trzyma i dlatego prawda do dziś nie wypłynęła na jaw.

Na ile prawdopodobny jest trop moskiewski?

Uważam ten wątek za wielce prawdopodobny. Zresztą już w czasie procesu toruńskiego sugerował to w zawoalowany sposób mec. Jan Olszewski, mówiąc, że za zabójstwem ks. Jerzego stoi kraj, który „zna każde polskie dziecko”. Ksiądz Jerzy nieco ponad miesiąc przed śmiercią stał się bohaterem artykułu dziennikarza „Izwiestii” Leonida Toporkowa. To oczywiście nie było żadne dziennikarstwo, ponieważ ta gazeta była częścią aparatu władzy. Pojawienie się tego tekstu oznaczało, że ktoś na Kremlu stwierdził: napiszcie o tym polskim księdzu, żeby wiadomo było, że go zauważyliśmy. Uznano tym samym ks. Jerzego za wroga w skali nie tylko PRL, lecz także całego bloku wschodniego. Takie rzeczy bardzo źle się kończyły...

Pokazuje to, że zainteresowanie polskim kapłanem ze strony Kremla nie jest tylko czystą spekulacją – sowieccy decydenci faktycznie zwrócili na niego uwagę. Jeżeli Sowiety były w to zaangażowane, to jego zabójstwo musiało być kwestią polityczną, a nie tylko policyjną.

Co konkretnie uprawdopodobnia interwencję Moskwy?

Pewną przesłanką jest to, że Grzegorz Piotrowski miał konto w rublach.

To było takie nietypowe w tamtych czasach?

Konto w rublach nie było wtedy rzeczą oczywistą nawet w aparacie represji. Piotrowski jeździł do Sowietów na tyle często, że pojawiła się potrzeba założenia mu takiego konta. Zajmował się on koordynowaniem z innymi służbami bloku wschodniego walki z duchownymi. Inni bohaterowie tej historii też regularnie spotykali się z sowieckimi towarzyszami. O koncie w rublach wiemy dzięki aktom śledztwa, które zostały przygotowane rutynowo. Jednak już na procesie toruńskim próżno szukać informacji o koncie – wyczyszczono ten fragment akt. Ktoś uznał najwyraźniej, że ta informacja jest niebezpieczna...

O co mogło chodzić Kremlowi? O sprowokowanie władz PRL do spacyfikowania opozycji?

Istnieje taka możliwość. Sowietom mogło chodzić o wywołanie rozruchów, które następnie władze PRL musiałyby stłumić, rozbijając opozycję. Tak jak wspomniałem: bardzo ciężko tu cokolwiek powiedzieć w odpowiedzialny sposób, ponieważ weszliśmy w obszar spekulacji. Jedno możemy powiedzieć z całą pewnością: toczyła się wówczas walka o władzę.

eprasa.pl 75e3f2809d

Miejsce na tamie we Włocławku, z którego mordercy wrzucili do Wisły – być może jeszcze żyjącego – ks. Jerzego Popiełuszkę

Drewniany krzyż przy drodze koło Górska, gdzie porwano kapłana, ustawiony wkrótce po tym wydarzeniu

Betonowy pomnik, który stoi obecnie w miejscu porwania

W Polsce ze starcia zwycięsko wyszli Jaruzelski z Kiszczakiem, ale na Kremlu walka o władzę wciąż trwała. Kremlem rządził wtedy Konstantin Czernienko, czyli drugi z przejściowych sekretarzy, po Juriju Andropowie. Wiadomo było, że szykuje się nowe rozdanie, choć mało kto przewidywał, iż władza dostanie się w ręce Gorbaczowa. Ofiarą tych gier mógł paść ks. Jerzy.

Kontekst krajowy również jest tu ważny. Był to bowiem okres „dorzynania" gen. Mirosława Milewskiego, poprzednika Kiszczaka na stanowisku szefa MSW. Właśnie wtedy rozpoczął się kolejny etap odsuwania go od władzy. Zwykle o sytuacji wewnątrz mafii dowiadujemy się wtedy, kiedy jedna jej frakcja zacznie walczyć z drugą. Według mnie to był właśnie ten casus.

Sowieci mieli oficjalne i nieoficjalne kanały sprawowania władzy nad swoimi satelitami. Można domniemywać, że Piotrowski był jednym z takich nieoficjalnych kanałów. Wskazuje na to fakt, że kiedy Piotrowski jako młody esbek był przenoszony z Łodzi do Warszawy, jednym z jego pierwszych zadań był udział w spotkaniu z towarzyszami z czechosłowackiej StB. To pokazuje, że Piotrowski nie był zwykłym esbekiem. Był bardzo zaufanym człowiekiem w aparacie bezpieczeństwa.

Kreml mógł chcieć zaszkodzić Kiszczakowi i Jaruzelskiemu tym zabójstwem?

To była ich wersja, ale ja w to nie wierzę. Kreml mógł najwyżej chcieć ich zdyscyplinować, ale przecież gdyby ta ekipa naprawdę nie była na rękę Moskwie, to obaj generałowie zostaliby po prostu usunięci.

Ksiądz Jerzy padł najpewniej ofiarą walki na szczytach władzy w PRL i Sowietach. Dlatego to wyglądało tak dziwnie jak na ten system: władze PRL zdecydowały się ujawnić bezpośrednich sprawców, a następnie postawić ich przed sądem. Podkreślmy, że w skali całego bloku komunistycznego nie było chyba nigdy przypadku, by mordercy z tajnej policji byli kiedykolwiek pociągnięci publicznie do odpowiedzialności za zabójstwo popełnione w ramach obowiązków służbowych.

Pytanie, dlaczego Kreml miałby dać zrobić krzywdę swoim ludziom?

To dobre pytanie. Można domniemywać, że Kiszczak nie wydałby ich bez zgody Kremla. Nie da się bowiem twierdzić, że zostali postawieni przed sądem wbrew Moskwie, niejako w zemście za intrygę Kremla. Jaruzelski i Kiszczak byli przecież wiernymi sługami Sowietów. Nie zrobiliby niczego wbrew swoim mocodawcom. Logika podpowiada nam, że skoro nie zdecydowano się na zastosowanie metody „nieznanych sprawców", jak to było choćby w przypadku ks. Stefana Niedzielaka,

eprasa.pl 75e3f2809d

ks. Stanisława Suchowolca i ks. Sylwestra Zycha, to znaczy, że musiała się tam toczyć bardzo skomplikowana gra.

O zamordowaniu ks. Jerzego mówiła naprawdę cała Polska, a nie tylko opozycja. Najprawdopodobniej Jaruzelski i Kiszczak uznali, że mniejszym złem będzie poświęcenie tych ludzi, co było bezprecedensowe, niż ryzykowanie wybuchu społecznego. Zresztą po procesie władze PRL były z siebie bardzo zadowolone. Według nich wszystko świetnie się udało: PRL pokazała, że jest praworządnym państwem, więc zaufanie do władzy wzrosło. Jaruzelski z Kiszczakiem poczuli się na tyle pewni, że zaczęli snuć wtedy plany wielkiej propagandowej ofensywy antykościelnej.

Co obciąża w tej sprawie Czesława Kiszczaka?

Pietruszka zeznał na procesie Ciastonia i Płatka, że na własne oczy widział parafę Kiszczaka na stenogramie z podsłuchu w mieszkaniu księdza po próbie zamachu z 13 października. Podsłuchiwani zastanawiali się wówczas, co właściwie stało się na drodze. Kiszczak zeznał, że nie pamięta, czy faktycznie tak było. To bardzo wiele mówi: nie zaprzeczył temu, ponieważ zapewne się bał, że w przypadku, gdyby kiedyś znalazł się ten papier, mógłby zostać oskarżony o składanie fałszywych zeznań, no i wskazałby wprost, że coś w tej sprawie ukrywa. W związku z tym najbardziej optymistyczna wersja dla Kiszczaka jest taka, że przynajmniej wiedział o pierwszej próbie zamachu na ks. Jerzego.

A co z Jaruzelskim?

Obaj działali w tandemie. Niemożliwe, żeby Kiszczak robił ważne rzeczy na własną rękę.

Wielu ludzi do dziś podejrzewa kierowcę ks. Popiełuszki o udział w tym spisku.

To, że Waldemar Chrostowski wyskoczył z pędzącego auta i przeżył, było kompletnie nieprzewidziane. I był to cud. Trudno podejrzewać, by SB liczyła na cud. Pamiętajmy, że Waldemar Chrostowski wyskoczył przy świadkach, a Piotrowski starał się go w ostatniej chwili powstrzymać.

Nie dziwmy się też, że esbecy nie rzucili się w pościg za uciekinierem. Do ucieczki doszło we wsi, w której paliły się światła. Trudno, żeby mając ks. Jerzego Popiełuszkę w bagażniku, esbecy urządzali polowanie na tego byłego komandosa. Poza tym byli przecież tak pewni, że będą kryci przez zwierzchników, że zignorowali ucieczkę Chrostowskiego. Pękala zeznał później, że Piotrowski skomentował ucieczkę Chrostowskiego krótkim: „A niech sobie ucieka". Wierzyli, że ich mocodawcy będą ich kryli – dla nich najważniejsze było zamordowanie księdza.

Warto też podkreślić, że wbrew krążącej do dziś plotce Waldemar Chrostowski nie był zarejestrowany jako TW. SB zaklasyfikowała go jako zabezpieczenie operacyjne (ZO). Sęk w tym, że to pojemna kategoria. Najprawdopodobniej oznacza to tyle, że traktowano go jako potencjalnego agenta. Trudno się temu dziwić – Chrostowski był z pewnością bardzo atrakcyjnym celem dla SB. Nie można jednak powiedzieć, że skoro nie zachowały się dokumenty przesądzające tę sprawę, to Chrostowski był agentem. Żeby rzucić takie oskarżenie, trzeba mieć dowody, a tych w przypadku Waldemara Chrostowskiego po prostu brak.

Można ufać oficjalnej wersji śmierci ks. Popiełuszki, przedstawionej przez władze PRL?

Moim zdaniem w sprawie samego mordu możemy z grubsza wierzyć tym ustaleniom. Jeżeli bowiem ksiądz był torturowany przez kilka dni, jak do dziś twierdzą niektórzy, to dlaczego nie było po tym śladów? Tymczasem nie ma najmniejszych wątpliwości, że sekcja zwłok została przeprowadzona rzetelnie i nie wykryto podczas niej śladów torturowania. Ksiądz Jerzy został zatłuczony kijem i pięścią przez Piotrowskiego oraz uduszony. To naprawdę wystarczy. Oczywiście możliwe, że pewne szczegóły zbrodni się nie zgadzają, przykładowo trasa, jaką pokonali esbecy z księdzem w bagażniku, mogła wyglądać

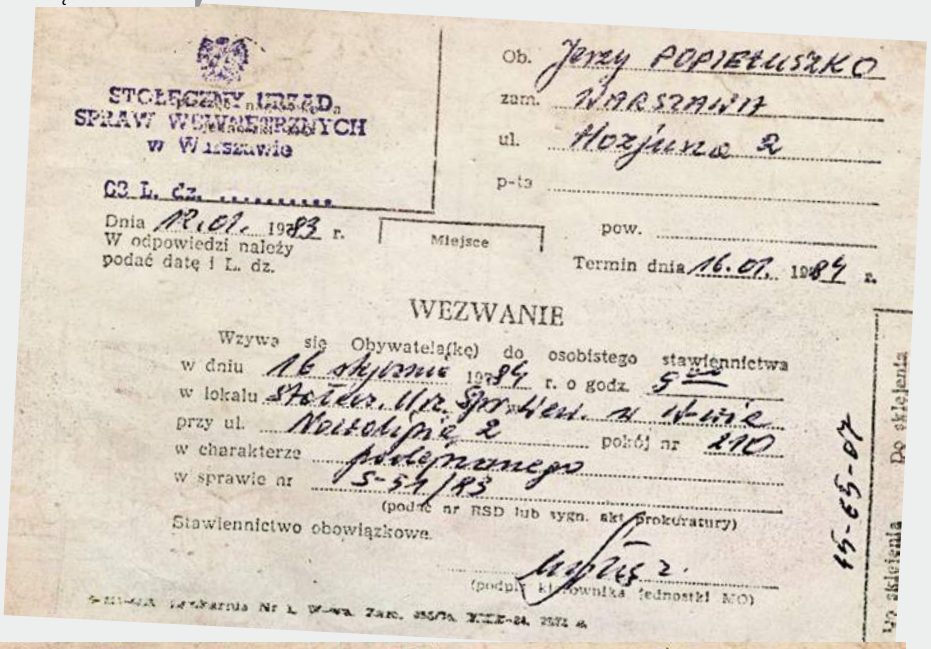
STOŁECZNY URZĄD SPRAW WEWNĘTRZNYCH w Warszawie

Ob. Jerzy POPIEŁUSZKO
zam. Warszawa
ul. Hozjusza 2
p-ta
pow.

Dnia 12.07. 1983 r.
W odpowiedzi należy podać datę i L. dz.
Miejsce
Termin dnia 16.07. 1983 r.

WEZWANIE

Wzywa się Obywatela(kę) do osobistego stawiennictwa w dniu 16 stycznia 1983 r. o godz. 9
w lokalu Stołeczn. Urz. Spraw Wewn. w Warszawie
przy ul. Nowolipie 2 pokój nr 210
w charakterze świadka
w sprawie nr S-54/83
(podać nr RSD lub sygn. akt prokuratury)
Stawiennictwo obowiązkowe.
(podpis kierownika jednostki MO)

15-05-07

Do sklejenia

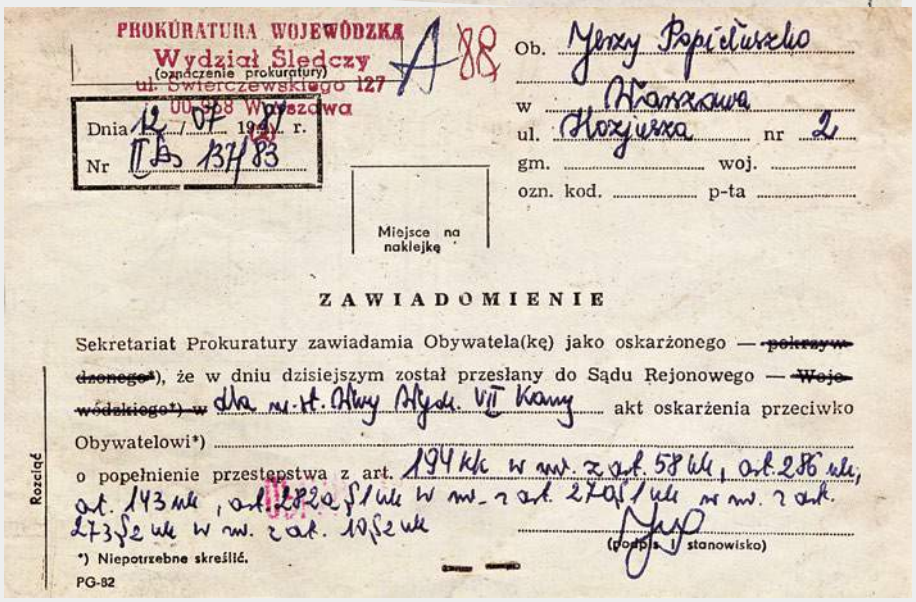
PROKURATURA WOJEWÓDZKA
Wydział Śledczy
(oznaczenie prokuratury)
ul. Świerczewskiego 127
00-968 Warszawa

Dnia 12.07. 1983 r.
Nr PB 137/83

A 88

Ob. Jerzy Popiełuszko
w Warszawie
ul. Hozjusza nr 2
gm. woj.
ozn. kod. p-ta

Miejsce na naklejkę

ZAWIADOMIENIE

Sekretariat Prokuratury zawiadamia Obywatela(kę) jako oskarżonego — ~~pokrzywdzonego*)~~, że w dniu dzisiejszym został przesłany do Sądu Rejonowego — ~~Wojewódzkiego*) w~~ dla m.st. Woj. Wydz. VII Karny akt oskarżenia przeciwko Obywatelowi*)
o popełnienie przestępstwa z art. 194 kk w zw. z art. 58 kk, art. 286 kk, art. 143 kk, art. 282a §1 kk w zw. z art. 270§1 kk w zw. z art. 273§2 kk w zw. z art. 19§2 kk
(podpis i stanowisko)

Rozciąć

*) Niepotrzebne skreślić.
PG-82

eprasa.pl 75e3f2809d

nieco inaczej, żeby ukryć inne zamieszane w to osoby, ale w najważniejszych kwestiach wszystko zostało wyjaśnione.

Osoby, które twierdzą, że ks. Jerzy zginął kilka dni później, muszą zdawać sobie sprawę z konsekwencji tej tezy: oznaczałoby to bowiem, że Piotrowski i jego dwaj wspólnicy są niewinni. O ile wystarczająco trudno zrozumieć, dlaczego władze PRL zdecydowały się zamknąć w więzieniu swoich ludzi, o tyle pomysł, że Kiszczak z Jaruzelskim wsadziliby do więzienia niewinnych esbeków, którzy mieliby jeszcze opowiadać o niepopełnionej przez siebie zbrodni, brzmi zupełnie absurdalnie.

Do dziś nie zostały jednak rozwiane wątpliwości co do samych okoliczności znalezienia ciała kapłana.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że ciało ks. Jerzego zostało wyłowione już 26 października – taką nieoficjalną informację przekazali milicyjni płetwonurkowie, którzy brali udział w tej akcji. Kiszczak najwyraźniej nie widział, w jakim stanie był ks. Jerzy. Musiał to sprawdzić, przygotować swój resort do akcji dezinformacyjnej i dopiero potem jeszcze raz oficjalnie „odnaleźć" ofiarę. To jeszcze raz pokazuje, że nie był to perfekcyjny plan realizowany od początku do końca według jednego scenariusza.

Istnieją wątpliwości co do tego, czy ks. Jerzy żył w momencie wrzucania go do wody, czy był już martwy. Chmielewski twierdził, że był przekonany, iż wrzucali do wody martwe ciało, ponieważ nikt nie był w stanie przeżyć tylu ciosów w głowę. Piotrowski ma 1,9 m wzrostu, 100 kg wagi. Taki ktoś potrafi zabić człowieka pięścią. Nie ma też żadnych wątpliwości, że ich celem było zabicie księdza z udręczeniem. Można się tylko zastanawiać, czy było to zlecenie z góry, czy inwencja Piotrowskiego. Myślę, że w grę wchodzi raczej to drugie.

Sprawcy mogli się czuć komfortowo w czasie procesu i po nim? Wiedzieli, że resort zbytnio ich nie skrzywdzi?

Nie, ponieważ zdawali sobie sprawę, kto nad tym wszystkim czuwa. Wszyscy oni byli, wraz z ich rodzinami, cały czas pod kontrolą. Władze do końca bały się, że coś powiedzą, i pilnowały, żeby na zewnątrz nie wydostało się nic kompromitującego.

Prokurator domagał się dla Piotrowskiego kary śmierci. Mecenas Olszewski wspominał, że podczas odczytywania wyroku, a trwało dłuższą chwilę, zanim sędzia doszedł do sedna, Piotrowski był przerażony, ręce mu zbielały. Odetchnął dopiero wówczas, gdy usłyszał: „25 lat więzienia". To był jedyny taki moment, ponieważ generalnie w czasie procesu był rozluźniony.

Co nam to mówi?

Piotrowski wiedział, z kim miał do czynienia, i nie był pewien, czy jego koledzy dotrzymają umowy. Tak jak nie miał iść do więzienia, a jednak poszedł, tak się bał, że ta niepisana umowa zostanie jeszcze raz złamana i jednak zawiśnie. Wtedy władze miałyby pewność, że Piotrowski faktycznie nigdy nie powie prawdy.

Komunistyczne MSW działało jak mafia i każdy wiedział, jaka jest kara za szkodzenie mafii. Przypomnijmy, że mec. Krzysztof Piesiewicz zapłacił za udział w tym procesie toruńskim najwyższą cenę. W 1989 r. jego 82-letnia matka Aniela została zamordowana, a sprawcy skrępowali ją tak samo, jak zrobili to esbecy z ks. Popiełuszką. W tej sprawie jest jeszcze kilka niewyjaśnionych mordów.

Widać wyraźnie, że ten spisek zmieniał się w miarę realizacji. To chyba też mówi wiele o tym, jak skomplikowana była gra, której ofiarą padł ks. Popiełuszko.

Z biegiem śledztwa widać, że coraz więcej elementów nie pasuje do siebie, co pokazuje, że plan się zmieniał. W co innego grali Kiszczak, Milewski i ludzie na Kremlu. Gdyby jedna osoba pociągała za sznurki, to nie byłoby tu tylu nieścisłości, niezrozumiałych wątków. Przecież wcale nie było powiedziane, że ci czterej esbecy koniecznie musieli być pociągnięci do odpowiedzialności. Początkowo toczyło się fikcyjne śledztwo, jakich mnóstwo było wcześniej. Wszyscy kłamali, ukrywali prawdę, mataczyli, tak jak w dziesiątkach podobnych spraw.

To samo było robione cztery lata później. Zamordowanie trzech księży na początku obrad Okrągłego Stołu i w ich trakcie nie wywołało jednak właściwie żadnego większego efektu w społeczeństwie, więc władze sięgnęły po starą sprawdzoną metodę „nieznanych sprawców".

A jednak w przypadku ks. Popiełuszki było zupełnie inaczej. Odejdę na moment od poziomu historii: jestem pewien, że interweniowała tu Opatrzność. Pamiętamy przecież to wielkie poruszenie całej Polski, te wszystkie autentyczne nawrócenia wywołane tak wstrząsającą wiadomością. Myślę, że nie wszystko zależało tu od ludzi.

Mając w pamięci wszystkie problemy z ustaleniem prawdy, brak dokumentów, milczenie kluczowych postaci tej sprawy, trudno sobie chyba wyobrazić trudniejsze śledztwo.

Dlatego śledztwo, które wciąż się w tej sprawie toczy, nie przynosi żadnych efektów. Mamy bowiem do czynienia z zawodowymi kłamcami. Ci ludzie kłamali i wciąż kłamią jak najęci. Trzeba to rozumieć dosłownie: oni zostali najęci przez PRL do kłamania. Pion „D", którym kierował Piotrowski, w odróżnieniu od wszystkich innych pionów, które produkowały tony papierów, oficjalnie, według regulaminu, nie miał wytwarzać dokumentacji operacyjnej. Już w czasach PRL Piotrowski i jego ludzie działali w mroku, więc trudno oczekiwać, żeby demokratyczne państwo mogło sobie łatwo poradzić z wyjaśnieniem tej zbrodni.

Ludzie zamieszani w mord ks. Jerzego wiedzą, że nie wolno im niczego mówić. Generał Jan Słowikowski, szef wywiadu w PRL, powiedział kiedyś, uśmiechając się: „Ja zupełnie nic nie pamiętam z czasów mojej pracy w wywiadzie". I chwilę potem dodał: „I pewnie dzięki temu żyję". To prawda – ta zasada tyczy się również ludzi, którzy znają prawdę o tym mordzie.

Często można się spotkać z opinią, że III RP poległa w 1994 r. podczas procesu gen. Władysława Ciastonia, byłego szefa SB, oraz gen. Zenona Płatka, byłego dyrektora Departamentu IV MSW. Czy taka ocena ma sens, skoro to wszystko opierało się na mafijnym układzie? Czy demokratyczne państwo ma w ogóle narzędzia, żeby taką sprawę wyjaśnić?

Obawiam się, że nie. Jedyna nadzieja w tym, że któryś z zamieszanych w to ludzi zdecyduje się ujawnić po swojej śmierci prawdę. Nie dało się skazać Ciastonia ani Płatka, bo tamten system zadbał o to, żeby ochronić swoich ludzi i pozbyć się wszelkich dowodów. Jeżeli nie ma dokumentów, zeznań, to nie da się skazać człowieka. Esbecy wykorzystali po prostu mechanizmy praworządnego państwa. III RP poległa w starciu z nimi, ale obawiam się, że IV RP również nie da sobie rady z wyjaśnieniem zabójstwa ks. Jerzego, jeżeli oni sami jakimś cudem nie zdecydują się wyznać prawdy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Wiścicki (ur. 1961) – historyk, publicysta katolicki, wieloletni redaktor „Więzi" oraz Katolickiej Agencji Informacyjnej. Jest współautorem – wraz z Ewą Czaczkowską – książki „Ksiądz Jerzy Popiełuszko".

eprasa.pl 75e3f2809d

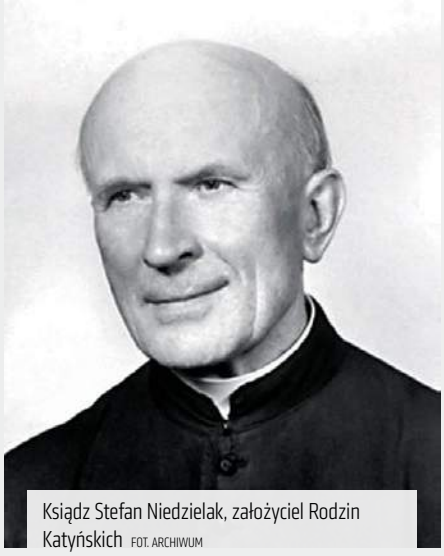
Ksiądz Stefan Niedzielak, założyciel Rodzin Katyńskich FOT. ARCHIWUM

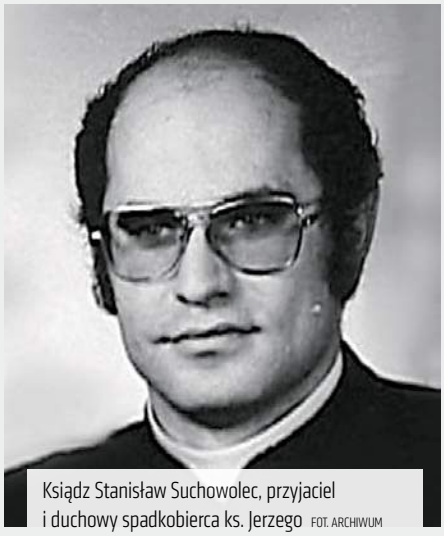
Ksiądz Stanisław Suchowolec, przyjaciel i duchowy spadkobierca ks. Jerzego FOT. ARCHIWUM

Ksiądz Sylwester Zych, powiernik patriotycznej młodzieży FOT. ARCHIWUM

Zabić księży

Grzegorz Wołk

Kiedy system komunistyczny się już sypał, a rozmowy z opozycją trwały w najlepsze, „nieznani sprawcy" zamordowali trzech kapłanów

Dwóch zginęło w styczniu 1989 r., trzeci w lipcu tego samego roku. W niejasnych do dziś okolicznościach. Nic też dziwnego, że tajemnicze zgony kierowały podejrzenia w stronę funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Śmierć dwóch pierwszych duchownych, Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca, wywołała w kręgach opozycji konsternację i strach. Niektórzy uważali, że było to ostrzeżenie rodem z mafijnych porachunków. Sygnał, że system może i upada, ale SB wciąż jest silna i potrafi zaatakować. Wszyscy trzej byli osobami wielce zasłużonymi dla opozycji. Znanymi z bezkompromisowości i pomocy m.in. rodzinom katyńskim czy działaczom podziemia, w tym młodzieży. Głosili ostre, antysystemowe kazania. Wbrew pozorom takich kapłanów nie było wielu. Po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki cena odwagi była dla wielu zbyt wysoka.

„OSTATNIA OFIARA KATYNIA"

Stefan Niedzielak był najstarszym z zamordowanych. Urodził się 1 września 1914 r. w Podolszycach, obecnie dzielnicy Płocka. Święcenia kapłańskie przyjął w okresie II wojny światowej. Został kapelanem AK, a także – przez okres przebywania w Łowiczu – tamtejszej komórki Narodowej Organizacji Wojskowej. Posługę kapłańską sprawował również podczas powstania warszawskiego. Był jednym z kurierów bp. Adama Sapiehy, który przewiózł w bezpieczne miejsce dowody świadczące o odpowiedzialności Sowietów za zbrodnię katyńską. Po wojnie został kapelanem w strukturach WiN. Jednak to działania na rzecz wyjaśnienia zbrodni katyńskiej uczyniły go na długie lata wrogiem systemu.

W warszawskiej parafii św. Karola Boromeusza upamiętniał poległych na wschodzie. Zwieńczeniem lat pracy ks. Niedzielaka okazało się sanktuarium Poległych i Pomordowanych na Wschodzie, zbudowane w 1984 r. W drugiej połowie lat 70. związał się z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W sierpniu 1979 r. podpisał apel o przeprowadzenie wolnych wyborów do Sejmu PRL. Prawie 10 lat później, w 1988 r., założył wspólnotę Rodzina Katyńska. Przez wszystkie te

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. KRZYSZTOF WRZKOWSKI

lata słynął z bezkompromisowych kazań piętnujących zbrodnie sowieckie. Był za to prześladowany przez SB. Odbierał telefony i otrzymywał listy z pogróżkami. Został także pobity przez „nieznanych sprawców" podczas spaceru. Miał świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa i już w 1985 r. sporządził testament. Jego zwłoki znaleziono w budynku parafialnym nad ranem 21 stycznia 1989 r. Ciało miało wyraźne ślady pobicia. „Trybuna Ludu" informowała trzy dni później, że był to najpewniej napad rabunkowy. Jednak już wstępne sprawdzenie mieszkania – poza brakiem kompletu srebrnych sztućców – nie wykazało kradzieży. Mieszkanie nie zostało splądrowane, a w widocznych miejscach pozostały pieniądze i różne cenne przedmioty.

PRZYJACIEL KS. JERZEGO

Ksiądz Stanisław Suchowolec miał zaledwie 31 lat, gdy zginął, ale już zdążył przez wiele lat aktywnie wspierać białostocką Solidarność i tamtejszych działaczy Konfederacji Polski Niepodległej. Po przyjęciu święceń kapłańskich w 1983 r. został wikarym w Suchowoli, rodzinnej miejscowości ks. Jerzego Popiełuszki. Obaj się zresztą przyjaźnili. Ksiądz Suchowolec odprawiał tam msze za ojczyznę, a po zabójstwie przyjaciela organizował różne inicjatywy mające upamiętnić jego postać, m.in. izbę pamięci i symboliczny grób ks. Jerzego. Został także członkiem Niezależnego Ruchu Społecznego im. ks. Jerzego Popiełuszki.

SB objęła go rozpracowaniem o kryptonimie Suchowola. Nie szczędzono mu pogróżek, życzono śmierci. Kilkakrotnie w jego samochodzie wykrywano awarie, które były dziełem osób trzecich. Został także pobity. Rzecz jasna sprawców nigdy nie odnaleziono. W celu ochrony przed działaniami SB na plebanii – od 1986 r. przebywał w białostockich Dojlidach – pojawiła się Nika, suka rasy doberman. Akcja zaszczuwania duchownego przybrała taki rozmiar, że we wrześniu 1988 r. lokalni działacze opozycyjni zdecydowali się wystosować do Rzecznika Praw Obywatelskich list z prośbą o interwencję. Opisano w nim metody stosowane przez SB wobec niepokornego duchownego. Sam ksiądz także miał poczucie zbliżającego się zagrożenia. Podczas jednego ze spotkań z działaczami podziemnej Solidarności miał powiedzieć: „Pętla wokół mnie zacieśnia się coraz bardziej. Czuję się osaczony i zdradzony. Żyję pod ciągłą presją".

Niestety, wszelkie działania mające na celu ochronę ks. Suchowolca zakończyły się niepowodzeniem. 30 stycznia 1989 r. odnaleziono jego ciało. Oficjalnie zatruł się dwutlenkiem węgla podczas pożaru, który miał spowodować piecyk elektryczny. Wedle oficjalnego śledztwa wykluczono udział osób trzecich, a ksiądz miał rzekomo we krwi 1,5 promila alkoholu. Postępowanie bardzo szybko umorzono. Mało kto jednak wierzył w oficjalną wersję śmierci. Pogrzeb ks. Suchowolca stał się tego wyrazem. Uczestniczyło w nim wielu działaczy opozycyjnych, m.in. Zbigniew Romaszewski, Seweryn Jaworski i Leszek Moczulski, oraz tysiące innych osób. Był w tym gronie także… ostatni bohater tej tragicznej historii, ks. Sylwester Zych.

„TERAZ WEZMĄ SIĘ ZA MNIE"

Z opisywanych przypadków życiorys ks. Sylwestra Zycha jest chyba najtragiczniejszy. Urodzony w 1950 r. w Ostrówku koło Wołomina święcenia przyjął w 1977 r. Gdy powstała Solidarność, był wikarym w Tłuszczu. Zorganizował tam akcję wie-

eprasa.pl 75e3f2809d

szania krzyży w szkołach, a w kazaniach mocno wspierał rodzący się ruch społeczny. W 1981 r. przeniesiono go do Grodziska Mazowieckiego. Po 13 grudnia 1981 r. publicznie krytykował wprowadzenie stanu wojennego i udostępniał plebanię grupce licealistów, która przyjęła nazwę Siły Zbrojne Polski Podziemnej.

Stało się o nich głośno, gdy w lutym 1982 r., podczas próby rozbrojenia milicjanta Zdzisława Karosa, śmiertelnie go postrzelili. Wszystko wydarzyło się podczas szamotaniny i śmierć funkcjonariusza była nieszczęśliwym wypadkiem. Miesiąc później SB przeprowadziła aresztowania członków SZPP, a u ks. Zycha znaleziono pistolet Karosa. W oficjalnej propagandzie przedstawiano go jako głównego inspiratora grupy. Ostatecznie skazano go na sześć lat pozbawienia wolności. Wyrok odsiadywał w ciężkich więzieniach w Braniewie i Barczewie. Od momentu aresztowania bito go i szykanowano. Spędził m.in. dziewięć miesięcy w izolatce. Często grożono mu śmiercią. Wyszedł w październiku 1985 r. na skutek amnestii i starań czynionych przez władze kościelne oraz międzynarodowe organizacje praw człowieka. W dalszym ciągu utrzymywał kontakty z opozycją. Odprawił m.in. mszę inaugurującą III Kongres KPN, który następnie rozbiła SB. Działając w kręgach robotniczej opozycji, poznał m.in. ks. Niedzielaka.

Po wyjściu z więzienia miał poczucie, że SB sprawy Karosa mu nigdy nie wybaczy. Wracając z uroczystości pogrzebowych ks. Suchowolca, zwierzył się jednemu ze znajomych: „Teraz esbecy wezmą się za mnie". Jego ciało odnaleziono 11 lipca 1989 r. nieopodal dworca PKS w Krynicy. Oficjalnie przyczyną śmierci było zatrucie alkoholowe, we krwi stwierdzono 4,3 promila. Od razu wzbudziło to wątpliwości, gdyż ksiądz był znanym abstynentem.

RAPORT ROKITY I ESBECKIE KOMANDO ŚMIERCI

Pierwszą próbę obiektywnego zbadania niewyjaśnionych zgonów z lat 80., w tym morderstw księży, podjęła tzw. komisja Rokity. Powołano ją 17 sierpnia 1989 r., a więc już po śmierci wszystkich opisywanych kapłanów, jako specjalną komisję sejmową. Zbadała przypadki 122 zgonów, do których doszło od 13 grudnia 1981 do 1989 r., a które przypisywano funkcjonariuszom SB. W końcowym raporcie przyznano, że przynajmniej w 88 przypadkach ślad prowadzi do MSW. Komisja nie objęła pracami siedmiu osób, w tym ks. Niedzielaka i ks. Zycha. Powodem były toczące się w tych sprawach śledztwa prokuratorskie, a komisja Rokity nie chciała się narażać na zarzut utrudniania śledztwa bądź działania niezgodnego z obowiązującym prawem.

Korzystając ze znacznie skromniejszych narzędzi niż prokuratura, komisja w sprawie śmierci ks. Suchowolca wykazała wiele zaniedbań czy wręcz złą wolę śledczych. Nieprawidłowo zbadano np. próbki krwi dobermana, a było to o tyle istotne, że niezależni eksperci sugerowali, iż pies nie zatruł się tlenkiem węgla. Nie wykonano także eksperymentów pożarowych, które udowodniłyby niezbicie, że ksiądz zmarł wskutek zaczadzenia. Przedstawiony pod obrady Sejmu we wrześniu 1991 r. raport był miażdżący. Prokuratorom z Białegostoku i Prokuratury Generalnej sugerowano wręcz współudział w ukrywaniu dowodów i stwierdzono ich nieprzydatność w zawodzie. Zresztą sam skład prokuratorski nasuwał wiele wątpliwości. Znalazły się w nim osoby znane z procesów politycznych, a niekiedy także z przeszłością w SB. Lech Pietrasiński brał udział w procesie morderców ks. Popiełuszki. Hipolit Starszak dosłużył się w Biurze Śledczym MSW stanowiska dyrektora.

Członkowie komisji trafili podczas badania zgonów księży na ślad Grupy „D", działającej w ramach pionu SB zwalczającego Kościół katolicki i inne związki wyznaniowe. Komórki przestępczej działającej nielegalnie, nawet w świetle prawa PRL. To z niej wywodzili się funkcjonariusze odpowiedzialni za morderstwo ks. Jerzego Popiełuszki. Można domniemywać, że jeżeli faktycznie duchowni zostali zamordowani przez funkcjonariuszy SB, to bezpośrednich sprawców należałoby szukać właśnie w tym komandzie śmierci.

Problem w tym, że dokumentacja Departamentu IV MSW właściwie nie istnieje. Nawet jeżeli takie dokumenty wytworzono, to zadbano o ich zniszczenie. Jedyną szansą na zdobycie informacji o zbrodniczej działalności pionu IV MSW są… sami esbecy. W tym środowisku zwycięża jednak mafijna zasada omerty, gdzie milczenie jest najwyższą cnotą.

TROP PROWADZI DO MSW

Wskazanie bezpośrednich sprawców zabójstw wydaje się mało prawdopodobne. Zgony księży Niedzielaka, Suchowolca i Zycha badane są w ramach jednego z najważniejszych śledztw prowadzonych w IPN. Dotyczy ono związku przestępczego działającego w MSW w latach 1956–1989. Składa się na nie 46 pomniejszych wątków. Z jednej strony poszlaki wskazują na SB, z drugiej brak bezpośrednich dowodów. Sprawy nie ułatwia to, że część dowodów zaginęła jeszcze na początku lat 90.

W przypadku zabójstw trzech księży widać opieszałość i niedbałość organów ścigania, a gen. Kiszczak pozwalał sobie na niewybredne komentarze na temat zmarłych. Podczas jednego z posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR, gratulując gen. Jaruzelskiemu wyboru na prezydenta, atakował opozycję i ks. Zycha: „Ekstremalni liderzy, zwłaszcza KPN, usiłują wykorzystać każdą okazję do jątrzenia i podburzania opinii społecznej, działając z dużą determinacją, bez politycznych i moralnych skrupułów. Ostatnio próbują nagłaśniać zwłaszcza sprawę śmierci ks. Sylwestra Zycha, wykorzystując ją do ataków na resort spraw wewnętrznych". Dalej mówił, zasłaniając się opinią lekarzy, że śmierć nastąpiła wskutek upojenia alkoholowego, a obrażenia, jakie ksiądz miał na ciele, były efektem reanimacji dokonanej… przez pijanych przechodniów. Szczytem bezczelności było jednak sugerowanie, że ksiądz był narkomanem. Widocznie fizyczne unicestwienie było niewystarczające i zniszczenie pamięci o odważnych księżach-antykomunistach okazało się nie mniej istotne.

Takich odważnych kapłanów nie było wielu. Po zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki cena odwagi była dla licznych księży zbyt wysoka

Nie można wykluczyć, że w ten sposób Kiszczak krył własnych ludzi. Nie jest tajemnicą, że zmiany, jakie zaszły w Polsce w 1989 r., były dla funkcjonariuszy SB wielką niewiadomą. Pojawiły się teorie o możliwym „buncie twardogłowych" w resortach siłowych, co wykorzystywano jako element nacisku na opozycję. Śmierć duchownych wpisywała się w ten scenariusz. Księży Niedzielaka i Suchowolca zamordowano tuż przed rozpoczęciem obrad Okrągłego Stołu, a ks. Zycha w okresie kryzysu prezydenckiego, gdy władzy zależało na wyborze Jaruzelskiego. O śmierci ks. Zycha jako „prowokacji" owego „betonu w MSW" napomknął w rozmowie z Andrzejem Stelmachowskim Józef Czyrek, wówczas członek Biura Politycznego KC PZPR.

Jednym z niewielu inicjatyw, w których starano się nagłośnić owe zgony, było wystąpienie Władysława Siły-Nowickiego podczas inauguracji Okrągłego Stołu. Naruszając protokół zebrania, wezwał zebranych do uczczenia minutą ciszy nieżyjących księży. Poruszył także sprawę Katynia i niereprezentatywność opozycji podczas toczonych rozmów. Scena została wycięta z transmisji telewizyjnej. Komuniści wciąż mieli po swojej stronie nie tylko policję polityczną i prokuraturę, lecz także media, co bezwzględnie wykorzystano.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

100 - LECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Z tej okazji w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych S.A. powstaje paszport, który każdy Polak będzie nosił z dumą.

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl 75e3f2809d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Słoń a sprawa zbójcerska

Dobra wiadomość: operacja się udała, pacjenci żyją, mają się dobrze i żyć będą długo. To wnioski z lektury nowego albumu o przygodach Kajka i Kokosza. Kiedy recenzowałem ponad rok temu trudne początki przedsięwzięcia, nie było to takie oczywiste.

Janusz Christa odszedł od nas w roku 2008, ale ostatni oryginalny tom opowieści o przygodach dzielnych i zabawnych wojów opublikował grubo wcześniej, w roku 1990. Od tamtej pory fani żyli wznowieniami i wydaniami kolekcjonerskimi (nie liczę kilku pojedynczych krótkich historyjek publikowanych w prasie). Jednak „Kajko i Kokosz" pozostają nie tylko klasyką i wielkim osiągnięciem polskiego komiksu, lecz także mocnym brandem, a takich łatwo się z rąk nie wypuszcza. Wydany przed rokiem album „Obłęd hegemona" był rozpoznaniem bojem – młodzi polscy rysownicy i scenarzyści próbowali wskrzesić popularnych bohaterów, z różnym skutkiem i w różnych, czasem bardzo odległych od oryginału stylach.

Drugi tom serii nosi tytuł „Łamignat straszliwy" i jest propozycją bardziej zrównoważoną. Dwie historyjki: „Zbójcerze. Słoń a sprawa zbójcerska" oraz „Mirmił i Wojmił. Pojedynek" narysował Sławomir Kiełbus, którego styl jest bardzo podobny do oryginalnych rysunków Christy. Obydwa scenariusze napisał Maciej Kur, który jest także autorem historyki tytułowej, narysowanej przez Piotra Bednarczyka. Wszystkie są zabawne i pomysłowe: w jednej Hegemon domaga się egzotycznego zwierzęcia, by zdobyć gród Mirmiła, w drugiej powraca buńczuczny i skory do bitki Wojmił, brat kasztelana znany z albumów „Szranki i konkury" oraz „Woje Mirmiła". A w trzeciej sympatyczny zbój Łamignat zostaje wynajęty do nietypowego porwania na zlecenie.

Od tych dokonań odstaje nieco czwarta historia – „Miluś. Instytut badania smoków" – przeznaczona ewidentnie dla młodszych czytelników. W porównaniu z pierwszą antologią mamy jednak zdecydowany krok naprzód w kierunku stworzenia czegoś więcej niż okolicznościowego hołdu dla Christy. Strona graficzna jest bardzo dobra, humor dozowany w odpowiednich porcjach i formie. Jedyne, czego brak, to rozmach. Nie można mówić o sukcesie wznowionej serii dopóty – pisałem rok temu – dopóki na rynku nie pojawi się pierwszy pełnowymiarowy album, w którym główni bohaterowie cyklu zagrają role równie rozbudowane jak dawniej. To wyzwanie wciąż przed autorami. Jestem jednak pewien, że dadzą radę. ©℗

★★★★☆☆
AUTORZY RÓŻNI
„ŁAMIGNAT STRASZLIWY"
EGMONT 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wanda Rutkiewicz, Dobrosława Miodowicz-Wolf, Halina Krüger-Syrokomska, znane i mniej znane, te, które w góry wciąż wracają, i te, które pozostały w nich na zawsze. Pierwsza reporterska opowieść o polskich himalaistkach.

MARIUSZ SEPIOŁO
„HIMALAISTKI"
ZNAK

Specjalistka od algorytmów przygląda się ich błędnemu wykorzystaniu: jak banki, urzędy, korporacje redukują klientów do łatwych w obróbce grup danych i podejmując błędne decyzje, przyczyniają się do rozwarstwienia społeczeństwa.

CATHY O'NEIL
„BROŃ MATEMATYCZNEJ ZAGŁADY"
PWN

Nadzieja, miłosierdzie, asceza, szczerość, powołanie, skupienie. Czy rozumiemy znaczenie tych słów? Zbiór rozważań religijnych amerykańskiego trapisty, jednego z najpopularniejszych duchowych przewodników XX stulecia.

THOMAS MERTON
„NIKT NIE JEST SAMOTNĄ WYSPĄ"
ZYSK I S-KA

Uaktualniona wersja książki oryginalnie wydanej w roku 2007, na ćwierćwiecze istnienia zespołu Muńka Staszczyka. Być może pożegnalna, bo kilka miesięcy temu grupa zawiesiła działalność – bezterminowo. ©℗

poleca Piotr Gociek

MAGDA PATRYAS
„T.LOVE. POTRZEBUJĘ WCZORAJ. OFICJALNA BIOGRAFIA"
IN ROCK

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Grzegorz Kubicki, Maciej Drzewicki „Ania. Biografia Anny Przybylskiej" (Agora) – opowieść o przedwcześnie zmarłej aktorce znanej m.in. ze „Złotopolskich".*
2. *Remigiusz Mróz „Oskarżenie" (Czwarta Strona) – szósty tom cyklu kryminalnego o prokurator Joannie Chyłce.*
3. *Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Da Vinci".*
4. *Nicholas Sparks „We dwoje" (Albatros) – nowa powieść speca od ckliwych fabuł: po stracie żony i pracy główny bohater samotnie wychowuje córkę.*
5. *Kamil Fejfer „Zawód" (Czerwone i Czarne) – opowieść o pracy w Polsce, a opowiada pokolenie 30-latków, dla których umowy śmieciowe to codzienność.*

(Najchętniej kupowane książki minionego tygodnia w księgarniach Świat Książki)

eprasa.pl 75e3f2809d

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Marcin Wyrostek i Mateusz Adamczyk

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

Folklor klasycznie

Należę do pokolenia, które dorastało w atmosferze pogardy dla instrumentów harmoszkopodobnych, w szczególności do akordeonu. Ten dziwny instrument na szelkach (!) był wtedy synonimem obciachu.

Zanim usłyszałem po raz pierwszy niewidomego, wiejskiego wirtuoza Stanisława Stępniaka z Wieniawy, nie potrafiłem dostrzec w akordeonie nic, co mogłoby się podobać. Jednak wszystko się zmieniło po spotkaniu ze Stępniakiem. Stanisław z niezwykłą sprawnością grał na harmonii trzyrzędowej polskiej, na „guzikówkach" i koncertowym akordeonie. Od kilku lat, za sprawą Marcina Wyrostka, akordeon zyskuje prawo obywatelstwa nie tylko w muzyce folkowej czy jazzie, lecz także w muzyce popularnej. Po sukcesach w telewizyjnych talent show, po znakomitym przyjęciu albumu „For Alice" Marcin i jego zespół atakują kolejną płytą – „POLACC" – i to od razu z wysokiego poziomu. Program nowej płyty zagrają w sali NOSPR na tegorocznym WOMEX.

Związek z muzyką źródeł u Wyrostka nie jest oczywisty. Klasycznie wykształcony, muzyczny erudyta, jako kompozytor sprawnie porusza się w najróżniejszych stylistykach. Ta łatwość nie staje się jednak obciążeniem. Wirtuoz akordeonu dociera bowiem do narodowego folkloru okrężną drogą, przez fascynacje Szymanowskim, Kilarem czy wczesnym Lutosławskim. Szlachetny to trop, ale z drugiej ręki.

Przyznając się do takich mistrzów, twórca bierze też na siebie zobowiązanie wierności kulturze wysokiej. I Marcin Wyrostek robi to znakomicie. Świetnie napisane partie smyczków, wielka wrażliwość operowania dynamiką, przemyślane formy kompozycji i w końcu urokliwe oraz z pasją zagrane partie solowe dowodzą, że mamy do czynienia z muzykantami najwyższej próby. Chociaż gubię się nieco w tak eklektycznej składance, to polecam album, widząc mistrzostwo całego zespołu, bo o sile tej muzyki stanowią w równym stopniu pozostali soliści, w tym skrzypek Mateusz Adamczyk i gitarzysta Daniel Popiałkiewicz. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Grek górą

Nowy „Łowca androidów" rozbudza emocje, również jeśli chodzi o ścieżkę dźwiękową. Ta Vangelisa, sprzed 35 lat, na stałe zrosła się arcydziełem Ridleya Scotta, więc porównania są nieuniknione.

Pierwszy soundtrack do „Blade Runnera" ukazał się dopiero 12 lat po premierze filmu. Mimo to „Love Theme" wciąż należy do najpopularniejszych utworów greckiego kompozytora. Vangelis zbudował dźwiękowy świat mrocznego Los Angeles 2019 r., opierając się na brzmieniach syntezatora Yamaha CS-80, które splótł z orkiestrowymi wstawkami.

Niemiec Hans Zimmer i jego współpracownik – Anglik Benjamin Wallfisch – stworzyli przeraźliwie efektowny soundtrack, jednak zabrakło im lekkości muzyki Greka. Od pierwszych sekund atakują nas dźwiękowe drony siejące elektroniczne spustoszenie. Ponury, przytłaczający nastrój jest też w spokojniejszych momentach. Dominują w nich ciężkie akordy i pogłosy, często fortepianowe, a w ich tle rozbrzmiewają elektroniczne pomruki. Problem w tym, że w końcu to musi nużyć. Monotonia zostaje rozbita dzięki wykorzystaniu przebojów Elvisa Presleya i Franka Sinatry. Niestety, zaraz potem wracamy do opisanych klimatów. Dopiero kończąca album piosenka „Almost Human" w wykonaniu Lauren Daigle stanowi kontrapunkt do jednostajnego muzycznego mroku. ©℗

★★★★★★

HANS ZIMMER
„BLADE RUNNER 2049"
EPIC

★★★★★★

ANDRZEJ KORZYŃSKI
„WIELKI SZU"
GAD

Kryminalny hit z 1983 r. doczekał się płyty ze ścieżką dźwiękową. Dyskotekowa elektronika przeplata się z orkiestracjami, bluesowe gitary z jazzującą trąbką, a wszystko to rozgrywa się wokół przepięknych tematów filmowych. ©℗

★★★★★★

BENJAMIN CLEMENTINE
„I TELL A FLY"
UNIVERSAL

Drugi album Brytyjczyka opowiada o miłości dwóch much na tle kryzysu z uchodźcami. Utwory à la Kurt Weill wchodzą w zawiłe relacje z tekstami, dominuje impresjonistyczny fortepian, są chóry i nie ma przebojów. Dla koneserów. ©℗

eprasa.pl 75e3f2809d

Równowaga faktów i wizji

Zdumiewająco mocny w swej wymowie, ale odznaczający się zarazem doskonale zrównoważoną tonacją film „Smoleńsk" Antoniego Krauzego pokazano na Węgrzech w stołecznym kinie Urania tylko raz – w przededniu siódmej rocznicy polskiej tragedii narodowej.

Wstrząśnięty świeżo obejrzanym filmem zwróciłem się do mojego kolegi, prof. Csaby Gy. Kissa, który prowadził rozmowę z obecnym na seansie Antonim Krauzem: „Drogi Csaba, proszę cię, przekaż reżyserowi, że jest twórcą cudu. W rozległej scenie finałowej udało mu się uniknąć wszelkich, czyhających na każdym kroku, kiczowatych rozwiązań. Zarysował każdą hipotezę prawdy o wydarzeniach, zachowując cudowną równowagę różnych możliwości i nie przywiązując ostatecznie swojego filmu do żadnej z nich. Cudu owej równowagi dokonał w ten sposób, że historię rozpoczętą jako studium przypadku zdołał podnieść do rangi dzieła sztuki. Przekaż, proszę, moje gratulacje twórcy tego arcydzieła".

Dzisiaj chciałbym tę emocjonalną tezę dopowiedzieć i uzasadnić. W roku Jánosa Aranya my, Węgrzy, musimy na nowo przemyśleć świat ballad naszego wielkiego poety. Zamiast poprzestawać na szkolnej formułce »balladowego mroku«, musimy sobie uświadomić, że ballady Aranya stają się oryginalnymi arcydziełami dzięki temu, że ich autor, z możliwie najbardziej racjonalną pasją śledczą, rozważa wszelkie warianty opowiadanej historii, aby w końcu nie opowiadać się po stronie żadnego z nich, pozostawiając czytelnikowi wolny wybór. Wszystko jest możliwe, ale nic nie jest możliwe do udowodnienia. Historia właśnie dlatego może stać się dziełem sztuki, że poprzez nią ukazuje się różnokierunkowość możliwych finałów życia, że w niej ludzka działalność odsłania się jednocześnie jako z góry zdeterminowania i zawierająca w sobie pierwiastek wolnej woli, otwierającej wielość możliwości i sensów. W podobny sposób film Krauzego potrafi ukazać rzeczywistość historyczno-polityczną w jej wielowymiarowości.

O czym właściwie jest bowiem mowa w tym filmie? Otóż siedem lat temu przedstawiciele najwyższych władz państwa polskiego udali się samolotem do Smoleńska, aby tam oficjalnie świętować 70. rocznicę tragedii katyńskiej. Samolot się rozbił. Pogoda była fatalna. Jednak czas naglił. Godność aktu upamiętnienia wojennego dramatu determinowała uczestników wyprawy. W ten sposób sami stali się męczennikami. Tak jak niegdyś w Katyniu kwiat polskiej inteligencji. Odtąd tragedia upamiętnianych i upamiętniających stała się jednością. Jednak tę późniejszą próbuje się „objaśniać" za pomocą nieskończenie wielu domysłów i podejrzeń.

Film Antoniego Krauzego, niejako przedzierzgając się z dokumentu w artystyczny film fabularny, przygotowuje własne studium przypadku. Każdą wariację na temat dramatu smoleńskiego, odkrytą, wyszukaną bądź wymyśloną w ciągu minionych siedmiu lat, przepracowuje precyzyjnie jako realne wydarzenie. Tyle że wszelkie uwzględnione tendencje, wszystkie prezentacje wydarzeń prowadzą ostatecznie do konsekwencji wzajemnie sprzecznych. Każda doprowadzona do końca ewentualność zaprzecza innym. Wielość wzajemnie sprzecznych wydarzeń. A każde z nich możliwe i wiarygodne. Uwiarygodnione przez rzeczywiste fakty. Jednak jak z tego stworzyć jedną bezsporną narrację wieńczącą film?

Na szczęście reżyser do tego nie zmierza. Każda nić opowieści skręca u Krauzego w stronę mitologii. Wszystko się mogło wydarzyć, ale żadna wersja nie pojawia się jako ta rzeczywista i dowiedziona. W ten sposób objawia się balladowa wieloznaczność.

Czekałem na to w napięciu do ostatniej tercji filmu. Albowiem twórca „Smoleńska" tak pieczołowicie prowadzi do końca wariantowe wersje wydarzeń, że bliski rozpaczy czekałem, którą z nich uzna wreszcie za tę jedynie prawdziwą. Bo jeśli tak postąpi, to koniec – jego film stanie się kiczem, polityczną propagandą, „partyjnym" kompromisem. Jednak nie! Zanim doprowadzi do kresu jedną nić narracji, przerywa i przechodzi do wersji alternatywnej, z poprzednią sprzecznej. Tak rodzi się, ku mojemu zdziwieniu, wspaniała równowaga ballady i staje się zwieńczeniem dzieła Krauzego.

Wszystko jest możliwe, każda przyczyna mogła spowodować tragedię. Ewentualnie: wiele przyczyn naraz. Możliwe, że nigdy nie da się tego ostatecznie ustalić. I właśnie to jest tragiczne. Stało się – to musi nam wystarczyć. Historia tyle może utrwalić, tyle możemy pamiętać, tyle objąć żałobą. I do tego, jak do każdej wielkiej tragedii narodowej, przyrastają osobiste interpretacje i wykładnie. Naród żyje dopóty, dopóki jest zdolny takie tragedie interpretować. Bo tylko wówczas ludzie i całe narody starają się wydobyć z zagłady swą osobistą jaźń. Katyń wraz z tym swoim tragicznym epilogiem stał się jedną z wielkich tragedii Polaków. To porusza każdego Polaka z osobna i porusza cały naród. Szuka on wyjaśnienia niewytłumaczalnej straty. Bo chce żyć. Przeżyć. Opanować, opisać tragedię. Naród pragnący żyć, nastawiony na życie, poszukuje wyjaśnienia. I pojedyncze wyjaśnienie nie przynosi rozwiązania. Raczej to wspólne poszukiwanie, które właśnie na przekór tragedii bada wolę życia i mechanizmy unikania podobnych tragedii. Dzieło filmowe Antoniego Krauzego daje zorientowaną na życie wiwisekcję historii narodu i autowiwisekcję. Daje nam istotną narodową psychodramę. W balladowym finale filmu dominuje godność wznoszenia się ponad małostkowe oskarżenia.

Z tego powodu wielu krytykowało ten film, z tegoż powodu uważam go za arcydzieło. Zaświadczam, że reżyser polski daje nam istotną narodową psychodramę. Wśród Węgrów wychowanych na balladach Jánosa Aranya dzieło Antoniego Krauzego może znaleźć wielu rozumiejących odbiorców.

Lóránt Kabdebó
przeł. Jerzy Snopek

L. Kabdebó – (ur. 1936 r.) – węgierski literaturoznawca, krytyk, redaktor periodyków naukowych i czasopism kulturalnych, profesor uniwersytecki.

eprasa.pl 75e3f2809d

Biedermeier
mieszczańska Arkadia
[200-lecie narodzin stylu malarskiego zapomnianego]

Carl Spitzweg, „Rodzinny spacer w słońcu" (1841)

David Piper:

„Styl, który szaleństwom wyobraźni Romantyków przeciwstawił prostotę, umiarkowanie i funkcjonalność pasującą do mieszczańskiego wnętrza".

Artur Oppman:

„Kamienice mieszczą w sobie wielce zacny świat mieszczański. Dobre rzeczy się tu działy, patrz w kronikach pod: Rok Pański...".

eprasa.pl 75e3f2809d

Waldemar Łysiak

Nawet koneserzy sztuki nie pamiętają, że był malarski styl pt. Biedermeier, chociaż trwał aż trzy dekady i konkurował z trwającym równolegle Romantyzmem, wypierając tenże na dużych obszarach Starego Kontynentu. Encyklopedie go zauważają, ale poświęcają mu ledwie kilka (dosłownie kilka!) zdań, a kompendia i monografie opisujące historię sztuki europejskiej w ogóle nie napomykają o nim. Został wyklęty już dawno temu, z dwóch powodów — bo nie był awangardowy (vulgo: nie brał udziału w postępowej ewolucji sztuki pędzla) i był stricte mieszczański (vulgo: praktykowany ku satysfakcji mieszczan, adresowany głównie do mieszczan, czyli do *„filistrów"*), zatem skandalicznie trywialny, parafialny, wsteczny i ciemnogrodzki, jak na gust wszelakich modernistów, progresistów, reformatorów, zwłaszcza lewackich fanatyków *„inżynierii społecznej"*, oraz artystów, którzy z prędkością światła pędzili już ku impresjonizmom, ekspresjonizmom, futuryzmom et consortes.

TO STRASZNE MIESZCZAŃSTWO

Mieszczaństwo jako odrębny stan społeczny formowało się w dobie feudalizmu, zyskując swoiste prawa i przywileje. Włoskie osady miejskie stuleci VIII i IX dały pierwociny tej klasy, a do XIII wieku prawie cała Europa znała już mieszczaństwo krzepnące coraz bardziej, parające się handlem, bankowością i wszelaką wytwórczością (rzemiosłem etc.). Jego *„masami"* były dolne warstwy (pospólstwo, plebs), a warstwę górną stanowił patrycjat (przedstawiciele dużego handlu, wielcy przedsiębiorcy, posiadacze solidnych fortun, etc.). Gdy zwyciężył kapitalizm (XVIII/XIX w.) — te wyższe warstwy stały się burżuazją (*„kapitaliści"*), niżej stało drobnomieszczaństwo, najniżej proletariat. Popularne w *„Wieku Świateł"* określenie *„stan trzeci"* pierwotnie obejmowało każdego kto nie należał do szlachty i duchowieństwa (a więc wszelkich mieszczan i chłopów), później jednak termin ów otrzymał węższe znaczenie, tycząc wyłącznie mieszczaństwa. Zwłaszcza zaś drobnomieszczaństwa, czyli formacji pośredniej, której członkowie ciągle pretendowali do awansu (vulgo: starali się wejść w skład zamożnej burżuazji) lub ciągle byli zagrożeni degradacją (vulgo: spauperyzowaniem ku poziomowi proletariatu miejskiego).

Nowożytne mieszczaństwo europejskie wypracowało sobie od stuleci (od późnego Średniowiecza) sui generis katechizm etyczny bazujący na moralności chrześcijańskiej (czyli na Dekalogu i jego pochodnych) oraz na regułach przyzwoitości wypracowanych *„w praniu"* (czyli w codziennym życiu zbiorowości szukającej optymalnych trybów koegzystencji) — mieszczański uniwersalny *„savoir-vivre"*, zbiór norm, które można rozpisywać szeroko, ale daje się też zamknąć jedną frazą streszczającą wszystko: *„Pewnych rzeczy się nie robi"* (vulgo: człek prawy nie brudzi sobie sumienia nie brudząc sobie rąk łajdactwem). W XIX wieku zwano to m.in. *„moralnością wiktoriańską"* (tym terminem określano głównie pruderię), a szerzej *„mieszczańską moralnością"*. Dla rozmaitych ówczesnych lewaków (od socjalistów do nihilistów) stanowiła ona przysłowiową *„czerwoną płachtę na byka"* — zwalczali ją jako przejaw antypostępowej reakcji, ciemnoty, wstecznictwa, zacofania, karcąc mieszczanina epitetem *„filister"* (wiek XIX), a później (wiek XX) epitetem *„burżuj"*. Ludzie mojego pokolenia pamiętają autopsyjnie te komunistyczne (w krajach zwanych *„demoludami"*) i goszystowskie (w krajach Zachodu) *„hejty"*: słowa *„burżuj"*, *„burżuazja"*, *„burżuazyjny"*, *„burżujstwo"* itp. pełniły rolę pejczów do okładania *„strasznego mieszczaństwa"* synonimującego wszelakie kontrmodernistyczne i ahumanitarne (bo areformistyczne) zło. Co znajduje precyzyjny wyraz w wierszu Tuwima **„Straszni mieszczanie"**, zaczynającym

Karl Blechen, „Dwaj mnisi w grocie" (1830)

eprasa.pl 75e3f2809d

Wincenty Kasprzycki, „Widok Morysinka z tęczą" (1834); Christian Albrecht Jensen, „Portret Birgitte Søbøtker Hohlenberg" (1826); Jakob Alt, „Widok z pracowni malarza" (1836)

się od słów: *„W strasznych mieszkaniach strasznie mieszkają straszni mieszczanie"*. Cytuję duże fragmenty tego utworu:

„Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,
Krawacik musną, klapy odciągną
I godnym krokiem z mieszkań na ziemię,
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapięci szczelnie,
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc — widzą wszystko oddzielnie,
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż papierowym wzdęte zakalcem,
Wypchane głowy grubo im puchną.

Głowę rozdętą i coraz cięższą
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.
Pod łóżka włażą, złodzieja węszą,
Łbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,
Spodnie na tyłkach zacerowane,
Własność wielebną, święte nabytki,
Swoje, wyłączne, zapracowane.

Potem się modlą: «od nagłej śmierci...
... od wojny... głodu... odpoczywanie»,
I zasypiają z mordą na piersi
W strasznych mieszkaniach
straszni mieszczanie".

Tak — jeśli się modlą, to musi być *„morda"*, ta *„wypchana grubo wzdętym zakalcem"*. Zakalcem tradycyjnych norm społecznych, prawnych, obyczajowych, wyklętych przez wszelkie lewactwo i przez junactwo z pokolenia '68. Nieliczni przyzwoici rycerze kontestowali tę antymieszczańską gangrenę już w pierwszej połowie XX wieku, exemplum szwajcarski myśliciel Denis de Rougemont, który zżymał się na coraz intensywniejsze szkalowanie *„mieszczańskiej moralności"*, pisząc: *„Słuszną pogardę winna budzić nie ona, lecz zabiegi jej wrogów"*.

MIESZCZAŃSKI REALIZM W SZTUCE

Pogardę lewactwo odczuwało również i dalej odczuwa do *„mieszczańskiej sztuki"*, czyli do Biedermeieru — tym większą, im większy podziw czuje wobec pseudoawangardowych bohomazów dzisiejszych, które zdają się być dziełami pijanego kibola, co rozlał i zataczając się rozdeptał trampkami parę kubełków farb.

eprasa.pl 75e3f2809d

Tym stwierdzeniem nie staram się bronić malarstwa biedermeierowskiego, czy wmawiać komukolwiek, że była to wielka sztuka, równa rangą renesansowej lub barokowej, jedynie upominam się o minimum szacunku dla tego nurtu nienagannego warsztatowo (technicznie), a treściowo (fabularnie) skierowanego do grupy (klasy) społecznej, która zaczęła wówczas odgrywać rolę decydującą, jaką wcześniej pełnili nobile (arystokracja i szlachta), zaspokajającego potrzeby estetyczne tej formacji. Z takiego punktu widzenia malarstwo Biedermeieru jest ważną fazą historii nie tyle sztuki pędzla (bo nie stworzyło własnej maniery pikturalnej, formalnej), ile dziejów wizualizacji pędzlami świata zastanego, obrazowania nimi rzeczywistości/codzienności bieżącej.

Swoisty *„realizm mieszczański"* (sceny rodzajowe z mieszczańskimi figurami) uprawiało już barokowe malarstwo pierwszej połowy XVII wieku. Lata 40–te tamtego stulecia to mieszczańskie projekcje Flamandów (Jacob Jordaens i in.), Holendrów (Frans Hals, Rembrandt i in.) czy Francuzów (zwłaszcza Louisa Le Naina malującego wczesne drobnomieszczaństwo). Równo sto lat później (lata 40–te XVIII wieku) w Anglii ukazuje mieszczan zgryźliwie William Hogarth, a we Francji troskliwie Jean–Baptiste Chardin. Francuza, przedstawiającego pracowitą, godną, cnotliwą codzienność mieszczańskiej rodziny, można spokojnie zwać

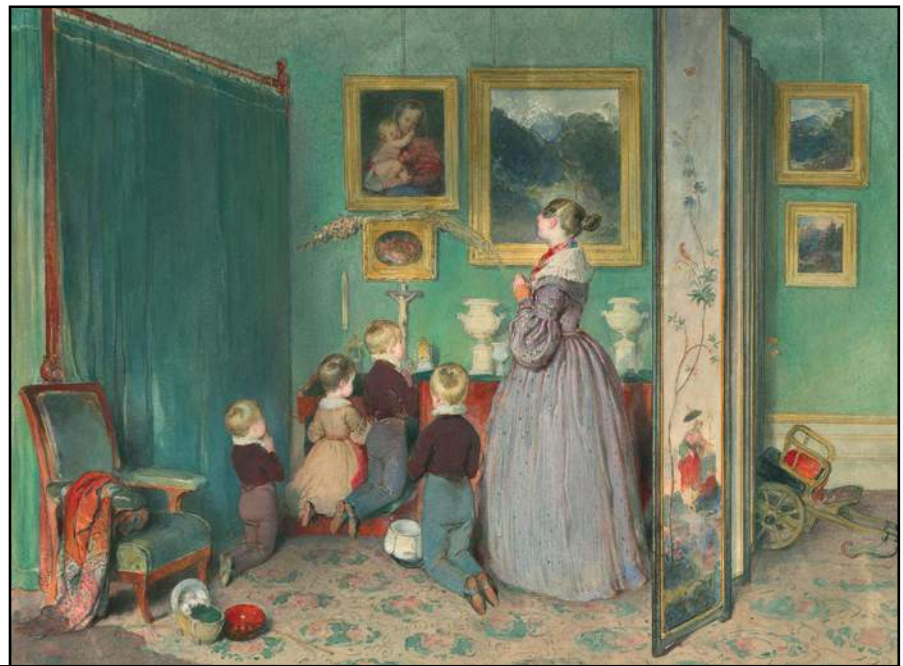

Modlitewność Biedermeieru: Peter Fendi „Modlitwa wieczorna" i Ferdinand Georg Waldmüller „Zaduszki – modlitwa na cmentarzu" (oba 1839)

eprasa.pl 75e3f2809d

praojcem *„rodzajowych"* fabuł malarskich Biedermeieru. Chardin bowiem rejestrował pędzlami (chciałoby się rzec: fotografował) życie solidne, rytualne, bogobojne, apoteozując (wbrew oświeceniowym demagogom/demoralizatorom) wartości rodzinne, a także ów respekt dla przyzwoitości ludzkiej, który wkrótce zyska szydercze miano: *„moralność mieszczańska"*, i który zemrze ćwierć tysiąclecia później pod naporem totalnego etycznego rozkładu. Ten rozkład — ten uwiąd etosu tradycyjnej rodziny oraz kanonów *„mieszczańskiej moralności"* — jest największym kataklizmem tysiąclecia; wszystkie wojenne hekatomby i wszystkie holocausty są przy nim tragediami o drugorzędnym znaczeniu.

Mieszczańska tematyka Chardina cieszyła się wielkim wzięciem, gdyż XVIII–wieczna burżuazja francuska stanowiła już silne grono nabywców sztuki. Gdy tylko ukończył jakąś rodzajową scenę, sztycharze bili się o prawo jej powielania i ryciny te trafiały do wszystkich francuskich grodów. Analogicznie było z Biedermeierem w Niemczech, Austrii, Danii i całej *„Mitteleuropie"*, w Polsce także. Przy identycznej tematyce *„scen rodzajowych"* — źródła mentalne/duchowe tudzież pararebelianckie były jednak zupełnie różne. Oba bowiem te malarstwa — i chardinowskie, i biedermeierowskie — stanowiły zdecydowaną reakcję przeciwko czemuś. W przypadku Chardina była to odważna kontestacja panującego wówczas autorytarnie nad Sekwaną stylu Rokoko — frywolnym, pikantnym, quasi–pornograficznym motywom rokokowego malarstwa Jan–Chrzciciel przeciwstawił tematykę mieszczańskiego purytanizmu. Z kolei w Biedermeierze była to kontestacja zgiełku/chaosu/eposu wojennego. Między Chardinem (zmarł kilka lat przed wybuchem francuskiej Rewolucji) a startem Biedermeieru (po Kongresie Wiedeńskim) Europę przez z górą trzy dekady orały ciągłe wojny ówczesnych mocarstw, a środkowa Europa (od Beneluksu do Bugu) stanowiła główną arenę tych zmagań. Nic dziwnego, że mieszczaństwo — łaknące spokoju dla praktykowania handlu i wszelakiej przedsiębiorczości — odetchnęło dzięki Świętemu Przymierzu mocarstw zadekretowanemu umową wiedeńską. Stąd dzisiaj krytycy sztuki (od Austriaka Wilhelma Bietaka, do Polaka Wojciecha Stanisławskiego) mówią, iż malarski Biedermeier to dane pędzlami świadectwo błogiego *„wycofania się z Historii"* i *„wygoda popuszczania pasa"*, ergo: *„Bohaterowie biedermeierowskich obrazów odpoczywają od Historii"*.

Georg F. Kersting „Przed lustrem" (1827)

Bohaterowie, czyli figury ludzkie. A przecież Biedermeier to nie tylko *„sceny rodzajowe"*, i nie tylko malarstwo. Czas więc tedy na precyzyjną charakterystykę tego stylu:

ŹRÓDŁA, DATY, NAZWY I CECHY

Zanim przejdziemy do cech malarstwa biedermeierowskiego — ustalmy daty i źródła nazewnicze. Data końcowa nie podlega dyskusji, to rok 1848, czyli wybuch europejskich rebelii zwanych Wiosną Ludów. Lecz z datą początkową są spore problemy. Najczęściej wskazuje się rok 1815 lub 1816, choć zdarza się, że monografiści klasyfikują do Biedermeieru nawet głośne płótno Karla Friedricha Schinkla **„Katedra ponad miastem"** z 1813 roku (moim zdaniem to raczej Romantyzm). Sądzę, że dla malarstwa biedermeierowskiego właściwą datą startu jest rok 1817, a konkretnie: trzaśnięty wówczas przez Juliusa Schoppego obraz **„Widok Salzburga"**, który łączy kilka charakterystycznych motywów tego nurtu — scenę rodzajową (czterej studenci na pierwszym planie), wedutę (panoramę miasta na drugim) i pejzaż (na trzecim). Zaś rok 1815 przyjąłbym jako datę startu Biedermeieru w meblarstwie (notabene: wielu przeciwników wyodrębniania malarstwa biedermeierowskiego jako osobnego stylu, uważających to malarstwo za przyziemny odłam panującego wtedy Romantyzmu lub za anachroniczny proto-Realizm wyprzedzający Realizm Courbeta z pierwszej dekady drugiej połowy XIX wieku — twierdzi, że Biedermeier to tylko styl meblarski, ewentualnie jeszcze architektoniczne dekoratorstwo ówczesnych wnętrz). Te gładko fornirowane meble wyrabiano z jasnego drewna (brzoza, jesion, drzewa owocowe), wzorując je trochę na meblach empirowych i angielskich meblach XVIII–wiecznych, lecz dając im radykalnie prostsze formy, które gwarantowały większą bezpretensjonalność i funkcjonalność. Czyli mieszczańskość tout court.

Nazwa nurtu powstała wkrótce po jego zmierzchu i była szyderstwem wymierzonym w *„strasznych mieszczan"* zwanych wówczas *„filistrami"*. Tak określano ludzi małostkowych, pozbawionych wyższych aspiracji, samolubów o ciasnym światopoglądzie, kołtunów o wąskich horyzontach, ergo: osobników bez polotu, ograniczonych, tępawych. Pierwsi miotali epitetem *„filister"* nieznoszący mieszczaństwa germańscy bursze (studenci), i to się przyjęło wśród progresistów. Niektóre kompendia głoszą, że nazwę Biedermeier ukuto od postaci dwóch *„filistrów"* — Biedermanna i Bummelmaiera — których złączone nazwiska dały tytuł nurtu. W istocie jednak źródłem była inna figura literacka, prowincjonalny bakałarz Wieland Gottlieb Biedermaier (nie zaś Biedermeier jak piszą dziś dyletanci — literę a zamieniono na literę e dużo później), którą stworzyli dwaj młodzi poeci, Ludwig Eichrodt i Adolf Kussmaul w 1850 roku (*„Biedermaier"/„Biedermeier"* to po niemiecku ktoś między *„chłopkiem–roztropkiem"* a *„poczciwiną"*, człekiem prostodusznym i zacnym; wzorem dla obu rymopisów był wiejski nauczyciel Samuel Sauter, autor grafomańskich poematów o zaletach małżeństwa, modlitwy itp.). A.D. 1854 monachijskie satyryczne pismo **„Der Fliegenden Blätter"** zamieściło kpiarski utworek **„Biedermaiers Liederlust"** (Rozwiązłe żądze Biedermaiera) — i stąd ukuto nazwę nurtu, którego malarstwo dalekie było od rozwiązłości, pozwalało sobie co najwyżej na znaczące mrugnięcie

eprasa.pl 75e3f2809d

Carl Spitzweg „Czytanie porannej gazety w ogrodzie" (1839) i Albrecht Adam „Biały koń pozuje w pracowni malarza" (1835)

okiem (rutynowo przywołuje się tu obraz Carla Spitzwega ukazujący młodą ogrodniczkę, którą z dystansu pieści wzrokiem stary safanduła).

Klasyfikuje się obrazy do Biedermeieru głównie (prawie wyłącznie) za sprawą ich treści, a nie przez cechy formalne/warsztatowe, gdyż nurt ten — co już nadmieniałem — nie wytworzył własnej pikturalnej maniery. Wśród tych tematów prym wiodą pogodne *„sceny rodzajowe"*, często familijne, gdzie króluje pracowitość, pobożność, sielskość, idyliczność i przytulność (*„Gemütlichkeit"* jako swoiste credo/dewiza Biedermeieru), słowem: ciepły i unormowany *„Ordnung"*, spokój egzystencjalny, plus *„amusements de la vie privée"* (przyjemności życia codziennego). Inne motywy to portrety, weduty (panoramy miast), pejzaże, widoki wnętrz mieszkalnych (*„Zimmerbilder"* — portrety komnat), scenki miejskie i *„martwe natury"* (głównie bukiety kwiatów). Charakterystyczna cecha ujęć: immobilizm czyli nieruchawość (kiedy Neoklasycy i zwłaszcza Romantycy, jak Stubbs, Gros, Goya, Géricault bądź Delacroix, malują rumaki rozszalałe, spienione, buntownicze — Biedermeierowcy, jak Adam, Kobell, Krüger, Købke bądź Quaglio, ukazują konie nieruchome niby posągi, grzeczne, potulne, ułożone). Charakterystyczna cecha wykonania: detalizm (jedyne zdanie, które **„Random House Dictionary of Arts"** poświęcił Biedermeierowi robionemu pędzlem, brzmi tak: *„Malarstwo drobiazgowo cyzelujące detal i całkowicie rezygnujące z heroicznych akcji czy gestów, z wszelkich porywów emocji"*, 1988). Summa summarum: bardzo łagodna narracja, odwalona z iście jubilerską precyzją.

F. W. von Schadow „Portret kobiety" (1832, tzw. *„Mona Lisa Biedermeieru"*); niżej: J. E. Hummel „Berlin, granitowa misa" (1831)

eprasa.pl 75e3f2809d

PIĘTNOWANIE I CHWALENIE

Zrodzony w pracowniach niemieckich Biedermeier rozprzestrzenił się szybko ku terenom sąsiednim (od Danii u góry, i północnych Włoch oraz Austrii u dołu, po słowiańszczyznę na wschodzie; w Anglii jego odpowiednikiem stał się później styl wczesnoWiktoriański). Wszystko było szybko: od meblarstwa i wnętrzarstwa rozwinął się szybko do malarstwa, kostiumologii i literatury, a od życzliwej akceptacji piorunem ewoluował do zjadliwej niechęci jako przejaw *„mieszczańskiego bezguścia"*, później wręcz synonim złego gustu. To, co się zrazu mogło podobać (apologia prywatności, intymności, czasem melancholii w przytulnych mieszczańskich wnętrzach bądź plenerach) — zostało zakwalifikowane jako drętwość, prostota jako prostactwo, itp. Gdy wpierw chwalono, że Biedermeier upraktycznił Empire — potem głoszono, że go wypaczył. Empire bowiem zjawia się w każdym kompendialnym haśle diagnozującym Biedermeier: *„Mieszczański styl, spowodowany ograniczeniem potrzeb artystycznych wskutek zubożenia Niemiec, a będący uproszczeniem stylów wcześniejszych (jak Empire) przez celową powściągliwość"*; *„Artystyczny odpowiednik uspokojenia i trzeźwej reakcji przeciwko rebelianckim hasłom Romantyzmu, będący uproszczeniem i utylitarnym dostosowaniem form klasycyzmu francuskiego, głównie empirowych"*. Zarzut brzmiał: sentymentalne chwyty przedstawień empirowych i romantycznych Biedermeier spłaszczył do poziomu trywialnej ckliwości, odbierając im subtelność i wzniosłość.

Czy zagorzałym wrogom malarskiego Biedermeieru nic się w nim nie podoba? Przyciśnięci wymieniają pojedyncze konterfekty i pejzaże, również biedermeierowskie weduty (tutaj Polacy mieli dwóch mistrzów: Wincentego Kasprzyckiego i Marcina Zaleskiego), a jako prawdziwą rewelację niektórzy wskazują modne wówczas panoramiczne widoki miast malowane z góry — z dachów wielkich budowli (pałaców lub kościołów). Exemplum sławne **„Dach mediolańskiej katedry"** (~1830) Carla Beckmanna, czy **„Panorama Berlina z dachu Werderschen Kirche"** (1834) Eduarda Gaertnera. Polacy i na tym polu byli *„nie gęsi i swój* [wedutowy] *język mają"*, czego dowód to świetny **„Widok Warszawy z gmachu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk"** (1825) pędzla Fryderyka Skarbka. Fajnie, że nawet Biedermeier zaświadcza, iż *„Polak potrafi"*. ©℗

Marcin Zaleski „Latem w warszawskich Łazienkach Królewskich" (1838) i Fryderyk Skarbek „Widok Warszawy z dachu domu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk" (1825)

eprasa.pl 75e3f2809d

Twórz z nami program!

Zadaj pytanie naszym gościom
na #TweetUpRepublika

REPUBLIKA

PONIEDZIAŁEK 20:30

tweetup
#tweetuprepublika

www.telewizjarepublika.pl

NA ŻYWO

eprasa.pl 75e3f2809d

Krzysztof Jasiewicz

Gott mit

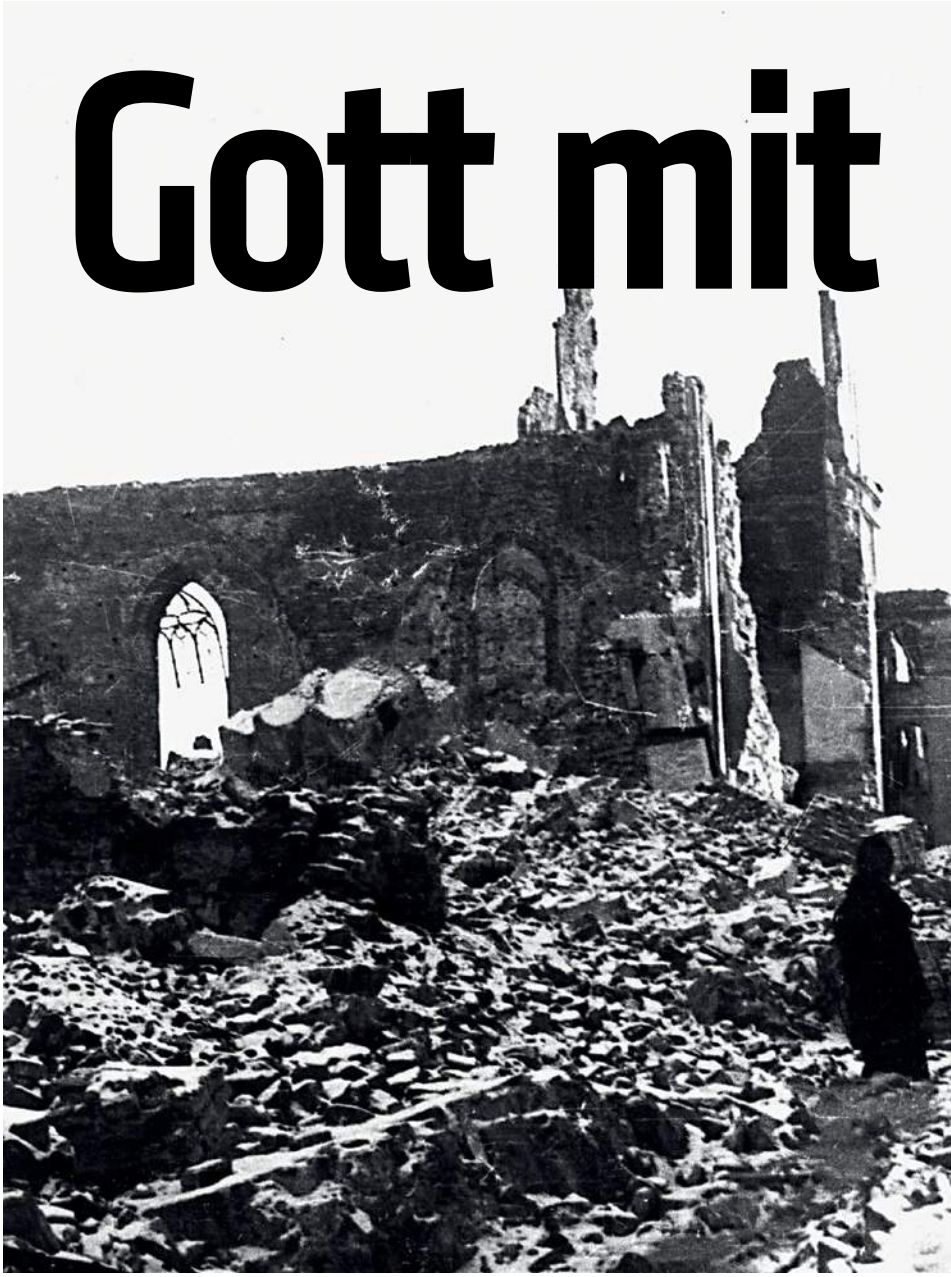

Nasze roszczenia wobec Niemców muszą być rozpatrywane jako reparacje, odszkodowania i przypadki szczególne np. dla takich miast jak Wieluń i Warszawa

Komunistyczna PRL była państwem niesuwerennym, nie mogła więc ubiegać się o oczywiste – z każdego punktu widzenia – reparacje wojenne od Niemiec. Trudno też poważnie traktować jakiekolwiek zobowiązania tamtego tworu, który nie miał żadnej legitymizacji społecznej i reprezentował interesy podparte sowieckimi bagnetami. Z kolei III RP też tego problemu nie chciała próbować rozwiązać, zarówno z powodu przyrodzonego „imposybilizmu", jak i w trosce o własne interesy klasy politycznej. Ta ostatnia karierę w „niepodległym" kraju traktowała bowiem jako etap lub trampolinę do dalszej kariery międzynarodowej, zwłaszcza unijnej, gdzie o stanowiskach decydowało niemieckie poparcie. Modelową drogę przeszli Donald Tusk i parę osób z jego otoczenia.

W trosce o dobre stosunki z Niemcami zabierają głos nasi pasterze. Mają oni z racji swojej misji prawo i obowiązek, by przypominać o bilansie dobrych rzeczy, które wydarzyły się za sprawą historycznego listu biskupów polskich do niemieckich. Jednak bez uczciwego rozrachunku – mniejsza o aspekty prawne, bo rzecz przede wszystkim dzieje się w sferze moralnej – oraz satysfakcjonującej rekompensaty za straty materialne i (to rzecz szalenie ważna) moralne dobrych relacji nie da się zbudować. Postawa niemieckich elit i milczenie tamtejszych Kościołów, a także głos mediów zdają się mówić: „Polsko, nic się nie stało!". To dobre w sporcie, lecz nie w życiu.

IDEA WYNARODOWIENIA

Nie komentuję tu „patriotyzmu" ani opinii naszej totalnej opozycji, bo na to szkoda czasu i papieru. Ciąży też nad nami zaczadzenie lewactwem polskich i unijnych elit. Stoją one bowiem na stanowisku, że „rola w historii wielkich projektów ideologicznych, a także ich głównych nosicieli w XIX i XX w. – państw narodowych – bezpowrotnie skończyła się wraz z wygaśnięciem konfliktu globalnego w 1991 r. To właśnie tak rozumiana »posthistoryczność« określa atmosferę debat o przeszłości w Europie Zachodniej i umożliwia historykom przesunięcie uwagi od badania wydarzeń do analizy znaczeń, jakie są tym pierwszym nadawane ex post. Skłania to do wychodzenia poza zainteresowania przeszłością własnego kraju ku komparatystycznemu podejściu do zjawisk historycznych […] jako egzemplifikacja problemów uniwersalnych". Cytat pochodzi z wysoko punktowanego pisma wydawanego przez PAN, a jego autor jest typowym lewackim historykiem, marzącym – jak kiedyś mi powiedział – o Harvardzie. Produkty tych teorii przenoszą się do muzealnictwa, sfałszowaną na lewacką modłę historię możemy zobaczyć i w Brukseli, i w Gdańsku. Odrzucenie koncepcji państwa narodowego może być jedną z przyczyn szerokiego otwarcia się naszych zachodnich sąsiadów na „uchodźców", z zamysłem ich dalszego relokowania jako panaceum na rozbijanie narodowych ciągotek u niektórych, jakże zacofanych, państw Europy Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl 75e3f2809d

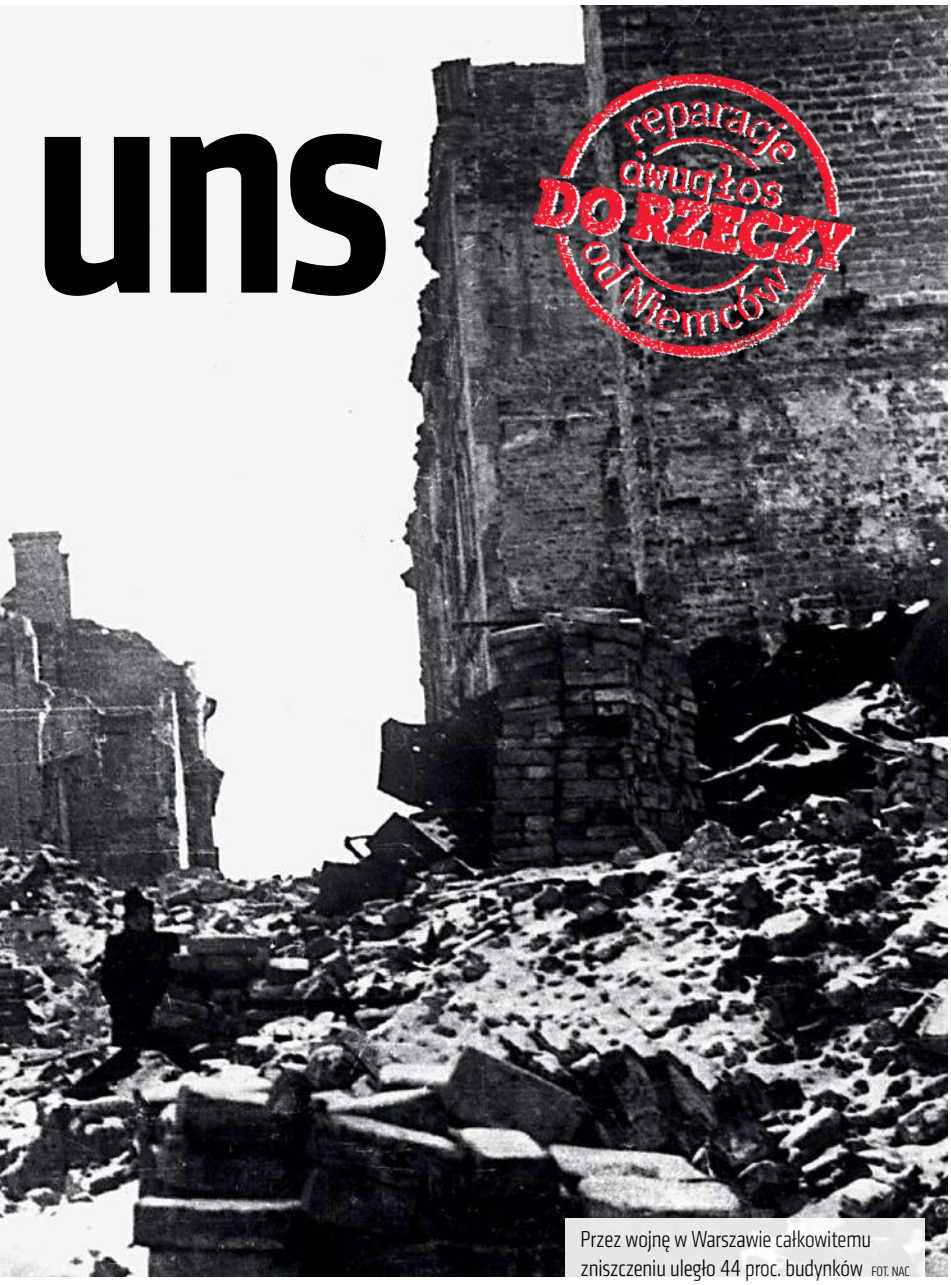

Przez wojnę w Warszawie całkowitemu zniszczeniu uległo 44 proc. budynków FOT. NAC

Przecenia się jednak znaczenie wiary w polsko-niemieckim pojednaniu. Msza w Krzyżowej oraz uściski Mazowieckiego z Kohlem stają się niewystarczające, gdy zderzymy je z oportunistycznymi postawami niemieckiego Kościoła katolickiego podczas II wojny światowej, od których się nie odciął, których nie potępił. Nie chodzi bynajmniej o to, abyśmy oczekiwali takiego pokajania się, jakie proponuje pseudoprofesor Daniel Goldhagen w książce poświęconej współuczestnictwu – jego zdaniem – Kościoła powszechnego w Holokauście. Kościół niemiecki winien przypomnieć swoim wyznawcom o konieczności naprawienia strat i krzywd, sięgając do swoich archiwów. Tam, niestety, parę kwiatków można znaleźć.

TROSKA NIEMIECKICH BISKUPÓW

W liście pasterskim biskupów niemieckich z 19 sierpnia 1943 r. zebranych u grobu św. Bonifacego w Fuldzie czytamy m.in.: „Nie możemy […] przeoczyć wielkich zadań, trosk i cierpień naszej drogiej niemieckiej Ojczyzny, w takiej wojnie, jaka w rozmiarach i grozie nie ma nic podobnego. Serce nasze należy [się] naszemu ludowi, któremu nas Bóg dał jako pasterzy, modlimy się za nasz lud i pracujemy dla niego, wraz z nim zmagamy się i z nim cierpimy. Przede wszystkim jesteśmy myślami, życzeniami, modlitwami i troskami naszymi przy wojownikach naszych, którzy w bohaterskim boju, poświęceniem i cierpieniami bez liczby bronią Ojczyzny i chronią przed bezgranicznym nieszczęściem.

Wojna nie toczy się jedynie na krwawych frontach, ale i w Ojczyźnie. Podziwienia godnym jest, co za troski i cierpienia dla ratowania Ojczyzny ponoszą mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Wszystkim, którzy uczestniczą w tym wielkim dziele ratowania, często ostatnią kroplę sił na to oddając, niech Chrystus zapłaci, który za wierność aż do śmierci obiecał koronę życia.

Słowo serdeczne o współczuciu i zapewnienie szczerej pamięci w modlitwie kierujemy jeszcze szczególniej do swych braci naszych i sióstr, którzy przez naloty postradali mienie i często i drogich swoich. Z radością dopomagać pragniemy nad odbudową ich domu i szczęścia, jak tylko to będzie możliwe dla nas. Gdzie bowiem burzenie i niszczenie do takich doszły rozmiarów, tam dzieło pomocy musi stać się wielkim, jak dzieło zniszczenia. W chwili obecnej szczególną troskę mamy o te tysiące, jeżeli nie miliony, które ojczysty zagon musiały opuścić i w dalekich stronach, na cudzej własności musiały szukać chwilowego pomieszczenia, ponieważ straciły wszystko. […] Jeżeli tysiące i tysiące za dni naszych gotowi są życie swoje dać za braci swoich, czy mielibyśmy się wahać majętność swoją dzielić z braćmi naszymi!”.

Niemcy wywołali dwie wielkie wojny światowe i dziesiątki wojen regionalnych. Nie sposób ocenić wielkości strat ludzkich i materialnych, jakie spowodowali. Niemieccy duchowni zapomnieli o dziesiątkach tysięcy Polaków (i Żydów) wyrzuconych z ziem polskich włączonych do III Rzeszy, dużo większej liczbie wyrzuconych z własnych mieszkań, pozbawionych swojej własności, i pośrednio o wywózkach z Kresów Wschodnich, które stały się możliwe za sprawą wojny i tajnych układów. Krokodyle łzy wylewane przez niemieckich duszpasterzy, mających mnóstwo podziwu dla „wojowników”, którzy niszczyli z ziemi, morza i nieba byt całych państw i narodów, może tylko obrażać Boga. Dzisiaj owocuje to bezrefleksyjną empatią dla „wypędzonych”, a nawet oczekiwaniami przeprosin za naloty dywanowe skutkujące dużymi stratami i zniszczeniami bądź za wrogi

eprasa.pl 75e3f2809d

stosunek Polaków czy Czechów do swoich niemieckich sąsiadów.

O CZYM ZAPOMNIELI NIEMCY

Polska, obok ZSRS i byłej Jugosławii, należy do państw, które poniosły największe straty we wszystkich aspektach. Już w kampanii wrześniowej poległo 66,3 tys. żołnierzy, zaginęło 420 tys., a rany odniosło 133,7 tys. Ogółem we wszystkich kategoriach straty WP oszacowano na 620 tys. Podobne – jeśli chodzi o zabitych – były straty wśród cywili, wynikające z niemieckich nalotów i ostrzału artyleryjskiego. Były już też duże straty materialne, których symbolem może być płonący Zamek Królewski w Warszawie.

W pierwszych szacunkach powojennych przyjęto, że ogółem życie straciło 6 000 028 obywateli, z czego 3 mln to byli Żydzi, a reszta Polacy. Oczywiście owe dane były wynikiem decyzji politycznej (słynne dołożenie 28 tys. do 6 mln, by lepiej to wyglądało). Dokładne oszacowanie strat pewnie jest niemożliwe, ale taką próbę, uwzględniającą także obywateli innych narodowości, przeprowadzono w 2009 r., w czym miałem przyjemność uczestniczyć.

Według tych danych straty polskie w II wojnie światowej wyniosły ok. 6 mln (5 900 000) osób, ok. 1 mln przypadło na mniejszości, bez Żydów. Liczbę Polaków, którzy stracili życie w wyniku niemieckiej eksterminacji i działań wojennych, oceniono na 1,5 mln, Żydów – na 2,9 mln. Ludność Polski zmniejszyła się prawie o jedną czwartą w stosunku do stanu przedwojennego. Szczególnie dotkliwe straty ponieśliśmy wśród inteligencji, a więc z natury wśród jednostek najaktywniejszych i najbardziej patriotycznych.

Gigantyczne straty poniosły wszystkie gałęzie polskiej gospodarki. Spośród 30 017 zakładów przemysłowych w nowych granicach zniszczone zostały 19 592 (chociaż statystyka obejmuje zakłady na ziemiach niemieckich przyłączonych do PRL, to jednak one musiały być policzone jako należące do państwa polskiego, bo to było oczywiste w tej konfiguracji granic). Z 9255 zakładów na tzw. Ziemiach Odzyskanych zniszczeniu uległo 6727. W przemyśle m.in. wydobywczym z 476 zakładów zniszczeniu uległo 301, w mineralnym odpowiednio – 2296 i 1802, w hutniczym i metalowym – 3355 i 2420, w elektrotechnicznym – 290 i 188, we włókienniczym – 1142 i 553, w drzewnym – 3667 i 2604, w rolno-spożywczym – 13 601 i 8710, w budowlanym – 1471 i 824. Na 888 elektrowni, gazowni, wodociągów i rzeźni zniszczeniu uległo 565 obiektów.

Wszystkie powyższe dane są niedoszacowane. Ogromne spustoszenia poczyniła wojna w miastach, a także na obszarach walk. We wszystkich miastach na terenie Polski było 295,4 tys. zniszczonych lub uszkodzonych budynków. W Warszawie całkowitemu zniszczeniu uległo 44 proc. budynków (w Śródmieściu – 71,55 proc.). Rolnictwo było jak po kataklizmie, obok rekordowo niskich zbiorów pogłowie bydła rogatego spadło do 33,5 proc. wielkości przedwojennej, trzody chlewnej – do 17,5 proc., owiec – do 36,4 proc., pogłowie koni wynosiło 44,3 proc. stanu przedwojennego, choć zostało ono znacząco powiększone już w 1945 r. przez dary płynące z zagranicy. Zniszczeniu lub uszkodzeniu uległo 466,9 tys. zagród wiejskich. Zniszczeniu uległy: jedna trzecia torów kolejowych, dwie trzecie długości mostów i ponad 80 proc. parowozów oraz wagonów. Poważnym uszkodzeniom uległa infrastruktura portów.

Według szacunków z 2009 r. straty polskie w II wojnie światowej wyniosły ok. 6 mln osób (5 900 000)

TRZY PŁASZCZYZNY ROSZCZEŃ

Nasze roszczenia wobec państwa niemieckiego musimy rozpatrywać w trzech płaszczyznach.

1 Reparacje – w rozumieniu należnych państwu polskiemu odszkodowań za zniszczone mienie. Tutaj można się zastanowić, czy np. Niemcy nie mogłyby części zobowiązań zapłacić w naturze, przekazując będący przedmiotem naszych zainteresowań sprzęt wojskowy i uzbrojenie, co będzie dla nich mniej dolegliwe, bo rozkręca u nich koniunkturę gospodarczą. Można też zaproponować, by mieli oni także inne profity. Duża część reparacji powinna pójść na niemieckie inwestycje na ścianie wschodniej i w inne podupadłe ekonomicznie regiony. Mogliby wówczas partycypować w zyskach tam wypracowywanych. Polska ze względów politycznych powinna częścią reparacji zainicjować powołanie dwóch funduszy. Pierwszy – oczywiście ze znaczącym udziałem UE i USA – byłby rodzajem planu Marshalla dla Afryki i Bliskiego Wschodu, powstrzymującym falę uchodźców, terroryzm, a zarazem będącym szansą na spłacenie długu wobec byłych kolonii. Drugi projekt obejmowałby wyłącznie Izrael i Palestynę, może jeszcze Liban, i jego celem byłoby stworzenie podstaw ekonomicznych trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie oraz stworzenie normalnego, bezpiecznego otoczenia dla Izraela. Polska inicjatywa i udział finansowy winny w ten sposób zamykać sprawę roszczeń niektórych środowisk żydowskich wobec Polski. Należy przy tym pamiętać, że my musimy w trakcie negocjacji ustawicznie podnosić konieczność wypłacenia odszkodowań Żydom za ich majątki pozostawione w granicach II RP, nawet jeśli w ramach tajnych porozumień niemiecko-izraelskich to zostało już załatwione. Niemcy mogą, a nawet powinny za Holokaust cały czas płacić.

2 Odszkodowania – tu z kolei chodzi tylko o ludzi. Niemcy muszą Polakom i innym obywatelom byłej II RP, a ściślej mówiąc – ich spadkobiercom, zapłacić porządne pieniądze za śmierć, pobyty w obozach, tortury, niewolniczą pracę, zniszczony dom, zagrabione dzieła sztuki itp. Działająca w Polsce fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie z budżetem 500 mln marek nie spełniła tych zadań, bo płaciła niekiedy kwoty symboliczne, wręcz śmieszne, np. 1 tys. zł dla niektórych przymusowych robotników.

3 Wreszcie muszą być casusy specjalne. Odrębnie należy potraktować niektóre miasta, np. Warszawę oraz Wieluń, i za środki niemieckie odbudować, co się da czy co się przyda, a także zrewitalizować i upamiętnić. Oddzielne środki winny też przypaść spadkobiercom ze spalonych doszczętnie wsi. Potrzebny jest wreszcie osobny fundusz na odkupienie substytutów zniszczonych/zagrabionych dzieł sztuk (lub przekazanie przez RFN ze swoich zbiorów jako rekompensatę) i odbudowę muzeów, obiektów kultury i kultu.

Dopiero wtedy złowieszcze za sprawą Grossa słowo „sąsiedzi" (die Nachbarn) nabierze w polsko-niemieckich relacjach prawidłowego znaczenia i zatrze skutki ponad tysiącletniego niemieckiego parcia na wschód. Nikt też w Polsce nie użyje zwrotu „Gott strafe Deutschland".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, politologiem, ekonomistą, profesorem Instytutu Studiów Politycznych PAN.

eprasa.pl 75e3f2809d

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jak miło wstać skoro świt

Nie tylko dzieci nie lubią szkoły. Rodzice także. Nie ma nic gorszego niż wstawanie przez 10 miesięcy w roku o godz. 6.30 rano, gdy przez większość tego czasu jest na świecie zupełnie ciemno. To okropne doświadczenie. Dołujące, wyniszczające, męczące. Wiem o tym dobrze. Ponieważ często mówi mi o tym moja żona. Tak się jakoś u nas w domu ułożyło, że ona odprowadza do szkoły. Ale co ja mogę zrobić? Tylko dokładniej opatulić się kołdrą, żeby poranny chłód nie wślizgnął mi się do łóżka, a głośne poganianie naszego narybku nie wybiło mnie z najprzyjemniejszej fazy snu.

Moim zadaniem jest odbieranie ze szkoły – żeby nie było, że zupełnie nic nie robię (chociaż się staram). Jednak od czasu do czasu moja zapracowana małżonka musi z samego rana pędzić na jakieś spotkanie albo zdjęcia i wtedy przekazuje mi misję odstawienia młodego na godz. 8 rano. I lubię to.

Po pierwsze, nie muszę wstawać o godz. 6.30. Nie tracę czasu na makijaż, czesanie, głowienie się nad wyborem stroju, no i mój prysznic trwa pięć minut, a nie piętnaście. Dzięki temu jestem pół godziny do przodu i mogę wstawać o siódmej.

Po drugie, nie jeżdżę do szkoły samochodem, więc odpada mi ta cała szopka z szukaniem miejsca do parkowania albo stawaniem pod samym budynkiem, wokół którego krążą drapieżni strażnicy miejscy, szukający łatwych łupów, a zdesperowani rodzice do takich zazwyczaj należą.

A po trzecie – uwielbiam widok dzieci spieszących do szkoły. Poranek wypełniony mamusiami i tatusiami trzymającymi za ręce dzieci najzwyczajniej w świecie mnie wzrusza. I relaksuje, przywraca zmącone na co dzień poczucie harmonii. Niby jest w tym pośpiech, niby ci nieszczęśni rodzice pędzą dalej, żeby stawić czoła rzeczywistości (i na koniec dnia z czystym sumieniem otworzyć butelkę wina). Dla mnie jednak jest to widok równie kojący jak zachodzące za oceanem słońce. Te maluchy z wielkimi tornistrami na plecach…

Czasem staję sobie pod szkołą i jeszcze przez chwilę obserwuję ostatnie fale spóźnialskich wpadających do szatni równo z dzwonkiem. Nawet pałętanie się po Rossmannie nie napawa mnie takim spokojem jak ten widok. Lubię też szybkie spotkania ze znajomymi rodzicami pod szkołą. Kilka zdań skrzyżowanych w pośpiechu. I bardzo przyjemne poczucie, że łączy nas coś znacznie ważniejszego niż pierdoły z czołówek portali internetowych.

Ostatnio podczas takiej rozmowy bąknąłem coś o rozczulających scenach, jakie widzę pod szkołą, o drepczących maluchach. Mama, z którą rozmawiałem, przyznała mi rację: „Tak. To cudowny moment, kiedy się ich w końcu pozbywasz”.

No, niestety. Jak się przez 10 miesięcy w roku wstaje w ciemnościach, to trudno o szukanie poezji w prozie życia. Dlatego miło, że jutro odprowadza żona. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kino moralnego uwiądu

W środowisku filmowym rozbrzmiewają histeryczne głosy o skandalu, jakim jest odwołanie pani Magdaleny Sroki ze stanowiska szefowej PISF. Moim zdaniem o wiele większym skandalem było jej powołanie. Jednak rozumiem ministra Glińskiego, że zaakceptował nominację (rzutem na taśmę na kilka dni przed wyborami w 2015 r.) zastępczyni prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego na stanowisko dystrybutorki kurka z pieniędzmi dla twórców filmowych.

Narodowa kinematografia powinna dostarczać przede wszystkim pierwszorzędnych dzieł gatunków drugorzędnych

Chyba w najczarniejszych snach nie wyobrażał sobie, że wyciągnięta ręka w geście zgody ze środowiskiem zostanie odczytana jako gest słabości i już od pierwszych dni będzie kąsana ze wzmagającą się agresją przez przeciwników dobrej zmiany. W efekcie resort za pośrednictwem własnej agencji przez dwa lata wspierał front walki ze sobą, konserwował patologiczne układy kilku cwanych geszefciarzy i sponsorował beztalencia, na których filmy nikt przytomny nie kupiłby jednego biletu. Dlaczego trwało to tak długo? Prawdopodobnie dlatego, że szefom resortu bliski był duch koncyliacji, wsparty naiwną wiarą, że współpraca jest w interesie wszystkich, podobnie jak dobro polskiej kultury.

Niestety, owo otwarcie spotkało się jedynie z agresją i drwiną, której przejawy widać było na rozmaitych galach, a których ukoronowaniem okazał się list pani Sroki. A co będzie dalej? Prawdopodobnie protesty przygasną, a środowisko przegrupuje siły. Będzie lepiej, ale tylko trochę, bo obawiam się, że pojawią się nowi cwaniacy, gotowi zbijać forsę na bogoojczyźnianych gniotach, lub artystyczni hochsztaplerzy mydlący oczy rzekomym artyzmem. Tymczasem, moim skromnym zdaniem, istotnym zadaniem państwowego mecenatu nie jest wspieranie filmów wyłącznie „ważnych” czy wysmakowanych artystycznie, bez oglądania się na widza.

Narodowa kinematografia powinna dostarczać przede wszystkim pierwszorzędnych dzieł gatunków drugorzędnych, obrazów adresowanych do szerokiego widza, atrakcyjnych, acz na poziomie, ściągających tłumy, zarazem jednak umiejętnie służących wartościom narodowym i ideowym. Tak jak to robi od lat kinematografia amerykańska i (proszę się nie krzywić) rosyjska. Pragnąc bowiem przerobić zjadaczy chleba w aniołów, warto uczyć się nawet od diabła. ©℗

eprasa.pl 75e3f2809d

Z prof. Markiem Kornatem
z Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Marcin Makowski

Rachunki krzywd bez sentymentów

MARCIN MAKOWSKI: Licząc straty ludzkie, pośród wszystkich państw biorących udział w II wojnie światowej Polska ucierpiała najbardziej. Ponad 17 proc. naszych obywateli zostało zamordowanych. Jednocześnie nigdy nie doczekaliśmy się adekwatnego zadośćuczynienia za niemiecką agresję. Jest pan historykiem dyplomacji tego okresu. Czy dyskusja o reparacjach 78 lat po wrześniu 1939 r. ma w ogóle sens?

PROF. MAREK KORNAT: Taka dyskusja jest jak najbardziej zasadna i nikt nie może nam jej zabronić we własnym wolnym państwie. Czym innym jest jednak podjęcie formalnych działań przez rząd w stosunku do Niemiec czy Rosji, a czym innym debata wśród Polaków. Te pierwsze muszą być poprzedzone kompleksowymi analizami i rozważnym namysłem. Jedno jest bezsporne. Nasza dyskusja o niemieckich zbrodniach uderza w narrację, jaka dominuje w Niemczech na temat II wojny światowej. Według niej wojnę wywołał Hitler. W roku 1939 prowadził ją Wehrmacht mniej więcej zgodnie z regułami prowadzenia wojny. Oczywiście „naziści" spowodowali Holokaust, ale wojna zakończyła się Poczdamem i „wypędzeniem" (Vertreibung) Niemców. I tak oto Holokaust oraz zniszczenie Rzeszy Niemieckiej w jej przedwojennych granicach to „esencja" II wojny światowej.

Tego namysłu zabrakło?

Tak bym tego nie określił. Polska po zmianie władzy w 2015 r. jest przedmiotem bezceremonialnego ataku – wprawdzie nie ze strony rządu, ale np. prasy niemieckiej, która codziennie poucza nas o rzekomych pogwałceniach konstytucji i porządku prawnego. Dlatego argument, że kwestia reparacji trafiła do debaty bez refleksji i psuje relacje polsko-niemieckie, do mnie nie trafia. Te relacje cechuje przede wszystkim niemieckie pragnienie, abyśmy byli „młodszym partnerem". Zresztą Grecja, która ucierpiała nieporównywalnie mniej, zdobyła się jednak na postawienie własnych żądań reparacyjnych, stając w obliczu wielkiej presji Berlina w związku z własnymi długami. Pamiętajmy również, że to nie Polska, ale tzw. Powiernictwo Pruskie w 2004 r. postawiło żądania odszkodowań indywidualnych za nieruchomości pozostawione na tzw. Ziemiach Odzyskanych, co następnie przyniosło porozumienie

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. NAC

międzyrządowe o niewspieraniu przez rząd niemiecki takich roszczeń osób prywatnych na drodze sądowej. Niezależnie od wszystkiego problem odszkodowań za wojnę wpisuje się w szerszy kontekst polsko-niemieckiej debaty o braku wyrównania rachunku krzywd.

„Nie jest prawdą, że państwo polskie zrzekło się reparacji należnych nam ze strony Niemiec. To sowiecka kolonia, zwana PRL, zrzekła się tej części reparacji, które związane były z częścią państwa też marionetkowego, czyli niemieckiego NRD" – powiedział w jednym z wywiadów minister Antoni Macierewicz. Czy od strony dyplomatyczno-prawnej ma rację?

Z całą odpowiedzialnością podpisuję się pod stwierdzeniem ministra Macierewicza o kolonialnym charakterze PRL, zwłaszcza w tamtej dobie. Jeśli jednak na to zagadnienie spojrzy prawnik, to sprawa nie przedstawia się już tak jasno. Mamy niestety uchwałę Rady Ministrów i oświadczenie rządu PRL z sierpnia 1953 r., gdzie mówi się jednak o Niemczech. Nie jestem ekspertem od prawa międzynarodowego, dlatego też to, co powiem, wynika tylko z mojego namysłu historycznego i faktu obcowania na co dzień z dokumentami traktatowymi oraz umowami międzypaństwowymi. Chociaż wspomniany akt nie stanowił umowy, jest on uznawany za oświadczenie woli złożone w imieniu narodu polskiego, mimo że Bolesław Bierut nie był nawet obywatelem polskim, gdyż obywatelstwa tego zrzekł się na rzecz sowieckiego jesienią 1939 r., i o ile wiem, sprawa przywrócenia go nie została uregulowana w żaden znany sposób.

Tylko jak je traktować, skoro dr Kostrzewa-Zorbas udowodnił, że nie ma żadnego notyfikowanego i złożonego w ONZ dokumentu, który potwierdzałby zrzeczenie się przez PRL owych reparacji?

To prawda, ale art. 102 traktatu Organizacji Narodów Zjednoczonych mówi o konieczności notyfikowania i rejestracji traktatów. Tymczasem tu nie mamy do czynienia z umową między państwami, tylko z jednostronnym oświadczeniem woli. Myślę, że właśnie w taki sposób za swoimi racjami mogłaby argumentować strona niemiecka. O tym, że stworzone na ziemiach polskich państwo, które w roku 1952 przyjęło nazwę Polska Rzeczpospolita Ludowa, było tworem wasalnym, wie niemal każdy. Korzystało jednak z podmiotowości w rozumieniu prawa międzynarodowego. Uznanie, że zawierane przez nie umowy lub składane oświadczenia woli wobec innych państw są nieważne lub nawet niebyłe, otwiera wielki problem ważności traktatów, których stroną było to państwo przez długi czas. W prasie niemieckiej pojawiły się już zresztą sugestie, że postawienie przez Polskę kwestii odszkodowań prowadzi do wznowienia sprawy granic. Jest jeszcze jedna sprawa, o której musimy pamiętać. Chociaż oświadczenie rządu Bieruta było złożone in favorem tertii, to miało swoje „drugie dno". Chodziło tu o uwolnienie się od haraczu darmowych dostaw węgla do ZSRS, ściśle związanych z reparacjami. To też się powiodło. Należy wobec tego argumentować – w moim przekonaniu – że oświadczenie rządu PRL z 1953 r. zostało ewidentnie wymuszone nie tylko presją Sowietów, lecz także, a może przede wszystkim – „haraczem węglowym". Przyzwolenie wymuszone jest wątpliwe, a może i nieważne. Niech tu się jednak wypowiedzą prawnicy.

Mówi pan o umowie zawartej w Moskwie 16 sierpnia 1945 r.?

Tak jest, to był wymuszony przez Sowietów aneks do ustaleń Wielkiej Trójki, która w Jałcie zdecydowała, że Polska będzie miała prawo do 15 proc. odszkodowań, przekazywanych przez Niemcy na rzecz Związku Sowieckiego. W imieniu tzw. Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej Osóbka-Morawski podpisał w Moskwie z Mołotowem układ, w którym rząd sowiecki zrzekł się roszczeń do mienia poniemieckiego na ziemiach zachodnich, przyłączonych umową poczdamską do naszego kraju. Oczywiście wcześniej zostały one w wielkiej mierze ograbione. W zamian za to ustępstwo Polska miała świadczyć dostawy węgla z Dolnego Śląska po cenie 10 proc. ceny światowej za tonę, o czym dobrze wiadomo. Określono nawet konkretne „porcje" – w pierwszym roku 8 mln ton, potem po 12–13 itd. Szacuje się, że Polska na tym procederze straciła ponad 800 mln ówczesnych dolarów, przy czym owe 15 proc. reparacji od globalnej sumy. Od Sowietów, jak pisał prof. Bogdan Musiał, otrzymaliśmy niewiele więcej jak urządzenia przemysłowe (zdemontowane fabryki niemieckie) na wartość ponad 200 mln dol. Oto całe zadośćuczynienie.

Czyli Polska nie tylko nie uzyskała reparacji wojennych, lecz także jeszcze na całym procederze straciła?

Tak należałoby to powiedzieć, chociaż dokładne wyliczenie jest dość trudne. Należy pamiętać, że Gomułka uzyskał od Sowietów rekompensatę za darmowe dostawy węgla na drodze porozumienia z Chruszczowem jesienią 1956 r.

Zostawmy na boku Bieruta. Niektórzy historycy, argumentując za zrzeczeniem się reparacji, przywołują inne dokumenty. Mowa o układzie o normalizacji stosunków PRL-RFN z 1970 r. oraz traktacie „2+4" z 1990 r., regulującym kwestie zjednoczenia Niemiec oraz ich relacji z sąsiadami.

Tyle że oba te akty prawne pomijają milczeniem zagadnienie reparacji. Strona niemiecka uznała, że skoro rząd polski nie upominał się o nie, a stosunki wzajemne uległy normalizacji, to siłą rzeczy zrzekliśmy się roszczeń. Tymczasem jeśli czegoś w umowie czy traktacie nie ma, to nie oznacza to oświadczenia woli

eprasa.pl 75e3f2809d

o zrzeczeniu się czegoś. Jest to co najwyżej milczące przyzwolenie na zdjęcie danej sprawy z porządku dnia. Niemcy argumentują jednak, że w tzw. układzie warszawskim z 7 grudnia 1970 r. Polska (czyli PRL) świadomie odstąpiła od żądań odszkodowawczych w myśl wspomnianej deklaracji rządu Bieruta. Jest to prawdopodobne, ponieważ Gomułka i Cyrankiewicz mogli dojść do wniosku, że warto poświęcić niemożliwe do wyegzekwowania pieniądze w zamian za uznanie przez Republikę Federalną Niemiec granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Dodajmy jeszcze, że traktat „2+4" z 1990 r. może zostać wykorzystany przeciw polskiemu postulatowi wznowienia sprawy odszkodowań, gdyż stanowi on, że jest aktem zamknięcia wszelkich spraw związanych z II wojną światową.

To może w takim razie jako rodzaj reparacji powinniśmy uznać wypłacenie prawie miliarda euro w ramach traktatu o przyjaźni i dobrym sąsiedztwie z 1991 r. na rzecz ofiar niemieckiego totalitaryzmu?

Owszem, w latach 90. takie pieniądze były przekazywane obywatelom polskim, ale w ramach świadczeń personalnych, a nie Polsce jako reparacje wojenne. Tych dwóch spraw nie można mieszać. Poza tym świadczenia były wręcz śmiesznie niskie. Niektórzy byli robotnicy przymusowi w Niemczech otrzymywali po latach niewolniczej pracy – na dzisiejsze pieniądze – gdzieś ok. 900 zł odszkodowania. Od połowy lat 50. ustawodawstwo RFN kierowało się kryterium narodowościowym (co jest zasadniczo obce prawu cywilnemu narodów Zachodu) w przyznawaniu zadośćuczynienia finansowego ofiarom wojny. Uprzywilejowano obywateli własnych (Niemców) oraz Żydów.

Berlin argumentuje jednak, że nawet jeśli reparacji w gotówce nie było, to sam fakt uzyskania ziem zachodnich stanowi częściową rekompensatę za II wojnę światową.

Z polskiego punktu widzenia sprawa jest co najmniej wątpliwa, ponieważ tzw. Ziemie Odzyskane są zadośćuczynieniem za utracone ziemie wschodnie przedwojennej Polski, które na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow zagarnęli Sowieci, co mutatis mutandis potwierdzono w Jałcie. Wyobrażam sobie jednak, że przeciętny Niemiec nie jest w stanie się uwolnić od myślenia, że utrata całego przedwojennego niemieckiego wschodu – od Królewca do Zielonej Góry – stanowi stratę dla jego kraju, na której Polska skorzystała. Historyk na pewno musi umieć ocenić to wydarzenie z obu perspektyw. Niezależnie od wszystkiego spośród państw ofiar paktu Hitler-Stalin i Jałty Polska była jedynym krajem, który wszedł w posiadanie nowych i znacznych terytoriów, a nie tylko je tracił. Rumunia traciła Besarabię. Czechosłowacja Ruś Zakarpacką. Węgry wróciły do granic trianońskich. Finowie musieli zaakceptować te ustępstwa terytorialne, które wprowadził kończący wojnę zimową pokój moskiewski z marca 1940 r. Los wcielonych do „ojczyzny proletariatu" państw bałtyckich był najgorszy.

Tyle tylko, że w sejmowej ekspertyzie z 2004 r. mec. Hambura zauważa, iż ziem przyłączonych do Polski nie można traktować w ramach reparacji, ponieważ jest to sukcesja terytorialna, która w prawie międzynarodowym nie stanowi odszkodowania.

Zgodnie z literą prawa jest tak, jak mówi Hambura. Nie mam w tej sprawie żadnej wątpliwości, natomiast jako historyk mówię, jak ta sprawa przedstawia się w optyce poszczególnych narodów, ich własnych narracji o przeszłości oraz bilansu zysków i strat z tytułu II wojny światowej w zbiorowej pamięci.

> **Traktat „2+4" z 1990 r. może zostać wykorzystany przeciw polskiemu postulatowi wznowienia sprawy odszkodowań**

A może zamiast szukania kruczków prawnych do kwestii reparacji możemy podejść od strony szukania analogicznych precedensów w przeszłości? Niemcy płaciły przecież odszkodowania Francji i Anglii za I wojnę światową na mocy m.in. traktatu wersalskiego. Dlaczego w tamtych przypadkach było to możliwe?

To na pewno było doświadczenie godne uwagi jako lekcja historii. Jednak sprawa odszkodowań po I wojnie światowej wygląda klarowniej od strony prawnej. Zacznijmy od początku. „Rzesza Niemiecka przyjmuje na siebie winę za wywołanie wojny światowej" – tak głosił jeden z artykułów traktatu wersalskiego. Czy to prawda, czy nie, to kwestia na osobną dyskusję, ale traktat pokojowy był jasny i obligował do spłaty reparacji. Wysokość odszkodowań ustalono później na 132 mld marek w złocie. Ponieważ Niemcy w pewnym momencie przestały płacić, Francuzi zajęli zagłębie Ruhry i wydobywali węgiel na poczet odszkodowań. Później nastąpiła mediacja brytyjska i przyjęcie planu finansisty Charlesa Dawesa podczas konferencji londyńskiej w 1924 r. Tam na pięć lat podpisano umowę ad experimentum, mówiącą o wypłacaniu odszkodowań przez Niemcy. W roku 1929 doszedł do skutku plan Hiltona Younga podczas konferencji haskiej, obniżając tę globalną sumę i rozkładając jej spłatę na ponad 50 lat. Niebawem jednak nadszedł wielki kryzys, a wraz z nim w roku 1931 nastąpiła mediacja prezydenta Stanów Zjednoczonych Edgara J. Hoovera w sprawie zaniechania egzekucji długów z tytułu wojny i odszkodowań, aby nie pogłębiać kryzysu gospodarki światowej. Po moratorium Hoovera latem 1932 r. zebrała się konferencja w Lozannie, która uchwaliła jego wykonanie. Tym samym Niemcy przestały płacić odszkodowania.

Jednak w 1953 r. Republika Federalna Niemiec wraca do społeczności międzynarodowej jako państwo suwerenne i sprawa wraca na wokandę.

To prawda. Pomimo upływu wielu lat od wielkiej wojny Anglia i Francja upomniały się o zaległe sumy, nie kierując się logiką pojednania z nowymi Niemcami za wszelką cenę. Rząd Adenauera przystał na te warunki, ale prosił o zawieszenie płatności odsetek do czasu ponownego zjednoczenia Niemiec. Kapitał był regularnie spłacany do roku 1983, chociaż od wybuchu I wojny światowej upłynęło prawie 70 lat. Co ciekawe, już po zjednoczeniu Niemiec w 1990 r. nikt w Paryżu ani Berlinie nie kierował się sentymentami. Obietnica Adenauera była honorowana, chociaż Niemcy prosiły o zwłokę, tłumacząc ją dużymi wydatkami związanymi z procesem zjednoczenia kraju, ale w 1996 r. kolejny raz wróciły do spłaty – tym razem odsetek. Ostatnia rata została przelana w roku 2010.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. Marek Kornat – jest historykiem i sowietologiem, znawcą historii dyplomacji. Kieruje Zakładem Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

eprasa.pl 75e3f2809d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wielka wojna (1914–1923)

Te słowa: „Po zakończeniu zmagań gigantów rozpoczęły się zmagania karłów" – zdaje się, że wypowiedział je Winston Churchill – doskonale oddają sytuację, jaka wytworzyła się po I wojnie światowej. Wielkie XIX-wieczne mocarstwa zawarły pokój lub uległy rozpadowi, a na gruzach starej Europy wybuchły gwałtowne lokalne konflikty.

Polacy bili się z bolszewikami, Ukraińcami, Czechami, Litwinami i Niemcami. W Rosji i Finlandii doszło do krwawych wojen domowych. Gwałtowny konflikt przetoczył się również przez teren państw bałtyckich. Starły się tam wojska łotewskie, estońskie, bolszewickie, niemieckie (jednostki Rüdigera von der Goltza) oraz rosyjskie oddziały białogwardyjskie.

„Ciekawie" było również na okrojonych przez zwycięzców Węgrzech, gdzie pod wodzą Béli Kuna wybuchła rewolucja komunistyczna. Rewolucję tę ostatecznie stłumiła interweniująca na terenie sąsiada armia rumuńska. Do wielu wojen doszło na Bałkanach, obficie krwią spłynął Kaukaz. Nie próżnowali Turcy.

O tych fascynujących sprawach traktuje książka prof. Roberta Gerwartha, znakomitego historyka znanego ze świetnej biografii Reinharda Heydricha. Według niemieckiego badacza „Pokonani" to opowieść o „burzliwym przejściu Europy z wojny światowej do chaotycznego pokoju". A owa wojna światowa wcale nie skończyła się w roku 1918 wraz z kapitulacją państw centralnych, tylko w roku 1923.

Jest to bez wątpienia pogląd słuszny, choć dla wielu zachodnich czytelników – przekonanych, że świat kończy się na wschodniej granicy Niemiec – będzie sporym zaskoczeniem. To, co działo się na wschodzie Europy po roku 1918, było tymczasem nie tylko niezwykle ciekawe, lecz także miało kolosalne konsekwencje dla całego świata.

W połowie lat 20. udało się osiągnąć wspomniany „chaotyczny pokój", ale był on niezwykle kruchy. Granice nowej Europy były wytyczone fatalnie, a liczba konfliktów i ścierających się ze sobą interesów – olbrzymia. W efekcie w latach 30. Europejczycy znowu zaczęli do siebie strzelać, co szybko przerodziło się w jeszcze bardziej krwawą wielką wojnę.

„Nie było zbiegiem okoliczności – pisze Gerwarth – że do większych prób rewizji terytorialnych w Europie w następnych dziesięcioleciach doszło na terenie dawnych wielonarodowych imperiów, których rozpad wytworzył nowe „pogranicza przemocy".

Na takim pograniczu, niestety, znaleźliśmy się i my. ©℗

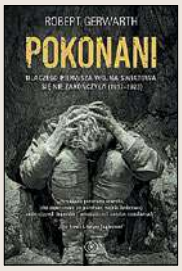

★★★★★★

ROBERT GERWARTH
„POKONANI. DLACZEGO PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA SIĘ NIE ZAKOŃCZYŁA (1917–1923)"
REBIS

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ekshumować Śmigłego-Rydza!

Nie należę do entuzjastów zakłócania spokoju zmarłym, ale chętnie obejrzałbym wyniki autopsji szczątków marszałka Śmigłego-Rydza. Do dziś bowiem snute są różne teorie na temat jego śmierci, a przecież koronny dowód znajduje się na Starych Powązkach. Wprawdzie krążą informacje, że zaraz po wojnie dokonano już ekshumacji na polecenie SB, ale w archiwach IPN nie znalazłem ich potwierdzenia.

Twarde fakty są następujące: Śmigły-Rydz zbiegł z internowania i 26 października 1941 r. pojawił się w okupowanej Warszawie. Według oficjalnej wersji zamierzał włączyć się w działalność polskiej konspiracji i poddać się rozkazom Grota-Roweckiego (czyli też Sikorskiego), chcąc w ten sposób odpokutować swoje winy. Był już jednak poważnie chory i zmarł na początku grudnia, a ze względów konspiracyjnych pochowano go pod obcym nazwiskiem.

Czy na Powązkach pochowano anonimowego pacjenta?

Istnieje jednak hipoteza, że marszałek chciał powołać rząd kolaboracyjny. Pamiętajmy, że był to czas największych sukcesów Wehrmachtu podchodzącego pod Moskwę. Okupacja niemiecka nie przybrała jeszcze swoich najgorszych form, należało działać, aby ratować polski naród przed unicestwieniem.

Nie ma pewności, czy Śmigły-Rydz prowadził jakieś rozmowy z Niemcami, być może to jednak on stał za wysłaniem emisariuszy do tworzącej się na Powołżu polskiej armii w ZSRS. Przywieźli oni rozkaz, który wprawił gen. Andersa w osłupienie, nakazywał mu bowiem zaatakowanie Armii Czerwonej zaraz po przybyciu na front, czyli wystąpienie w roli sojusznika III Rzeszy. Jednak na początku grudnia Śmigły-Rydz został ostatecznie wyeliminowany z polityki. Być może rzeczywiście zmarł na serce lub jego zgon rozmyślnie spowodował opiekujący się nim lekarz. Możliwe też, że został aresztowany na polecenie „Grota", po czym popełnił samobójstwo lub nieco później zmarł na gruźlicę. Zwolennicy tej teorii twierdzą, że na Powązkach pochowano anonimowego pacjenta jednego ze szpitali.

Jeżeli można było przeprowadzić ekshumację szczątków Sikorskiego, to dlaczego nie zrobić tego ze „Śmigłym"? Wprawdzie upadłby piękny mit narodowy o winie i odkupieniu, ale historia nie jest zbiorem bajek, tylko nauką opierającą się na faktach. Gdyby bowiem okazało się, że „Śmigły" został zamordowany albo nie spoczywa w swoim oficjalnym grobie, dzieje Polski tamtego okresu należałoby napisać na nowo. ©℗

eprasa.pl 75e3f2809d

Lewicowi aktywiści nazywają pomniki Krzysztofa Kolumba „pomnikami nienawiści" i wzywają do ich usunięcia

FOT. BOB BERG/GETTY IMAGES

Nowa historia Ameryki

Jacek Przybylski

Niepohamowana poprawność polityczna sprawiła, że w USA przybywa zwolenników obalania pomników i lekceważenia hymnu. Byle nie urazić uczuć czarnoskórych oraz Indian

Ki czort kazał Kolumbowi odkrywać tę Amerykie? – pytał Kazimierz Pawlak w kultowej komedii czasów PRL „Kochaj albo rzuć". Kilkadziesiąt lat później coraz więcej mieszkańców Stanów Zjednoczonych manifestuje podobne zdanie. Z roku na rok przypadający w drugi poniedziałek października Dzień Kolumba – oficjalne święto upamiętniające podróż Kolumba z Europy do Nowego Świata, podczas którego przez ponad pół wieku organizowane były huczne parady – budzi coraz większe kontrowersje. I to nie tylko dlatego, że ponad 30 różnych państw, w tym Polska, twierdzi, że to ich obywatele odkryli Amerykę przed Kolumbem.

Wielu Amerykanów o lewicowych poglądach uważa wręcz, że to święto – którego wprowadzenie ogłosił 12 października 1937 r. prezydent Franklin D. Roosevelt – w XXI w. powinno być zniesione. Ze względu na poprawność polityczną część miast – m.in. Minneapolis, Phoenix oraz Seattle – wymazała już więc Dzień Kolumba z listy oficjalnych świąt. Największym miastem wśród tych przeciwnych Kolumbowi jest Los Angeles. W tym roku zdominowane przez demokratów władze tej niemal czteromilionowej metropolii przytłaczającą większością głosów podjęły decyzję o zastąpieniu Dnia Kolumba innym oficjalnym świętem: Dniem Rdzennych Amerykanów. I zrobiły to pomimo ostrego sprzeciwu ze strony Amerykanów włoskiego pochodzenia, dla których Krzysztof Kolumb nadal jest wielkim bohaterem i istotną postacią amerykańskiej historii oraz kultury. Klęskę ponieśli też zwolennicy kompromisowego rozwiązania, którzy postulowali, aby nadal obchodzić Dzień Kolumba, a oprócz tego jako oficjalne święto wprowadzić dzień poświęcony ludom tubylczym.

Zwolennicy pisania amerykańskiej historii na nowo poszli krok dalej. Aby nie ranić uczuć Indian – z których wielu uważa XV-wiecznego włoskiego podróżnika za „maskotkę amerykańskiego kolonializmu", mordercę i handlarza niewolnikami – w Dniu Rdzennych Amerykanów pomnik Krzysztofa Kolumba zasłonili wielką białą szmatą i – zapewne na wypadek jakiejś potencjalnej akcji przeciwników poprawnościowej rewolucji – otoczyli go wysoką metalową siatką. Po zakończeniu święta biała płachta zniknęła, ale włoski podróżnik pozostał za płotem. Niewykluczone zaś, że niedługo zniknie zupełnie. „Tak jak pomniki wychwalające konfederację są obalane na Południu, taki sam los powinien spotkać ten symbol opresji i ludobójstwa" – napisał w oświadczeniu wydanym jeszcze przed głosowaniem w sprawie likwidacji Dnia Kolumba Mitch O'Farrell, członek rady miejskiej Los Angeles, a jednocześnie reprezentant pokonanego w XVII w. przez Irokezów plemienia Wyandotte.

JERZY WASZYNGTON NICZYM GESTAPO

Z żądaniem usunięcia „pomników nienawiści" przedstawiających włoskiego podróżnika do lokalnych władz wystąpili lewicowi aktywiści w wielu stanach USA, zapominając, że pierwszymi krytykami Krzysztofa Kolumba byli przed laty biali suprematyści, którzy nie potrafili pogodzić się z tym, że symbolem powstania Ameryki stał się jakiś podróżnik, niewywodzący się z elity białych pochodzenia anglosaksońskiego. Obecnie z zupełnie innych powodów zagrożone jest nawet istnienie słynnego 23-metrowego pomnika Kolumba na środku nowojorskiego placu Columbus Circle. Na razie burmistrz Bill de Blasio – który sam ma włoskie korzenie – chociaż zapewnił, że wciąż będzie chodził na tradycyjne nowojorskie parady z okazji Dnia Kolumba, wpisał obiekt na listę potencjalnych obiektów będących „symbolem nienawiści". O dalszym losie tego i innych groźnych dla politycznej poprawności oraz zdrowego rozsądku monumentów ma do końca roku przesądzić specjalnie powołana komisja.

Na razie monumentu na Columbus Circle strzegą policjanci, którzy – podobnie jak wielu polityków – najchętniej wpisaliby Kolumba na listę świadków koronnych, wywieźli go w bezpieczne miejsce i zmienili mu tożsamość. W wielu amerykańskich miastach Kolumba nie udało się bowiem ochronić. Jego pomnik w nowojorskim Central Parku został zniszczony przez wandali, którzy domalowali mu czerwoną farbą krew na prawej ręce. W podobny sposób w ostatnich tygodniach zniszczone zostały statuy Kolumba w Bostonie i w Chicago. A te pomniki i tak miały dużo szczęścia – monument przedstawiający podróżnika, stojący w 200-tysięcznym mieście Yonkers w stanie Nowy Jork, został bowiem pozbawiony głowy. Ofiarą wandali padł też wzniesiony już w 1792 r. pomnik Kolumba w Baltimore – pierwsza amerykańska statua przedstawiająca włoskiego podróżnika. Stał się on bowiem ulubieńcem Ameryki 300 lat po swej podróży, gdy młodziutkie państwo, jakim były wówczas Stany Zjednoczone, rozpaczliwe poszukiwało swoich bohaterów narodowych.

Lewicowi łobuzi uszkodzili pomnik za pomocą młota kowalskiego. Cały atak zaś nagrali i udostępnili na YouTube, nazywając Włocha „ludobójczym terrorystą", oskarżając odkrywcę Ameryki o zainicjowanie „wielowiekowej fali terroryzmu, morderstw, ludobójstwa, gwałtów, niewolnictwa, degradacji środowiska naturalnego oraz kapitalistycznej eksploatacji siły roboczej w Amerykach" i ogłaszając, że „przyszłością jest sprawiedliwość rasowa i ekonomiczna".

Kolumb nie podoba się lewicowym i czarnoskórym aktywistom, ponieważ uważają oni, że odkrycie dokonane przez żeglarza było przyczyną nie tylko rzezi Indian, lecz także niewolnictwa. Z tego powodu również czarnoskórzy Amerykanie nie kryją niechęci wobec odkrywcy Ameryki. Zresztą coraz bardziej na cenzurowanym jest nie tylko Kolumb, lecz także nawet Thomas Jefferson. Trzeci prezydent Stanów Zjednoczonych i jeden z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych przez lata był uważany za bohatera. We wrześniu grupa studentów na Uniwersytecie w Wirginii – założonego przez prezydenta Jeffersona – owinęła jego pomnik czarną płachtą i umieściła na nim napisy „rasista" oraz „gwałciciel". Protestujący rozwinęli też transparent „Black Lives Matter" („Życie czarnoskórych się liczy"), nawiązujące do oskarżeń o brutalność oficerów policji wobec czarnoskórych mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Rektor uniwersytetu nakazała jednak odsłonięcie pomnika, potępiła działania protestujących i przypomniała, że choć Jefferson posiadał niewolników, to był też wielkim zwolennikiem działań na rzecz wolności oraz praw człowieka.

Niewolników posiadał również pierwszy prezydent USA. – Czy Jerzy Waszyngton straci swój status? Czy zamierzamy obalać pomniki Jerzego Waszyngtona? – pytał w sierpniu Donald Trump.

– Nadszedł już na to czas – odpowiedział niespodziewanie na pytanie gospodarza Białego Domu czarnoskóry pastor z Chicago James E. Dukes, jednocześnie wzywając burmistrza Rahma Emanuela do obalenia pomnika pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych i zmiany nazwy parku Waszyngtona oraz parku Andrew Jacksona, siódmego przywódcy USA, który toczył walki z Indianami, a jego armia złożona była m.in. z czarnoskórych niewolników. „Posiadacze niewolników nie zasługują na ten honor, aby nasze dzieci bawiły się w parkach nazwanych na ich cześć. W żadnym wypadku społeczność rdzennych Amerykanów nie pozwoli na park gen. Custera z powodu okrucieństw, jakich dopuścił się wobec rdzennych Amerykanów, tak jak społeczność żydowska nie pozwoli na powstanie parku Gestapo" – przekonywał czarnoskóry pastor.

Na razie decyzja o zniszczeniu pomników pierwszego prezydenta byłaby zapewne zbyt kontrowersyjna. Jeśli jednak reinterpretacja amerykańskiej historii nabierze tempa, to w przyszłości amerykańscy bohaterowie, tacy jak Waszyngton czy Jefferson, mogą podzielić los takich postaci jak np. dowódcy konfederacji Robert E. Lee oraz Stonewall Jackson, których pomniki – za zgodą władz lub po prostu w wyniku samosądów uzbrojonych w liny i młoty czarnoskórych aktywistów – znikają z amerykańskich miast.

HYMN NA KOLANIE

A spór o pomniki to tylko jedna ze spraw, które przypominają o etnicznych podziałach w Ameryce. W USA coraz ostrzejsza staje się też nowa „wojna futbolowa". Wybuchła ona we wrześniu zeszłego roku, gdy jeden z graczy futbolu amerykańskiego Colin Kaepernick podczas wykonywania hymnu nie stanął na boisku ramię w ramię z kolegami z drużyny. Słowa o gwiaździstym sztandarze powiewającym nad krajem wolnych, dzielnych ludzi, wyśpiewał, ostentacyjnie siedząc na ławce. „Nie mogę stać i demonstrować dumy z flagi kraju,

eprasa.pl 75e3f2809d

Niektórzy czarnoskórzy zawodnicy NFL w ramach protestu przeciw „nierówności społecznej" i przemocy policji wobec Afroamerykanów klękają podczas hymnu przed meczami na jedno kolano FOT. MICHAEL ZAGARIS/GETTY IMAGES

w którym ludzi dręczy się ze względu na kolor skóry" – ogłosił.

Za nieoddanie należytego hołdu hymnowi oraz fladze został ostro skrytykowany – przeciw „nierówności społecznej" i przemocy policji wobec Afroamerykanów zaczął więc protestować, klękając podczas hymnu na jedno kolano. I chociaż jego kontraktu nie przedłużono na kolejny sezon, w ślady bezrobotnego sportowego rewolucjonisty poszło wielu innych czarnoskórych zawodników futbolu. W dniu inauguracji nowego sezonu przed stadionami futbolowymi w różnych miastach USA odbyły się zaś pikiety sympatyków protestu Kaepernicka.

Pod koniec września klęczących futbolistów publicznie potępił Donald Trump. – Czyż nie cudownie byłoby zobaczyć któregoś z właścicieli NFL, który o tym, kto nie szanuje naszej flagi, mówi: „Natychmiast wyrzućcie tego skurwysyna z boiska! Won! Wylatujesz z roboty! Wylatujesz!" – stwierdził prezydent podczas wiecu w Alabamie. Zgodnie z prawem, choć podczas hymnu powinno się stać, zlekceważenie tego zalecenia nie jest jednak wykroczeniem. Prawo do protestu daje też wszystkim Amerykanom pierwsza poprawka do amerykańskiej konstytucji, gwarantująca wolność słowa. Prezydent zachęcał więc kibiców, którzy nie chcą znieważania flagi, aby widząc protest zawodników, ostentacyjnie opuszczali stadiony. Rady swego szefa posłuchał wiceprezydent Mike Pence, który na początku października wyszedł z meczu zawodowej ligi futbolu amerykańskiego NFL w Indianie.

Lekceważenie hymnu oraz flagi – a więc wartości niezwykle ważnych dla zdecydowanej większości Amerykanów – nie podoba się nie tylko konserwatystom. Zresztą jeszcze zanim Trump przeprowadził się do Białego Domu, gest Kaepernicka skrytykował… Barack Obama, pierwszy czarnoskóry prezydent Stanów Zjednoczonych. W ostatnich tygodniach spór mocno się jednak zaognił, a liga NFL zanotowała spory spadek popularności. Wielu z tych kibiców, którzy nadal przychodzą na trybuny, widząc klęczących sportowców, zaczyna zaś głośno protestować.

Nowy oręż, który może pomóc wygrać tę nietypową futbolową wojnę, znalazł też prezydent Donald Trump. – Dlaczego NFL korzysta z olbrzymich ulg podatkowych, kiedy w tym samym czasie znieważa hymn, flagę i kraj? Należy zmienić prawo – napisał w zeszłym tygodniu na Twitterze, przypominając kwestię ulg, które od lat budzą w USA spore kontrowersje. Przedstawiciele słynnej amerykańskiej ligi koszykówki NBA, aby zapobiec zarażeniu się „kolankowym protestem", już zagrozili, że będą wyciągać konsekwencje wobec tych zawodników, którzy nie okażą należytego szacunku podczas wykonywania hymnu.

Skalę absurdu, do którego doprowadziła niepohamowana poprawność polityczna, dobrze oddaje rysunek, który na początku października ukazał się na łamach „Los Angeles". Przedstawia on parę młodych ludzi. Ona biała, on czarny. Oboje spoglądają na portrety Adolfa Hitlera i Thomasa Jeffersona. „Nie, nie uważam, że są tacy sami. A Ty? – pyta dziewczyna. I nie jest to już pytanie retoryczne. Szkoda, że zwolennicy poprawności politycznej nie zauważyli, że używanie siły, demonstrowanie braku szacunku do dawnych symboli i próby dokonywania jednostronnej reinterpretacji historii zamiast wykorzeniać rasizm, tylko go wzmacniają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

SUPER HISTORIA.pl

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

17 PAŹDZIERNIKA

CZĘŚĆ I Z CYKLU „POWSTAŃCY WARSZAWSCY”

„ANODA”

RAZEM Z INNYMI PRZEBIŁ SIĘ KANAŁAMI DO ŚRÓDMIEŚCIA. ZGINĄŁ PO WOJNIE W TAJEMNICZYCH OKOLICZNOŚCIACH W BUDYNKU MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Merkel przestała być nietykalna

Z prof. Gertrud Höhler, publicystką, autorką książki o Angeli Markel
rozmawia Ewa Stefańska

EWA STEFAŃSKA: Od wydania pani bestsellerowej książki „Matka chrzestna. Jak Angela Merkel przebudowuje Niemcy" minęły cztery lata. Wówczas pisała pani: „Sekret Merkel nie dotyczy jej przeszłości, ale przyszłości. To, co kanclerz próbuje przemilczeć na temat swojej przeszłości, jest daleko mniej istotne niż jej projekt przyszłości Niemiec". Jak interpretuje pani te słowa z dzisiejszej perspektywy?

PROF. GERTRUD HÖHLER: To zdanie pochodzące z 2012 r. jest nadal aktualne, podobnie zresztą jak wiele innych treści zawartych w „Matce chrzestnej". Projekt Angeli Merkel to w istocie „inny kraj". Jej samowolna decyzja z września 2015 r., dotycząca otwarcia granic, doprowadziła do napływu miliona niekontrolowanych migrantów do Niemiec. W większości przypadków do dziś nie znamy ich tożsamości. Na słowa krytyki niemiecka kanclerz odpowiedziała otwartą groźbą i zarazem moralnym szantażem: jeśli nie będziemy postrzegać zniesienia granic jako czynu humanitarnego, „jeśli zaczniemy teraz jeszcze przepraszać, że w trudnej sytuacji pokazujemy przyjazną twarz, to nie jest już mój kraj". Niestety, jej słowa nie doczekały się w Niemczech właściwej interpretacji. Moim zdaniem kanclerz Niemiec swoją wypowiedzią dała wyraźnie do zrozumienia, że zamierza przedefiniować rolę swojego urzędu poza wiedzą obywateli. Tymczasem zgodnie z niemiecką ustawą zasadniczą państwo nie należy do kanclerz Merkel, tylko do obywateli. To, co się dzieje z państwem, gdy obywatele przestają sprawować nad nim nadzór, obserwujemy, od kiedy Merkel przejęła stery rządu w Niemczech.

Angela Merkel spodziewała się lepszego wyniku CDU w wyborach do Bundestagu w 2017 r. Jednakże nie dostrzega błędów swojej dotychczasowej polityki i jest zadowolona z przebiegu kampanii wyborczej, która – jak podkreśla – była dobrze przemyślana. Czy Angela Merkel ma jakiś plan? Jakiś „masterplan"?

Tak, Angela Merkel ma swój „masterplan" i konsekwentnie go realizuje. Niekontrolowany napływ anonimowych migrantów, którzy zapobiegawczo pozbyli się swoich dokumentów, zanim zostali poddani jakiejkolwiek kontroli, nie był „wypadkiem przy pracy" ani błędem dającym się szybko skorygować, tylko działaniem programowym. To, co zwykło się nazywać pojęciem „utraty kontroli", było częścią programu. Merkel realizuje nową strategię służącą rozszerzaniu władzy poprzez ryzykowną kombinację etniczną. Na swój użytek nazywam tę metodę „pasywnym imperializmem", tym bardziej że mamy tu do czynienia z konfrontacją kultur opierających się na całkowicie odmiennej koncepcji człowieczeństwa. Reakcja kanclerz Merkel

eprasa.pl 75e3f2809d

na straty wyborcze poniesione przez niemiecką chadecję we wrześniu 2017 r., sprowadzająca się do stwierdzenia, że „nie mogliśmy działać inaczej", jest kolejnym dowodem na to, iż realizuje ona swoją politykę bez oglądania się na wolę obywateli. Partia protestu, jaką niewątpliwie jest Alternatywa dla Niemiec (AfD), oraz marginalizacja socjaldemokratycznej opozycji poprzez przejęcie klasycznych postulatów SPD przez inne siły polityczne to dwa najważniejsze czynniki, które będą miały wpływ na kształt nowego parlamentu w Niemczech.

Skoro Alternatywa dla Niemiec uzyskała ok. 13 proc., to jaki wynik osiągnęłaby w Niemczech partia konserwatywna z prawdziwego zdarzenia? I dlaczego takiej brakuje? Czy jest możliwe powstanie w Niemczech prawdziwie konserwatywnej partii bez sympatii prorosyjskich i apologetyki Wehrmachtu?

To ważne pytanie. Merkel znacząco przesunęła CDU na lewą stronę sceny politycznej. Ponadto prowadzona przez nią polityka migracyjna znacząco osłabiła bawarską siostrzaną partię CSU, ponieważ jej przewodniczący Horst Seehofer zmuszony sytuacją musiał kluczyć, aby utrzymać wyborców CSU i jednocześnie zachować koalicję z CDU w wyborach do Bundestagu. Obecnie konserwatywne skrzydło CSU naciska na CDU, domagając się wprowadzenia limitu określającego liczbę uchodźców, których Niemcy mogliby rocznie przyjmować. Na tym tle dochodzi do poważnych sporów między CDU i CSU. Jednak zgodnie z niemieckim modelem współdziałania partie te dojdą w końcu do porozumienia. Konserwatywne poglądy leżą u podłoża wielu środowisk, w tym m.in. samej AfD, wielu grup roboczych CDU skupiających polityków krytycznych wobec kursu prowadzonego przez Angelę Merkel. Ponadto są obecne w kręgach przedsiębiorców, którzy w tych wyborach oddali swój głos na wolnych demokratów z FDP, a nawet niektórzy działacze partii Zielonych reprezentują wartości konserwatywne. Dopóki jednak w Niemczech będzie działał „System M.", dopóty te konserwatywne siły będą pozostawały w rozbiciu.

Skąd bierze się obraz kanclerz Merkel jako polityka „spokojnego w niespokojnych czasach"? Czy jej samowolne decyzje, choćby rezygnacja z energii atomowej i zaproszenie masowej liczby migrantów, nie są zaprzeczeniem tej tezy?

Spokój Merkel jest iluzją powstałą w głowach jej obserwatorów i zwolenników wskutek umiejętnej autokreacji. Niemiecka kanclerz działa według ściśle określonego algorytmu. Pozwala na rozwój danej sytuacji do czasu, gdy staje się jasne, dokąd zmierza ten proces. Wówczas staje do gry. Merkel nie jest ani wizjonerką, ani osobą o szczególnej empatii. Jej serce bije w rytm władzy, a sami obywatele odgrywają w tym spektaklu rolę drugoplanową. Decyzje wyborcze są w porządku, o ile zapewniają kontynuację władzy, bez względu na koalicje czy rozkład głosów. W „spokoju" niemieckiej kanclerz zawiera się jej brak zainteresowania ludzkimi losami. Jej reakcje są wyrachowane i beznamiętne. Tym samym prezentuje styl autokratyczny, który w sposób zakamuflowany redukuje wszelką krytykę poprzez dyskretnie wyrafinowaną kontrolę mediów. Sama fasada, czyli pozory, zostaje zachowana, co oznacza, że Niemcy pod rządami Angeli Merkel zajmują wiodącą pozycję na nieobsadzonej jeszcze liście jako humanitarne supermocarstwo. Rozłam między parlamentem a społeczeństwem jest następstwem stylu rządzenia, który wprowadza do świadomości obywateli poczucie trwałej niepewności prawnej będącej efektem łamania prawa, tak jak chociażby w przypadku upaństwowienia sektora energetycznego i otwarcia europejskich granic dla niekontrolowanej fali migrantów.

To pani wprowadziła do języka niemieckiego wiele pojęć dotyczących tzw. systemu Merkel, którymi obecnie powszechnie posługują się jej przeciwnicy polityczni. Są to m.in. „abstynencja od wartości", „bezalternatywność decyzji", „autorytarne milczenie". Czy Angela Merkel przetrwa kolejne cztery lata rządów? I w jakiej konstelacji?

To, czy będą to kolejne lata na fotelu kanclerza Niemiec, zależy w dużym stopniu także od międzynarodowej sytuacji politycznej. Nowe obszary działań wojennych będą w jeszcze większym stopniu potęgować już dziś silnie obecną i odczuwaną wśród Niemców niepewność. Kolejnym czynnikiem jest pojawienie się na scenie politycznej – i, co więcej, także w Bundestagu – nowej partii politycznej, czyli Alternatywy dla Niemiec. Obecny parlament, z osłabioną w wyniku polityki Merkel chadecją, stoi przed niezwykle poważnym wyzwaniem. Pozostałe partie także nie są zgodne co do współpracy z AfD. Nie można wykluczyć także wotum zaufania w sytuacji, gdy parlament nie będzie w stanie wyłonić i scalić sił demokratycznych zdolnych do rządzenia. Ponadto coraz częściej realizują się na naszych oczach zupełnie niespodziewane dotąd scenariusze – często dosłownie z dnia na dzień. Angela Merkel przestała już być nietykalna. Na razie próbuje to ignorować, ale zajmowany przez nią – dzięki międzynarodowej klace i wewnątrzniemieckiej polityce wasalnej – piedestał ma już silne rysy.

Thomas Schmidt, były aktywista rewolty '68, a następnie wieloletni wydawca „Die Welt", wypowiedział w programie telewizji publicznej „Presseclub" we wrześniu 2015 r. znamienne słowa: „Większość społeczeństwa polskiego opowiada się za tym, aby Polska była Polską. Najwyraźniej fakt, że to imigranci będą współkształtować Europę i zmieniać jej strukturę etniczną, nie dotarł jeszcze do Polaków". Jak pani skomentuje te słowa?

Thomas Schmidt, stwierdziwszy istnienie danego problemu, bez namysłu formułuje rozkaz, biorąc na cel inne kraje Europy. Najwyraźniej w jego mniemaniu sposób zagospodarowania migrantów jest już przesądzony: przyszłość Europy leży w „migracji", a „struktura etniczna" społeczeństw będzie ewaluować. Kto kwestionuje ów rozkaz, ten najwyraźniej nie dorósł jeszcze do nowej tożsamości obywatela Unii Europejskiej. Jak mniemam, według Schmidta – jako Niemca obdarzonego charyzmą przywódczą – Polska nie odnalazła się jeszcze w nowej rzeczywistości. Tego rodzaju hybrydowy wyrok na partnera, jakim jest Polska, nie dopuszcza widocznie żadnej myśli o polskich doświadczeniach historycznych. Także ze strony innych państw Unii Europejskiej rosną zastrzeżenia w stosunku do nowych form „dominacji zagranicy". Doświadczenia, które są udziałem Polski, związane z wieloletnią okupacją sowiecką, nie mogą zostać wymazane przez niemieckich fantastów poprzez prawodawstwo UE. Jeśli forsowane przez Niemcy rozkazy unijne mają być w ten sposób narzucane i realizowane, to mogą jedynie zaszkodzić jakże wrażliwej przyjaźni z Polską, której doświadczyłam w całej okazałości podczas mojej wizyty w Polsce w 2013 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr Gertrud Höhler – wieloletnia doradczyni Helmuta Kohla, ekspert w sprawach gospodarczych i politycznych, literaturoznawca, publicystka.

eprasa.pl 75e3f2809d

Witold Repetowicz

Witaj, terrorystko!

Europejskie kraje chcą reintegrować obywateli, którzy zostali mordercami w szeregach islamistów. I tylko niektóre po cichu ich likwidują

Linda Wenzel ma 16 lat i pochodzi z Pulsnitz, niewielkiego miasteczka w Saksonii, niespełna 70 km od polskiej granicy. Dzisiaj siedzi w więzieniu w Bagdadzie. Młoda Niemka trafiła tam po tym, jak w lipcu tego roku została pojmana przez irackich żołnierzy w trakcie operacji wyzwalania Mosulu spod okupacji Państwa Islamskiego. Linda w 2016 r. postanowiła bowiem przejść na islam i uciec z domu – do Mosulu, do poznanego w Internecie czeczeńskiego terrorysty z PI. Wyszła za niego i urodziła mu dziecko. On zginął w walkach z Irakijczykami. Ona trafiła do niewoli.

KONWERTYCI NAJGORSI?

Według ustaleń władz irackich nieletnia konwertytka miała również wstąpić do „policji moralnej", która sprawdzała, czy miejscowe Irakijki są odpowiednio ubrane i zachowują się zgodnie z szariatem.

Kilka tygodni przed schwytaniem Lindy rozmawiałem z mieszkańcami Mosulu w obozie dla uchodźców na wyzwolonych już przedmieściach tego miasta. Z ich relacji wynikało, że najgorszymi bandytami w mieście byli Europejczycy, którzy terroryzowali miejscowych, twierdząc, iż nie znają oni prawdziwego islamu. Podobne relacje słyszałem od irackich żołnierzy. Mówili mi oni, że największymi fanatykami w szeregach Państwa Islamskiego są tzw. foreign fighters, czyli osoby, które przybyły z zagranicy.

Irakijczycy twierdzą, że gdy Linda owdowiała, została snajperką. Terrorystki-wdowy angażowane były do walki i samobójczych ataków od samego początku istnienia irackiej Al-Kaidy pod przywództwem Abu Musaba al-Zarkawiego, która później przekształciła się w Państwo Islamskie. Ponurą sławę zyskały sobie kobiece dżihadystki w innych strukturach Al-Kaidy, np. Samantha Lewthwaite alias „Biała Wdowa", odpowiedzialna za zamachy somalijskiej organizacji Al-Szabaab w Kenii. Jej mąż, Germaine Maurice Lindsay alias Abdullah Szahid Dżamal, konwertyta, imigrant z Jamajki, wysadził się w londyńskim metrze w lipcu 2005 r. „Biała Wdowa" ma na swoim koncie 400 ofiar.

Inną wdową dżihadystką jest Sally Jones, była piosenkarka punk rocka, która mając 47 lat i dwoje dzieci, zakochała się w Dżunajdzie Husajnie, pakistańskim imigrancie mieszkającym w Birmingham i będącym w wieku jej starszego syna. Sally przeszła na islam, wyjechała do Syrii ze swym młodszym, dziewięcioletnim synem i wyszła za mąż za Dżunajda. Jej nowy małżonek szybko zrobił karierę w hierarchii Państwa Islamskiego i został głównym hakerem tej organizacji. Trafił też na czołówkę amerykańskiej listy terrorystów do likwidacji i w rezultacie Umm Husajn al-Britani, jak się teraz już nazywała Sally, szybko owdowiała. Jeszcze za życia Dżunajda zajmowała się rekrutacją Europejek. Później stanęła na czele specjalnego kobiecego batalionu, złożonego z Europejek, które przechodziły trening w zakresie używania broni i przeprowadzania zamachów samobójczych na cele w Europie. Jej syn razem z 15 innymi brytyjskimi dziećmi trafił do obozu treningowego. We wrześniu 2016 r., w wieku 11 lat, uczestniczył wraz z kilkoma innymi chłopcami w jego wieku w egzekucji jeńców.

W OBRONIE TERRORYSTEK

Po schwytaniu Linda stwierdziła, że ma już dość wojny i broni, że chce wrócić do domu, do rodziny. Władze irackie uważają jednak, że powinna odpowiedzieć przed sądem za swoje zbrodnie (grozi jej nawet szubienica). Głos w tej sprawie zabrał sam premier Iraku Hajdar al-Abadi, który przypomniał, że nieletni w wielu krajach podlegają odpowiedzialności karnej, zwłaszcza jeśli ich zbrodnia polega na mordowaniu ludzi.

Linda znalazła jednak licznych obrońców, z państwem niemieckim na czele. Niemiecka dyplomacja już rozpoczęła starania, by Irakijczycy pozwolili

eprasa.pl 75e3f2809d

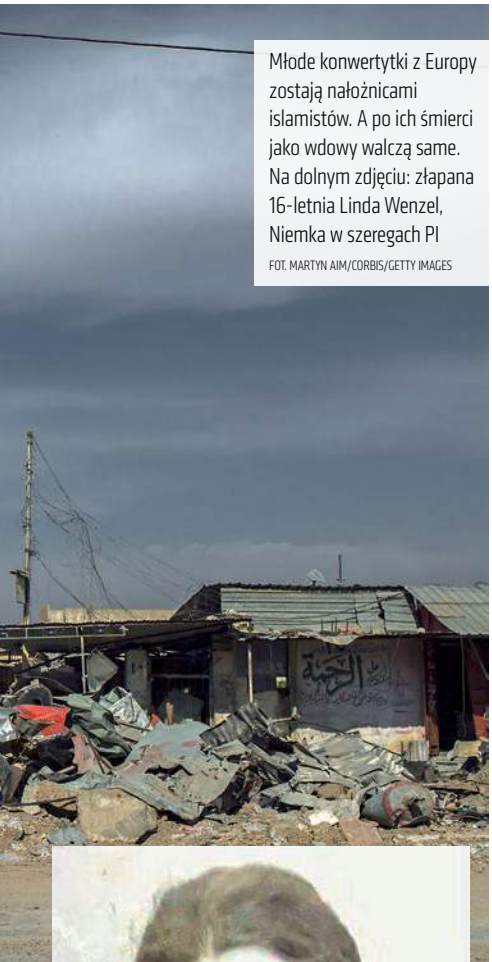

Młode konwertytki z Europy zostają nałożnicami islamistów. A po ich śmierci jako wdowy walczą same. Na dolnym zdjęciu: złapana 16-letnia Linda Wenzel, Niemka w szeregach PI

FOT. MARTYN AIM/CORBIS/GETTY IMAGES

jej wrócić do kraju wraz z dzieckiem. W Niemczech raczej nie czeka jej surowa kara. Średnia kara za aktywność terrorystyczną wymierzana przez europejskie sądy w 2016 r. to raptem pięć lat więzienia. Co prawda w Szwecji wydano kilka wyroków dożywocia, ale tylko dlatego, że terroryści sami nagrali swoje morderstwa w Syrii, a i tak obrońcy próbowali podważać te dowody. Znacznie więcej „foreign fighters" otrzymało wyroki kilku lat pozbawienia wolności albo w ogóle uniknęło jakiejkolwiek kary „z braku dowodów".

W październiku 2016 r. szwedzkie miasto Lund ogłosiło, że powracający do Szwecji „foreign fighters" otrzymają mieszkanie, pracę i nawet wsparcie finansowe w ramach tzw. reintegracji. Niestety, takie podejście ma też zwolenników w Polsce i pocieszające jest tylko to, że problem polskich „foreign fighters" zamyka się co najwyżej w liczbie jednocyfrowej. Tymczasem w Szwecji jest to 300 osób, z czego połowa już wróciła do kraju.

Niemcy mają znacznie większy problem z „foreign fighters", gdyż ocenia się, że z tego kraju wyjechało ponad 900 ochotników do nawracania Irakijczyków i Syryjczyków na „prawdziwy" islam. Niemal co piąty z nich był rodowitym Niemcem lub Niemką. Co najmniej 300 już wróciło i tylko ok. 150 zostało zabitych w walce. Chociaż niemieckie prokuratury wszczęły liczne postępowania karne w tych sprawach, to jednym z najsurowszych wyroków było orzeczenie 11 lat więzienia dla Haruna P. w lipcu 2015 r. Kerim B., który chełpił się zabiciem 16 osób w Syrii, został zwolniony z braku dowodów. Takich jak on jest znacznie więcej, gdyż sam fakt bycia członkiem Państwa Islamskiego nie jest według większości europejskich sądów dostatecznym powodem do wymierzenia kary.

Tymczasem postępowanie dowodowe napotyka trudności, gdyż w Syrii wciąż toczy się wojna, a europejskie sądy i prokuratorzy nie współpracują ze swoimi syryjskimi odpowiednikami. Podważana jest również wiarygodność irackiego wymiaru sprawiedliwości. Gdy w lipcu tego roku iracki sąd skazał na śmierć 27 terrorystów winnych dokonania masakry w Camp Speicher, gdzie zamordowano co najmniej 1,7 tys. irackich rekrutów, podniosła się wrzawa, że kary te są niesprawiedliwe, a proces rzekomo nieuczciwy. Stawiający te zarzuty nie przedstawili jednak żadnych argumentów na ich poparcie.

Podważanie wiarygodności irackich sądów może prowadzić tylko do jednego: żądania ekstradycji złapanych „foreign fighters" przez państwa europejskie, których ci terroryści są obywatelami. I istnieje duże prawdopodobieństwo, że Irak ich wyda, bo władze tego kraju chcą dobrych relacji z Zachodem. Podobnie jest z Kurdami, zarówno irackimi, jak i syryjskimi. Inaczej natomiast z Al-Asadem, ale w tym przypadku może zadziałać cyniczna kalkulacja. Reeksport tych „toksycznych odpadów" do Europy przyczyni się bowiem do destabilizacji krajów, z których one pochodzą. Już bardzo wyraźnie widać pewną prawidłowość: te kraje, które eksportowały najwięcej „foreign fighters" i teraz mają problem z ich powrotami, notują największą liczbę zamachów terrorystycznych. Chodzi o Francję, Belgię, Wielką Brytanię oraz naszego sąsiada zza Odry, czyli Niemcy.

Przeciwko karaniu „foreign fighters" opowiedziały się również znane organizacje praw człowieka, takie jak Human Rights Watch.

CICHA LIKWIDACJA

Jednak nie wszystkie rządy krajów europejskich wpadły w obłęd politycznej poprawności i choć sprzedają ją swojej opinii publicznej, to po cichu realizują zgoła odmienną politykę.

W maju tego roku pojawiły się informacje, że francuskie służby specjalne przekazały specjalnym oddziałom irackim listy francuskich obywateli „do likwidacji", płacąc im za każdy zneutralizowany problem. Irakijczycy do czasu ujawnienia tego specyficznego układu pomogli Francji pozbyć się 30 „kłopotów". Nieco później pojawiła się informacja, że brytyjski SAS w Iraku otrzymał listę 200 obywateli brytyjskich, którzy nie powinni wrócić żywi do domu. A zapewne wróciliby, gdyby wpadli żywi w ręce Irakijczyków, bo ich ewentualna egzekucja w Iraku spotkałaby się z falą protestów w Europie.

Skala problemu „foreign fighters" jest ogromna. Ocenia się bowiem, że aż 25 tys. obcokrajowców postanowiło zasilić szeregi dżihadystów w Syrii i Iraku, z czego co najmniej 5 tys. pochodziło z Europy. Nawet jeśli część spośród tych, którzy wrócili, usłyszała wyroki kilku lat więzienia, to spowoduje to jedynie odłożenie konsekwencji ich powrotu o kilka lat. A potem będziemy mieć w Europie kilka tysięcy doświadczonych w walce ekstremistów, chodzących sobie na wolności. Do tego za kilkanaście lat dołączą dzieci takich osób jak Linda. Za Odrą będziemy mieli setki doświadczonych w Iraku i Syrii morderców oraz pozostające pod ich wpływem dzieci. Lepiej więc pilnujmy naszych granic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

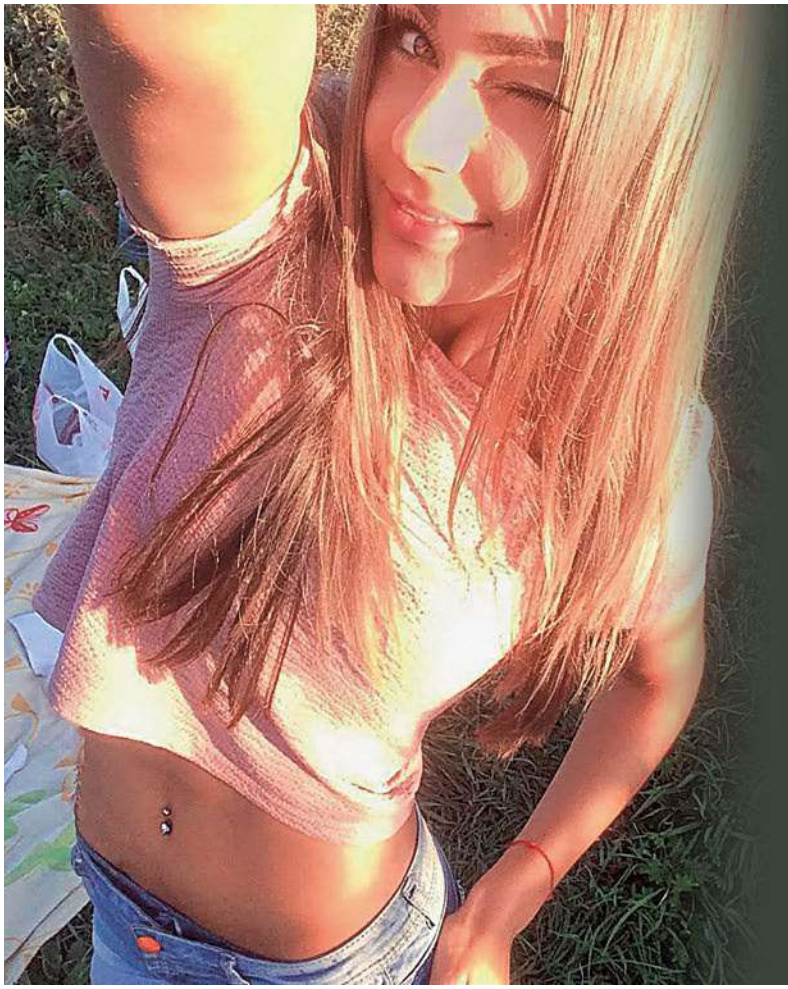

FOT. INSTAGRAM

ZWOLNIONA, BO ZBYT SEKSOWNA

Ładna dziewczyna, która wrzuca zdjęcie do Internetu, może stracić posadę? Może. I to nawet wtedy, gdy jej zdjęcia nie są obsceniczne i nie przekraczają granicy dobrego smaku. Ot, zwykłe fotografie – w obcisłej sukience, krótkiej mini czy szortach i bluzce na ramiączkach albo w bikini na plaży. Tyle że dziewczyna ładna, więc ponętnie wygląda prawie we wszystkim. Takie zdjęcie od czasu do czasu na Instagram wrzuca niejaka Viktoria Demeszkina z Jekaterynburga. Jak doniosły brytyjskie tabloidy, ta 28-latka z Rosji pracowała jako przedszkolanka. Jednak już nie pracuje. Bo jedna z mam maluchów uczęszczających do tej placówki zobaczyła zdjęcia opiekunki w Internecie i rozpętała się potężna awantura. Rodzice uznali, że „nacechowane seksualnością" fotografie nie przystają do zawodu przedszkolanki i że „może ona sprowadzać dzieci na złą drogę". Dyrekcja przedszkola miała wówczas postawić Viktorii ultimatum – albo usunie zdjęcia, albo zostanie zwolniona. Ta podobno wolała ocalić swój dorobek na Instagramie. I trudno naprawdę odpowiedzieć, co jest bardziej zwariowane: to, że niektóre kobiety nie mogą żyć bez wrzucania fotek do sieci, czy że ktoś może wyżej cenić profil na Instagramie niż pracę.

ARESZT ZA DOTKNIĘCIE BIODRA

Gdy w Rosji przedszkolanka traci pracę przez zbyt seksowne fotografie umieszczane w Internecie, w Dubaju elektryk ze Szkocji ma dużo poważniejsze kłopoty za dotknięcie ręką biodra innego mężczyzny w barze. Jak poinformowało BBC, 27-letni Jamie Harron przepychał się w barze przez tłum i wyciągnął rękę przed siebie, żeby nikt nie rozlał mu drinka. Tym sposobem kogoś dotknął. Został aresztowany za publiczne zgorszenie i osadzony w areszcie. Wypuszczono go za kaucją, ale odebrano mu paszport. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich grożą mu nawet trzy lata więzienia.

KTO UKRADŁ KUTRY RAKIETOWE?

Z największej bazy rosyjskiej floty wojennej na Bałtyku ukradziono dwa kutry rakietowe. Dowództwo floty natychmiast wyjaśniło, że nic takiego się nie stało, ponieważ okręty tylko sobie tam stały. Kupił je sobie prywatny przedsiębiorca, by je sprzedać na złom – bo to był sprzęt z demobilu. Dodano, że wprawdzie mogą pływać, ale przecież nie mają napędu. Wiadomo. Takie rosyjskie kutry rakietowe to w każdym demobilu można sobie kupić. Albo na każdym złomowisku.

MACRON DLA UCHODŹCÓW

Prezydent Francji, odkąd objął urząd, ogłasza wiele ciekawych działań. A to w trosce o płace polskich pracowników delegowanych będzie się domagał, żeby polskie firmy płaciły im jak francuskie swoim pracownikom (ciekawe przy tym, że nikt nie zmusza francuskich przedsiębiorstw w Polsce, żeby płaciły pracownikom tyle, ile płacą nad Sekwaną), a to zaproponował utworzenie oddzielnego budżetu dla strefy euro. A teraz ogłosił, że jego kraj przygotuje kolejnych 10 tys. miejsc dla uchodźców przebywających w Turcji, Libanie, Jordanii, Nigrze i Czadzie. Proces przyjmowania nowych mieszkańców Francji ma się zakończyć do października 2019 r. Ta wiadomość na pewno ucieszy polskich kierowców, którzy walczą o przetrwanie na drodze, gdy muszą jechać przez Calais.

ZAGINIONY BRAT MILIONER

Czasem szczęście w życiu nadchodzi późno. Lepiej jednak późno niż wcale, prawda? 83-letnia Szkotka po 60 latach odnalazła swego przyrodniego brata. Okazało się, że niejaki pan Asgar założył w Indiach biznes i ma tam jedną z największych firm logistycznych. Jego majątek szacowany jest na ponad pół miliarda dolarów. Brat już odwiedził siostrę i zaprosił ją do swojej posiadłości w Dubaju. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl 75e3f2809d

OSADA MORSKA
Resort & Spa

OSADA MORSKA

Umowa najmu na **10 lat** , **8 %** rentowności,
pierwsza linia zabudowy od morza

Basen wewnętrzny, Zewnętrzny i Jacuzzi

Strefa Wellness & Spa

Restauracja, Kawiarnia i Bar

Strefa Kids and Fun

Cena: od **178 000 zł**

wprost

22 299 22 77 sprzedaz@osada-morska.pl www.osada-morska.pl

Prezentowane informacje nie stanowia oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

eprasa.pl 75e3f2809d

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Z Piotrem Naimskim, pełnomocnikiem rządu ds. Strategicznej Infrastruktury Energetycznej
rozmawia Agnieszka Łakoma

Polska osiągnie „stan normalności"

AGNIESZKA ŁAKOMA: Polska uchodzi za głównego krytyka działań Gazpromu w Europie i ma konkretny plan – rezygnacji z importu gazu rosyjskiego już za pięć lat. Czy nie jest to zbyt radykalna strategia?

PIOTR NAIMSKI: Planujemy rozbudowę gazoportu w Świnoujściu i wybudowanie gazociągu pod dnem Bałtyku, by połączyć Polskę ze złożami gazu na szelfie norweskim. Doprowadzimy do uwolnienia się od dominującej pozycji jednego dostawcy. Decyzje o dywersyfikacji źródeł dostaw ropy i gazu wynikają z oceny sytuacji politycznej oraz z sytuacji naszej gospodarki. Rząd odpowiada za bezpieczeństwo energetyczne kraju, więc takie działanie to po prostu obowiązek. W dzisiejszych czasach – i podejrzewam, że jeszcze długo tak będzie – od dostępu do energii zależy bezpieczeństwo państwa w ogóle. Jako rząd robimy to, co do nas należy.

Nie zawsze tak było – 16 lat temu Norwegowie i Duńczycy byli gotowi nam pomóc w wybudowaniu rurociągów do szelfu norweskiego i mogliśmy uniezależnić się od Rosji. Czy zgadza się pan z opinią, że to jedna z najlepszych okazji, jaką Polska zwyczajnie zmarnowała, a potem przez lata słono – dosłownie – za to płaciła?

Staram się zajmować tym, co mam do zrobienia, historię zostawiam innym i dlatego powiem tylko tyle. W 2001 r. pełniłem w kancelarii premiera Jerzego Buzka funkcję doradcy ds. bezpieczeństwa energetycznego. Z wiceprezesem PGNiG Piotrem Grzegorzem Woźniakiem doprowadziliśmy do zawarcia z Duńczykami i Norwegami umowy dotyczącej budowy gazociągu i dostaw gazu, łącznie z harmonogramem wykonania inwestycji, zabezpieczeniem finansowania i harmonogramem dostaw gazu. Wszystko udało się podpisać, załatwić. Trzeba było jedynie przesłać zatwierdzone już korporacyjnie dokumenty z Warszawy do Oslo i Kopenhagi. Niestety, nowy rząd SLD-PSL na czele z Leszkiem Millerem świadomie zdecydował o nieprzesłaniu tych dokumentów. Gdyby nie to, od 2004 r. w ogóle nie mówilibyśmy o problemach z importem gazu.

Czy i kiedy dowiemy się, ile straciliśmy na tym, że zrezygnowaliśmy z ówczesnych planów? Licząc bardzo ostrożnie, że płaciliśmy więcej tylko o 50 dol. za 1 tys. m sześc. rosyjskiego gazu niż inni klienci Gazpromu, okazuje się, że w ciągu 10 lat kosztowało nas to ponad 4 mld dol.

Historia naszych relacji z Gazpromem jeszcze się nie kończy. Mamy formalne umowy – dopóki nie wygasną, dopóty nie powinniśmy ujawniać ich warunków (tak nakazuje dobry obyczaj). Nie jest tajemnicą, że dostawca rosyjski dyktuje ceny administracyjne, które podlegają decyzjom politycznym Moskwy. Lepiej jednak mówić o tym, co musimy zrobić.

eprasa.pl 75e3f2809d

A zatem, co będzie najtrudniejsze w tym planie inwestycyjnym?

Mało kto zdaje sobie sprawę, że najbardziej spektakularna część budowy Baltic Pipe – ułożenie gazociągu pod Bałtykiem – jest łatwiejsza do wykonania niż to, co trzeba zbudować „na lądzie" w naszym kraju. Chodzi o nowe połączenia gazociągowe, by surowiec trafiał z północy Polski do – powiedzmy umownie – Przemyśla.

Jednak jeszcze po drodze w tej inwestycji jest pozyskanie odpowiednich pozwoleń, zorganizowanie finansowania, potem trzeba skrupulatnie trzymać się harmonogramu, by zakończyć prace na czas, czyli do 2022 r. Czy jesteśmy przygotowani na to, że planu nie uda się zrealizować?

Bardzo dokładanie wiemy, co trzeba zrobić, by zrealizować projekt połączenia Polski z szelfem norweskim. Mamy ustalony harmonogram, teraz musimy tylko wszystkiego dopilnować.

Pojawiają się opinie, że w 2022 r. – zakładając, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem – będziemy mieć za dużo gazu z importu. Z jednej strony rozbudowany gazoport, przez który będziemy mogli sprowadzać nawet 7,5 mld m sześc. gazu rocznie, do tego rurociąg Baltic Pipe na 10 mld m sześc. i krajowe wydobycie, czyli 4 mld m sześc. rocznie. Co zrobimy z nadmiarem, jeśli wykorzystywać będziemy w Polsce tylko ok. 16 mld m sześc.?

Niektórym wydaje się, że gazoport i Baltic Pipe to projekty wzajemnie się wykluczające. W rzeczywistości – dając szansę na realną konkurencję cenową – uzupełniają się i współgrają ze sobą.

Po uruchomieniu gazociągu pod Bałtykiem zacznie się faktyczna konkurencja między źródłami i dostawcami pochodzącymi z obszaru cywilizowanej gospodarki. A normalizacja rynku to element naszej strategii. Od lat mówimy Brukseli, że najpierw musimy zdywersyfikować dostawy, a dopiero potem możemy zliberalizować rynek. Wtedy nie będzie obaw, że ugruntujemy pozycję jednego dostawcy. Ta strategia zapewni elastyczność w dostawach gazu dla polskiej gospodarki. Dzięki gazoportowi w Świnoujściu i Baltic Pipe po 2022 r. problem dostaw będzie rozwiązany.

Czyli 16 lat temu straciliśmy szansę, a teraz to nadrabiamy i trafiliśmy na doskonały moment, bo gazu na rynku jest coraz więcej i – dzięki Amerykanom oraz Australijczykom, którzy budują wielkie terminale do skraplania gazu – staje się on bardziej dostępny.

Można mówić faktycznie o rewolucji w produkcji surowców w Stanach Zjednoczonych. Jeszcze kilkanaście lat temu budowano tam na wschodnim wybrzeżu terminale do regazyfikacji, co miało służyć importowi. Kiedy zakończono inwestycje, okazało się, że instalacje nie będą wykorzystywane do przyjmowania gazu, lecz do jego eksportu. Obecnie część z nich jest więc przekształcana w terminale skraplające. To w skali globalnej zmienia rynek gazowy, tym bardziej że LNG staje się towarem takim jak ropa naftowa. Czyli – w transakcjach typu spot można kupić gazowiec – tak jak tankowiec – który płynie gdzieś po oceanie lub czeka w jakimś wielkim porcie. Rząd amerykański widzi ogromny potencjał nie tylko w wydobyciu własnym, lecz także w eksporcie. Wydał już odpowiednie zgody – czyli koncesje eksportowe na 180 mld m sześc. gazu rocznie.

To mniej więcej tyle, ile Gazprom śle do Europy. Zatem uważa pan, że Amerykanie zrównoważą pozycję Rosjan w handlu gazem, a w konsekwencji klienci, czyli też Polska, kupią tańszy gaz?

Ilości są zbieżne, dowodzą skali zmian na rynku. Oczywiście handel gazem będzie podlegał typowej grze rynkowej popytu i podaży, o czym musimy pamiętać jako odbiorcy.

Strategia dywersyfikacji obejmuje nie tylko import gazu, lecz także ropy. Orlen i Lotos kupują coraz więcej ropy spoza Rosji. Czy na takie zmiany jesteśmy przygotowani?

Mówiąc o zaopatrzeniu Polski w paliwo, jak również o ropie jako surowcu, trzeba pamiętać, że nie chodzi tylko o to, od kogo kupujemy i kto zaoferuje najlepszą cenę. Ważne jest, aby dostarczyć ropę do rafinerii. Orlen i Lotos oczekują, że w dowolnym momencie będą mogły mieć surowiec pochodzący z różnych źródeł i różnej jakości. To ogromne wyzwanie logistyczne i inwestycyjne dla Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych, zajmującego się transportem ropy. PERN musi mieć wystarczającą przepustowość w ropociągach, ale też odpowiednie możliwości magazynowania i przechowywania surowców.

PERN ma w planach inwestycje za 2 mld zł, GAZ-SYSTEM – za ponad 5 mld zł. W efekcie zmienimy cały dotychczasowy układ kierunków importu ropy i gazu do Polski oraz ich transportu po kraju. Szykuje pan rewolucję w infrastrukturze?

Jeśli chodzi o drogi importu i nowe trasy dostaw, to rzeczywiście można użyć określenia „rewolucja". Szczególnie dotyczy to projektu Baltic Pipe. Jego zrealizowanie oznaczać będzie, że Polska osiągnęła „stan normalności" i będzie miała dostęp do wielu źródeł gazu, podobnie jak dzisiaj inne duże europejskie państwa. Będzie to też oznaczało, że rosyjski plan uzależnienia nas na zawsze od jednostronnych dostaw Gazpromu przestanie Polsce zagrażać.

Nie tylko gazoport

Gazoport w Świnoujściu powiększy się w ciągu czterech lat, ale inwestycja jest o tyle prosta, że zależy od sprawności GAZ-SYSTEMU i wykonawców. Natomiast przy budowie Baltic Pipe – połączeniu z Danii do Niechorza – konieczna jest współpraca z Duńczykami i Norwegami, a podstawową kwestią – opłacalność tej inwestycji. Budowa ruszy tylko, jeśli będą chętni do przesyłania tym rurociągiem gazu do Polski. Teraz trwa procedura Open Season, czyli „zbiórka" ofert na przesył. Na razie wiadomo jedynie, że – tak jak w gazoporcie – głównym klientem będzie PGNiG.

Natomiast inwestycje w infrastrukturze naftowej w Polsce, które spółka PERN rozłożyła na cztery lata, to przede wszystkim rozbudowa (oddanego dwa lata temu) terminala naftowego w Gdańsku oraz nowe zbiorniki na ropę i dodatkowe moce w rurociągu Gdańsk – Płock. Do tej pory istnieje tylko jedna nitka rurociągu przesyłającego ropę z gdańskiego Naftoportu do rafinerii w Płocku, gdyż od czasu powstania nastawiona była na dostawy ropy rosyjskiej rurociągiem „Przyjaźń" (biegnącym z Rosji przez Białoruś i Polskę do Płocka i dalej do wschodnich Niemiec). W ostatnich dwóch latach PKN Orlen i Grupa Lotos sprowadzają coraz więcej ropy spoza Rosji, choć nadal to wiodący dostawca (80 proc. udziału), a nowe kierunki importu drogą morską to m.in. Irak, Iran i Arabia Saudyjska. Właśnie bezpośrednio z Saudi Aramco Orlenowi udało się zawrzeć po raz pierwszy w historii kontrakt długoterminowy. Saudyjczycy mogą zyskać nawet 8 proc. udziału w dostawach surowca do rafinerii PKN. Ropa arabska różni się jednak od rosyjskiej i do tego też trzeba przystosować infrastrukturę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Najbogatsi z

Łukasz Zboralski

Rodzina Santos, która podbiła Polskę siecią dyskontów, jest dziś najbogatszą rodziną w Portugalii

Dos Santos – to nazwisko niewiele mówi przeciętnemu Polakowi. Jednak to w dużej mierze pieniądze z polskich portfeli tak zasilają majątek portugalskiego klanu, że ludzie ci stali się już najbogatszą rodziną we własnym kraju.

Według bowiem ostatniego zestawienia lizbońskiego miesięcznika „Exame" wśród najbardziej majętnych Portugalczyków znalazło się aż troje reprezentantów familii Dos Santos, czyli głównego udziałowca Jerónimo Martins – firmy, która w Polsce przez ponad 20 lat rozwijała biznes oparty na dyskontach Biedronka. Drugiej tak bogatej rodziny nie ma w kraju wina i fado.

PRZEGONILI KULCZYKÓW

Numer jeden na liście „Exame" zajęła inna portugalska rodzina – Amorin. Ma w swoich rękach firmę, która jest największym na świecie producentem naturalnych korków do wina. Jej majątek oszacowano na ponad 3,8 mld euro.

Za nią uplasował się Alexandre Soares dos Santos. Zresztą drugie miejsce na tej liście okupuje on od lat i to głównie – jak podkreślają twórcy rankingu – dzięki znakomitym wynikom finansowym Biedronki na polskim rynku. Alexandre, którego majątek wycenia się na 2,53 mld euro, stoi na czele klanu kontrolującego spółkę Sociedade Francisco Manuel dos Santos – to ta firma ma 56,1 proc. udziałów w grupie Jerónimo Martins.

Do majątku Alexandre doliczyć trzeba jeszcze jego kuzynów. To Maria Isabel dos Santos, oficjalnie najbogatsza kobieta w Portugalii. Posiada m.in. 10 proc. udziałów w Jerónimo Martins. Na liście najbardziej majętnych w kraju uplasowała się na miejscu ósmym. Oczko wyżej sklasyfikowano innego kuzyna Alexandre – Fernando Figueiredo dos Santosa. Ich majątki razem mają wartość ok. 1,33 mln euro.

Trójka z familii dos Santos ma więc razem więcej niż korkowi potentaci. W przeliczeniu na złotówki – po obecnym kursie – Portugalczycy zdołali zgromadzić 16,48 mld zł. To więcej niż po Janie Kulczyku odziedziczyły jego dzieci. Majątek Dominiki i Sebastiana w tegorocznym rankingu „Forbesa" oszacowany został na 3,6 mld dol. co w przeliczeniu na złotówki wynosi obecnie 15,37 mld zł.

KUPCY Z URODZENIA

Biedronka była biznesowym strzałem w dziesiątkę, ale Portugalczycy stojący za Jerónimo Martins swoją handlową potęgę budowali przez pokolenia. Prawdą jest jednak, że to osadzony nad Wisłą biznes był jednym z najważniejszych fragmentów tej długiej drogi do wielkich pieniędzy. I że wędrówka ta zaczęła się od zupełnie innej rodziny.

To Jerónimo Martins, XVIII-wieczny kupiec, rozpoczął bowiem tę drogę, gdy otworzył swój pierwszy sklep w Lizbonie. Szło mu tak dobrze, że król Portugalii Ferdynand II dał mu przywilej zaopatrywania swojego dworu. I to był początek marki, którą wykorzystywali potem jego dwaj synowie. Renoma przetrwała, ale po I wojnie światowej firma popadła w kłopoty. To wówczas na scenę wkroczył Francisco Manuel dos Santos, wówczas współwłaściciel największej hurtowni spożywczej w Porto.

Urodzony w Safurdão Francisco podobno już jako nastolatek został wysłany do Porto, gdzie asystował kupcom na bazarze i uczył się sztuki kupieckiej. To na pewno pomogło mu rozruszać własny biznes, który opierał się na hurtowym dostarczaniu artykułów spożywczych. Razem ze wspólnikiem postanowili nie tylko sprzedawać towary, lecz także je wytwarzać. To był jeden z kluczy do sukcesu. W połowie XX w. Jerónimo Martins było już potężną firmą.

Po śmierci Francisco za sterami firmy zasiadł jego syn – Elísio Alexandre dos

eprasa.pl 75e3f2809d

Sukces Biedronek to sukces Alexandre Soares dos Santosa (z prawej), który cztery lata temu przekazał stery w Jerónimo Martins synowi – Pedro Soares dos Santosowi

FOT. RAFAEL MARCHANTE/FORUM

Biedronki

Santos. W czasie, gdy kierował firmą, Jerónimo Martins rozpoczęło współpracę z innym gigantem – Unileverem. To w tej firmie wiele nauczył się kolejny spadkobierca biznesu, syn Elísio – Alexandre Soares dos Santos.

DYSKONTOWY KURS

Od 1968 r. pod kierownictwem Alexandre rozpoczął się najbardziej spektakularny rozwój Jerónimo Martins.

Na początku lat 80. firma otworzyła swoją pierwszą sieć dyskontów – portugalską Pingo Doce. Po kilku latach kontrolowała już też większość udziałów w olbrzymiej sieci hurtowni spożywczych.

Następna na celowniku była Brazylia. W 1989 r. Jerónimo Martins wkroczyła na rynek brazylijski z siecią sklepów Pão de Açúcar. Jak gigantyczny był to skok w biznesie, najlepiej świadczy to, że w tym samym roku firma zadebiutowała na portugalskiej giełdzie.

Krótko potem podróżujący po Europie Alexandre Soares dos Santos miał już kolejną wizję – zajęcie rynku dyskontów w Polsce. Ponad 20 lat temu – w 1995 r. – Portugalczycy zdecydowali się na ten krok. Najpierw sięgnęli po największą wówczas sieć hurtowni spożywczych Eurocash, która powstała z firmy Elektromis Mariusza Świtalskiego. Ten sam biznesmen dla Portugalczyków rozwinął sieć dyskontów Biedronka.

Portugalczycy dość szybko uznali, że najpierw warto skupić się głównie na Biedronkach, które od razu pokochali klienci, ale nie od razu pracownicy. W latach 90. o firmie było głośno ze względu na trudne warunki pracy i niskie płace. Ten wizerunek Portugalczycy zdołali przełamać. Ze sklepu, który początkowo uważano za miejsce zakupów „dla ubogich", stworzyli prawdziwego giganta, do którego np. po dobre wina zachodzą dziś także naprawdę zamożni Polacy. O sile tej sieci dyskontów świadczy np. fakt, że Biedronka była wstanie zmusić takiego giganta jak Coca-Cola do oferowania odrębnej butelki o pojemności 1,75 l (w innych sklepach napój sprzedawany jest standardowo w butelkach o pojemności 2 l).

MILIARDY ZNAD WISŁY

Jerónimo Martins ma dziś ponad 3 tys. sklepów. W Portugalii prawie 400, a w Polsce – ponad 2,7 tys. Jednak to z polskich dyskontów, obecnych w ponad tysiącu miejscowościach (a także z sieci sklepów z kosmetykami Hebe oraz Aptek dla Zdrowia), do firmy płyną największe pieniądze. To miliony Polaków, przepychając się między regałami sklepu sygnowanego rysunkiem biedronki, przyczyniają się do tego, że wpływy z dyskontów w naszym kraju stanowią już ponad 66 proc. wszystkich przychodów portugalskiej grupy.

W 2013 r. twórca dyskontowej potęgi ogłosił, że odchodzi z firmy. Dobiegający osiemdziesiątki Alexandre stwierdził, że do prowadzenia spółki potrzebne są siła fizyczna i zapał – wyznał, że obu tych rzeczy już mu brakuje.

Jego miejsce zajął jego syn Pedro Soares dos Santos, który – jak to w tej rodzinie odbywało się już przez kilka pokoleń – został przez rodzica dobrze do tego przygotowany. Pracę w firmie zaczął jeszcze jako 23-latek w 1983 r. Po 17 latach został dyrektorem zarządzającym grupy Jerónimo Martins. Już wtedy trzymał rękę na najistotniejszym dziale przedsiębiorstwa – czyli tym zajmującym się inwestycjami w Polsce i Brazylii. Od grudnia 2013 r. formalnie jest już prezesem portugalskiego giganta handlowego.

Chociaż firma inwestuje w kolejne rynki – m.in. w Kolumbii – to oczkiem w głowie prezesa na pewno na długo zostaną jeszcze inwestycje w Polsce. Dzisiaj bowiem ponad 70 proc. dyskontowych sklepów w naszym kraju należy do Biedronki. Jej pozycja – mimo wielkich inwestycji w reklamę, np. niemieckiej sieci Lidl – wydaje się niedościgniona w najbliższych latach. Portugalska rodzina ma w rękach ponad 17 proc. całego rynku handlu detalicznego w Polsce, a prognozuje się, że za trzy lata będzie miała już 19 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Unia absurdów

Tomasz Cukiernik

W ramach dzikiego pędu do unijnych dotacji samorządy w całej Polsce marnotrawią grube miliony. Inwestują w parki przemysłowe i podobne strefy gospodarcze, które ostatecznie okazują się niewypałem i muszą być utrzymywane przez podatników

W latach 2010–2013 zrealizowano projekt Gospodarczej Bramy Śląska – przygotowanie pod inwestycje terenów Wschodniej Strefy Ekonomicznej w Czeladzi (woj. śląskie). W ramach tej inwestycji wybudowano ul. Gdańską (prawie 1,9 km) wraz z chodnikiem, kanalizacją sanitarną (ok. 3,5 km), deszczową (4,9 km), pompowniami, zbiornikami retencyjnymi, wodociągiem (2 km), kanalizacją teletechniczną (ponad 1,6 km) i oświetleniem. Na te inwestycje, które otworzyły na potencjalnych inwestorów 15 ha gruntów, wydano prawie 25,3 mln zł, z czego dotacje unijne wyniosły ponad 19,4 mln zł (77 proc.), a wkład własny z budżetu miasta – niemal 5,9 mln zł. Niestety, w ciągu sześciu lat przy ul. Gdańskiej gmina sprzedała jedynie ok. 20 proc. terenów, na których zbudowano zaledwie dwa (!) budynki związane z prowadzeniem działalności gospodarczej. Co więcej, roczny koszt oświetlenia niemal pustej ul. Gdańskiej w 2016 r. wyniósł prawie 8,6 tys. zł. Niewielkim pocieszeniem jest to, że w 2016 r. wpływy z podatku od nieruchomości od firm działających przy ul. Gdańskiej wyniosły 449,5 tys. zł. Oznacza to, że jeśli w kolejnych latach podatki będą nadal wpływały w podobnej wysokości, a koszty oświetlenia nie będą rosły, to inwestycja ta w podatkach zwróci się dopiero po… ponad 57 latach!

I to pomimo że w Wydziale Gospodarki Nieruchomościami jeden z pracowników zajmuje się poszukiwaniem inwestorów. Szkoda, że jest tak mało skuteczny. A może to Czeladź swoimi wysokimi podatkami i opłatami nie przyciąga inwestorów? – Dla potencjalnych inwestorów, którzy chcieliby kupić działki przy ul. Gdańskiej, gmina Czeladź nie przygotowała żadnych preferencyjnych warunków prowadzenia działalności – informuje „Do Rzeczy" Arkadiusz Olechwieruk, naczelnik Wydziału Prawno-Organizacyjnego. Czy wina leży bardziej po stronie czeladzkich urzędników (tych, którzy w ogóle wpadli na pomysł budowy ul. Gdańskiej) czy unijnego systemu dotacyjnego, który wymusza na samorządach realizację niepotrzebnych inwestycji? Na razie wielomilionowy projekt służy innym celom, niż przewidywali samorządowcy i planiści dotacyjni. „Wielu z nas chodzi tam na spacery, biega, wyprowadza swoich milusińskich" – pisze na FB jedna z czeladzianek, skarżąc się, że gmina nie dba o teren i chodniki zarasta trawa.

Wiatr hula także po terenach Nadnoteckiego Parku Przemysłowego w Paterku (woj. kujawsko-pomorskie). Koszt budowy uzbrojenia terenów inwestycyjnych w tym parku przekroczył 17 mln zł, z czego unijna dotacja wyniosła ok. 13 mln zł (76 proc.). Różnicę, czyli ok. 4 mln zł, wyłożył budżet Nakła nad Notecią. Park oferuje ok. 25 ha terenów, zapewniając inwestorom czynsz nieprzekraczający 1 tys. zł/ha netto miesięcznie. Oznacza to, że nawet jeśli wydzierżawiono by całość terenów i nie byłoby żadnych kosztów, to inwestycja w park zwróciłaby się, podobnie jak w Czeladzi, po… niemal 57 latach! Do tej pory firmy zajęły 29 proc. powierzchni parku. Na razie gmina dokłada do interesu. Otóż w 2016 r. z tytułu dzierżawy gruntu i podatku od nieruchomości firmy działające w parku wpłaciły do budżetu Nakła łącznie zaledwie niecałe 10,8 tys. zł, podczas gdy same opłaty za energię elektryczną wykorzystaną na terenie parku to ponad 15,5 tys. zł! Dodatkowo w urzędzie zatrudniana jest osoba, która zajmuje się sprawami parku. – Za pieniądze podatników funduje się wybranym przedsiębiorcom atrakcyjne tereny pod inwestycje. Tych pieniędzy gmina de facto nie ma, bo musi teraz spłacać kredyty z odsetkami. A spłacą je podatnicy, w tym reszta niedobitych przedsiębiorców z Nakła i okolic, którym funduje się co roku coraz wyższe podatki – komentuje „Do Rzeczy" Jacek Gratkowski zajmujący się sprawą, dziennikarz tygodnika „Gazeta Regionalna Powiat".

BRAKUJE INWESTORÓW

Jeszcze gorzej radzi sobie Inowrocławski Obszar Gospodarczy. Za niemal 15,5 mln zł, w tym 9,3 mln zł (60 proc.) z unijnych dotacji, wybudowano drogę i uzbrojenie techniczne terenów pod inwestycje (modernizacja dróg, budowa oświetlenia, infrastruktura teletechniczna, wodno-kanalizacyjna). Podczas otwierania strefy w 2011 r. prezydent Inowrocławia Ryszard Brejza zapewniał, że w kilkanaście miesięcy ziści się świetlana przyszłość strefy. Po niemal sześciu latach niewiele z tego wyszło, a na jej terenie łącznie wydzierżawiono lub sprzedano inwestorom zaledwie 13 proc. powierzchni strefy. – IOG

FOT. ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 75e3f2809d

przez prawie sześć lat nie przyciągnął żadnego zewnętrznego inwestora.

Aż 10 lat kosztem ponad 4,6 mln zł (w tym 2,5 mln z UE) Koronowo (woj. kujawsko-pomorskie) budowało infrastrukturę strefy przemysłowej i aktualnie może się pochwalić dopiero pierwszym przedsiębiorcą, który rozpoczął inwestycję. – Śledząc postępy w swoim regionie, odnoszę wrażenie, że im biedniejsza gmina, tym gorzej wychodzi jej „inwestowanie" w tego typu przedsięwzięcia. Koronowo nie potrafiło przejąć odpowiedniej ilości gruntów, by w ogóle stworzyć park, i musiało najpierw dokupić ziemię pod infrastrukturę – przedsięwzięcie planowano od roku 2007! Chociaż park formalnie działa już od kilku lat, to do gminy wpłynęło raptem kilka tysięcy złotych tytułem dzierżawy – mówi Gratkowski. – Zawsze się tak składa, że tego typu „inwestycje" gminy łączą z bardzo wysokimi stawkami podatków i opłat lokalnych. Czyli miejscowi przedsiębiorcy fundują niekiedy nawet konkurencji tereny pod działalność. Niestety, ludzie tych – wydaje się – prostych prawideł ekonomii nie rozumieją.

Z dużym opóźnieniem i problemami ciągnęła się także budowa Kwidzyńskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego w Górkach koło Kwidzyna (woj. pomorskie). Postawiono Centrum Kwidzyńskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego i zbudowano system dróg wewnętrznych wraz z pełną infrastrukturą techniczną, który otworzył dla inwestorów 17,8 ha gruntów. Niestety, brakuje przedsiębiorców, a przyjęta wstępnie błędna koncepcja strategii rozwoju – oparta na wykorzystaniu wierzby energetycznej jako źródła biomasy – okazała się niewypałem. Chociaż budynki są wykorzystywane w ponad 90 proc., to już tereny inwestycyjne przeznaczone na sprzedaż (opcja dzierżawy nie jest przewidziana) są w całości nadal własnością spółki KPPT sp. z o.o., której udziałowcami są powiat kwidzyński oraz miasto i gmina Kwidzyn.

Również w tym przypadku budowa parku pochłonęła olbrzymią kwotę prawie 46,9 mln zł, z czego unijne dofinansowanie wyniosło ponad 28,4 mln zł (61 proc.). Aby wyłożyć pieniądze na wkład własny, konieczny był kredyt w wysokości niemal 9 mln zł. Teraz nie ma pieniędzy na jego spłatę. W 2017 r. miasto Kwidzyn musiało podwyższyć kapitały spółki o ponad 2,5 mln zł, z przeznaczeniem głównie na spłatę kredytu. Co gorsza, park, do którego obsługi zaangażowanych jest ok. 10 osób, cały czas generuje straty. W raporcie zarządu KPPT sp. z o.o. z początku tego roku koszty oszacowano na prawie 3,2 mln zł, podczas gdy przychody na ok. 288 tys. zł. – KPPT w Górkach, zamiast zapowiadanymi przez starostę Jerzego Godzika „drożdżami rozwoju lokalnej przedsiębiorczości", stał się finansową studnią bez dna dla lokalnych samorządów – mówi Andrzej Baczewski, zajmujący się parkiem dziennikarz „Pulsu Kwidzyna". – Projekt parku ma wiele mankamentów, m.in. takich jak niedoszacowanie kosztów w studium wykonalności oraz nieobjęcie go specjalną strefą ekonomiczną, co znacznie obniża konkurencyjność jego oferty dla sektora MSP. W konsekwencji projekt KPPT jest obciążeniem finansowym dla udziałowców, a w razie niespełnienia warunków umowy o dofinansowanie grozi zwrot dotacji wraz z odsetkami – dodaje.

Z dotacjami unijnymi pożegnała się też inna inwestycja – Byczyński Inkubator Przedsiębiorczości w Polanowicach (woj. opolskie). Otóż działania podejmowane przez władze gminy Byczyna nie doprowadziły do utworzenia inkubatora mimo wydania na ten cel kwoty niemal 2,7 mln zł. Prawie 1,9 mln zł (70 proc.) miała wyłożyć UE, ale pieniądze przepadły. Przy realizacji inkubatora na terenach po byłym PGR popełniono wiele błędów zarówno na etapie przygotowania, jak i w trakcie jego budowy, m.in. zaplanowano remont budynków, które w większości nadawały się do rozbiórki. Termin oddania inkubatora przesuwano aż cztery razy. Postawiono tylko blaszane hale na klepisku. Co więcej, z raportu NIK wynika, że wprowadzona bez podstawy prawnej zmiana do umowy umożliwiła niezrealizowanie przez wykonawcę pełnego zakresu zamówienia przy jednoczesnym zachowaniu jego prawa do pełnego wynagrodzenia! Ostatecznie sprawa trafiła do sądu.

Czeladzki radny Stanisław Pisarek zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt sprawy. – Właściciel gruntu wystawianego na sprzedaż, może go sprzedać w stanie, w jakim jest, albo do sprzedaży przygotować. Uzbroić działkę, zadbać o jej estetykę, doprowadzić drogę, oświetlenie itp. Wówczas jednak przy sprzedaży powinien co najmniej odzyskać poniesione nakłady. Czyli sprzedać ją o tyle drożej wobec ceny nieuzbrojonego gruntu, ile wyłożył na uzbrojenie, a oczywiście jeszcze lepiej sprzedać dużo drożej. Bardzo często jednak – zwłaszcza gdy sprzedają gminy, a nie prywatni właściciele – sprzedaż uzbrojonych działek nie zwraca poniesionych nakładów – mówi. Gmina po uzbrojeniu terenu sprzedaje go za mniejsze pieniądze, niż wynikałoby to z kosztów zrealizowanego uzbrojenia. – Na przykład metr uzbrojonego gruntu jest zbywany za 100 zł, zamiast 90 zł za metr gruntu nieuzbrojonego, podczas gdy zainwestowano w niego 40 zł. To oznacza, że większość tych pieniędzy – i gminnych, i unijnych – została zmarnowana – wylicza radny Pisarek.

INWESTOWAĆ Z GŁOWĄ

Oczywiście parki przemysłowe działają też w Polsce z sukcesem. Nie można negować budowy przez państwo czy samorządy podstawowej infrastruktury, bo tym powinna zajmować się władza nawet według zwolenników koncepcji państwa minimum. Należy to jednak robić z głową, ale urzędnikom niestety nadal często brakuje racjonalności w działaniach i nieobce są im niegospodarność oraz marnotrawstwo zasobów. Widać to także w przypadku korzystania z funduszy z UE. Chyba że chodzi o coś innego. Może prawdziwym celem tych samorządowych „inwestycji" jest wyłącznie wydanie pieniędzy publicznych? – Parki przemysłowe to dobitny przykład tego, że samorządy nie powinny zajmować się inwestycjami o charakterze gospodarczym. Firmy prywatne zdecydowanie skuteczniej i taniej wypełnią tę lukę. Lepszym rozwiązaniem jest pomysł, by w pierwszym roku czteroletniej kadencji władz samorządowych radykalnie obniżyć stawki podatków lokalnych. W ten sposób w kieszeniach przedsiębiorców zostanie na tyle dużo pieniędzy, że mogliby oni z czasem pokusić się o stworzenie takiego „parku" za własne środki – proponuje Gratkowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Górnicy są – węgla brakuje

Polacy „od zawsze" są zmuszani do udziału w utrzymywaniu górników, którzy ostatnio wydobywają tak mało węgla, że zaczyna go brakować na potrzeby Polski (nie wspominając o eksporcie), więc musimy go sprowadzać z zagranicy. Nie tylko z USA; podobno także od separatystów w ukraińskim Donbasie.

Dlaczego tak się dzieje? Między innymi dlatego, że wtedy, gdy trwała węglowa hossa i ceny węgla trzymały się na stosunkowo wysokim poziomie (teraz, po latach załamania, znów nie są niskie), zamiast inwestować pieniądze z zysków w przygotowanie nowych pokładów do wydobycia, zarządy kopalń – pod presją nieznających litości i pozbawionych wyobraźni związkowców – wypłacały górnikom, ile się dało: w postaci 14. (a jakże!) pensji w roku i innych przywilejów, o których Polakom pracującym poza górnictwem nawet się nie śni. Wypłacały górnikom, ile się dało – i nie dało, zmuszając pozostałych Polaków do niemal ustawicznego dotowania górników.

Z raportu WiseEuropa wynika, że każdy z nas zapłacił w 2016 r. na utrzymywanie energetyki opartej na węglu 239 zł (w 2011 r. – 233 zł). Część tej kwoty uiściliśmy w rachunkach za energię, resztę zaś w płaconych przez nas podatkach, a górnicy zabrali je nam poprzez sektor finansów publicznych – w dopłatach do swych emerytur, do restrukturyzacji kopalni itd. W sumie w latach 1990–2016 górnicy kosztowali nas 230 mld zł, czyli co roku średnio 8,5 mld zł – jedną trzecią tego, ile wydajemy na program „Rodzina 500+". A może być – ostrzegają analitycy WiseEuropa – jeszcze gorzej i jeśli polityka rządu się nie zmieni, a na razie niewiele na to wskazuje, to w latach 2017–2030 wydamy na górników kolejne 155 mld zł – średnio ponad 11 mld zł co roku!

Jest też jednak, jak się okazuje, jedna dobra wiadomość – coś jak iskierka w tym czarnym, węglowym tunelu. Otóż górniczy związkowcy wspierają kupno przez spółki pracownicze dwóch likwidowanych kopalń, choć wcześniej nie chcieli się zgodzić na restrukturyzację górnictwa. Chodzi o kopalnie Krupiński w Suszcu i Makoszowy w Zabrzu. Górnicy chcieliby powtórzyć – i oby się im to udało – sukces kopalni Silesia, uratowanej przed likwidacją właśnie przez spółkę pracowniczą i czeskiego inwestora EPH. Pytanie: Czy także w tych przypadkach znaleźliby się przedsiębiorcy, gotowi – w nadziei na zyski – zaryzykować wejście do konsorcjum razem z górnikami? A jako że idzie o bezpieczeństwo energetyczne, to jeszcze dobrze byłoby, żeby byli to przedsiębiorcy polscy.

A zatem? Otóż, Szanowni Panowie Górnicy, jeśli o mnie chodzi, to bierzcie te kopalnie, choćby jeszcze dziś. Bylebyście już nigdy w życiu nie przychodzili do nas – podatników – z płonącymi oponami i bezwstydnym żądaniem, żebyśmy te kopalnie (i was) na powrót wzięli na nasz garnuszek. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Granice rozwoju

Jeden z senatorów w USA powiedział kiedyś, że jeżeli ktoś uważa, iż innowacyjność rozwiąże problemy granic rozwoju ludzkości, to albo jest szaleńcem, albo ekonomistą. Aby dostrzec problem, proponuję pewną zagadkę. Kolonia bakterii w pojemniku rozmnaża się w tempie wykładniczym, czyli liczba bakterii podwaja się co minuta. Eksperyment zaczął się o godz. 10, o godz. 12 pojemnik był pełen. Pytanie brzmi, o której godzinie pojemnik był zapełniony w połowie?

Wzrost liczby ludności do 10 mld będzie równoważny obecności 1 bln ludzi-ssaków

Większość osób, które używają intuicji zamiast matematyki, odpowie, że ok. godz. 11. Prawidłowa odpowiedź brzmi: o godz. 11.59. O godz. 11.58 był wypełniony tylko w jednej czwartej. Co więcej, o godz. 11.50 bakterii było tak mało, że pojemnik wydawał się całkowicie pusty. Na tym polega dynamika wykładniczego wzrostu, że przez długi czas nie dzieje się nic, a potem następuje nagła zaskakująca eksplozja.

Inny przykład to nagroda, jakiej zażyczył sobie pewien matematyk od faraona. Poprosił, żeby dać mu jedno ziarno ryżu na pierwszym polu szachownicy, dwa na drugim, cztery na trzecim itd. Faraon był zdumiony, że matematyk zażyczył sobie tak małej nagrody, i polecił spełnić to życzenie. Okazało się, że góra ziaren na ostatnim polu szachownicy była większa niż Mount Everest, w całym królestwie nie było tyle ryżu, żeby spełnić to życzenie. To dlatego, że z każdym polem liczba ziaren rosła wykładniczo.

Liczba ludności na świecie nie rośnie w tempie wykładniczym. Rośnie szybciej, bo podwojenie liczby ludzkości trwa coraz krócej. To oznacza, że nasza „liniowa" intuicja dotycząca efektów szybkiego wzrostu liczby ludzkości jest błędna i będziemy zaskakiwani nieoczekiwanymi efektami rosnącej liczby ludzi.

To jednak tylko część problemu. 10 tys. lat temu, w czasach gdy człowiek był tylko jednym ze ssaków i było nas ok. 5 mln, nasze potrzeby energetyczne były podobne do potrzeb innych ssaków. Obecnie – w porównaniu z tamtym okresem – człowiek zużywa średnio ok. 30 razy więcej energii. A w USA ponad 100 razy więcej. To oznacza, że licząc ekwiwalent energetyczny, rasa ludzka wpływa na Ziemię tak, jakby było nas nie 7 mld, ale ponad 200 mld. Prognozy uwzględniające wzrost liczby ludności do 10 mld i poprawę jakości życia wskazują, że nasz wpływ na Ziemię będzie równoważny obecności 1 bln ludzi-ssaków.

Oczywiście pozostaje pytanie, czy jest już godz. 11.59 czy dopiero 11.58. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 75e3f2809d

TEST „DO RZECZY": ZGRZEWARKA PRÓŻNIOWA FOODSAVER FFS005X

Blisko 9 mln ton żywności marnuje się rocznie w Polsce według danych Eurostatu, co daje nam niechlubne piąte miejsce w Unii Europejskiej. Aż 2 mln ton produktów żywnościowych co roku marnuje się w gospodarstwach domowych. Najczęściej do kosza trafiają zepsute: pieczywo, owoce, wędliny, warzywa, a także sery, mięso etc.

Według Federacji Polskich Banków Żywności do wyrzucania żywności przyznaje się 35 proc. Polaków, którzy jako przyczyny marnowania jedzenia podają m.in. niewłaściwe przechowywanie produktów, zbyt duże porcje posiłków i zbyt duże zakupy.

Prostym sposobem na wydłużenie przydatności żywności i zmniejszenie marnotrawstwa w przypadku zbyt dużych zakupów są różnego rodzaju systemy pakowania próżniowego, które eliminują powietrze z opakowań. Jednym z rozwiązań są zgrzewarki próżniowe. Sprawiają one, że mięso, ryby, wędliny, a także owoce, warzywa, chipsy i słodycze można – jak zapewnia producent – przechowywać nawet pięciokrotnie dłużej. Brak powietrza w szczelnym opakowaniu sprawia również, że spakowana próżniowo żywność jest chroniona przed bakteriami, zachowuje smak oraz zapach, a także nie przesiąka aromatami innych produktów przechowywanych w lodówce czy zamrażarce. Urządzenia tego typu ułatwiają również marynowanie mięs, które szybciej i dokładniej przechodzą smakiem marynaty.

Testowana zgrzewarka próżniowa jest prosta w obsłudze, chociaż pierwsze kroki powinny być lepiej opisane w instrukcji, a najczęściej wykorzystywane elementy – takie jak choćby miejsce, gdzie należy wkładać worki do pakowania – wyraźniej oznaczone.

Po kilku minutach prób urządzenie można już obsługiwać bardzo sprawnie. Zaletą testowanego modelu jest kilka trybów pracy: od trybu zgrzewania przez tryb pakowania produktów suchych lub wilgotnych aż do funkcji pulsacyjnej stworzonej, aby móc przechowywać np. owoce lub inne delikatne produkty. Sam proces odsysania powietrza trwa tylko kilkanaście sekund.

Żywność można pakować w gotowe worki lub samemu szybko przygotowywać worki o pożądanej wielkości. Użytkownik może również wybrać trzy prędkości pracy – maksymalny przepływ powietrza wynosi 4,7 l/min. O postępach i kolejnych etapach, np. przejściu z odsysania powietrza do zgrzewania worka foliowego, informują zaś kontrolki LED.

Ważąca nieco ponad 3 kg zgrzewarka próżniowa ma minimalistyczny, nowoczesny design i sprawia wrażenie solidnie wykonanej. Zajmuje jednak w kuchni na blacie stosunkowo dużo miejsca. Jej wymiary to 410 mm x 100 mm x 220 mm. Również kabel zasilający jest sporo za krótki – ma zaledwie kilkadziesiąt centymetrów długości.

Ogólnie testowana zgrzewarka próżniowa FoodSaver choć nie perfekcyjna, jest jednak dobra i świetnie spełnia swoją funkcję. Niestety, jest bardzo droga. Cena: 899 zł. ©℗

Jacek Przybylski

CZCIJ OJCA SWEGO I MATKĘ...

Mieszkacie z dala od rodzinnego domu, więc dzwonicie dwa–trzy razy dziennie do rodziców, zwłaszcza gdy w starszym wieku mieszkają samotnie? Zadręczacie ich pytaniami: Czy na pewno wszystko w porządku? Czy nic ich nie boli? Wreszcie gdy nie możecie się dodzwonić (bo mama/tata poszli w tany i zapomnieli smartfona), dostajecie szału z niepokoju? No dobra, jest rada na upartych staruszków, którzy zapominają regularnie meldować, że wszystko OK. Ta rada brzmi: VitalBand i jest smartwatchem dla emeryta. Najprościej mówiąc, to inteligentny zegarek, który monitoruje podstawowe funkcje życiowe. Przede wszystkim, bo to chyba najważniejsze, wysyła sygnał alarmowy do wskazanej osoby, jeśli seniorowi zdarzy się upadek, powtórzy go, jeśli wykryje brak aktywności ruchowej. Monitoruje puls, ciśnienie, tempo oddychania i pracę serca, mierzy spalane kalorie i liczbę wykonanych kroków. Wreszcie można w nim ustawić przypomnienie o konieczności zażycia leków w odpowiedniej dawce. I wiedzą państwo co? W czasach, gdy tyle się mówi, że dzieci opuszczając dom, zapominają o rodzicach, konstruktor VitalBand Smart Watch, pan Ernie Lanace, niezbędne do uruchomienia produkcji 100 tys. dol. zebrał na Indiegogo ze znaczną nawiązką mocno przed czasem – tyle było zamówień od osób chcących sprezentować go swoim bliskim. Aby stać się posiadaczem tegoż gadżetu, trzeba wydać ok. 450 zł.

HERBATA DLA ZDROWIA

Podobno Witkacy przed rozpoczęciem pisania miał zwyczaj wypijania piekielnie mocnej herbaty, bardziej nawet – demonicznej zalewajki składającej się z liści herbaty i odrobiny wody. Sprawdziłem, rzeczywiście daje powera... I łatwo trafić na cmentarz, tak serducho szaleje. Tymczasem z herbaty można wycisnąć to, co najlepsze i najzdrowsze, dzięki ultradźwiękom. Taką możliwość ma dawać Teamosa, czyli ekspres do parzenia herbaty z technologią ultradźwięków powodujący, że herbata jest gotowa przy wykorzystaniu wody o możliwie niższej temperaturze. Co z kolei ma powodować uwalnianie się znacznie więcej antyoksydantów. Niestety, Teamosa tania nie jest – w przedsprzedaży kosztuje ok. 800 zł, a do tego trzeba jeszcze będzie regularnie kupować specjalne kapsułki z herbatą, co oznacza, że jeśli ktoś chce pić tyle co rzeczony Witkacy, to musi mieć naprawdę solidny budżet herbaciany. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 75e3f2809d

Z Kamilem Grosickim, piłkarzem reprezentacji Polski
rozmawia Łukasz Majchrzyk

Potrafimy strzelać gole najlepszym

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

ŁUKASZ MAJCHRZYK: Od razu po zwycięstwie nad Czarnogórą powiedział pan, że marzy o medalu na mistrzostwach świata. Kilka dni po awansie, kiedy emocje opadły, podtrzymałby pan te słowa?

KAMIL GROSICKI: Jak każdy piłkarz mam marzenia i po kolei chciałbym je spełniać. Pierwszym podstawowym marzeniem był awans na mistrzostwa świata, a teraz trzeba mierzyć odpowiednio wyżej. Pokazaliśmy, że możemy być groźni dla każdego rywala, a w piłce wszystko się może wydarzyć. Trzeba myśleć szerzej, bez tego ciężko będzie odnieść sukces.

Prezes PZPN Zbigniew Boniek mówi, że podstawą jest wygranie pierwszego meczu na takim turnieju.

Pierwszy mecz zawsze jest najważniejszy. Wiemy, jak to czasami wyglądało w historii polskiej piłki. Na Euro 2016 wygraliśmy z Irlandią Północną i potem już poszło. Łatwiej było się przygotować na następny mecz, mieliśmy komfort psychiczny. Po zwycięstwie na otwarcie turnieju będziemy w grze o wyjście z grupy, bez względu na wynik drugiego spotkania. Pierwszy mecz jest bardzo ważny.

Strzelacie dużo goli. To dla pana, jako zawodnika ofensywnego, bardzo ważne?

Pokazujemy od paru ładnych lat, od kiedy trener Nawałka jest selekcjonerem, że potrafimy strzelać gole najlepszym. Robert Lewandowski bije rekordy skuteczności w eliminacjach do kolejnych turniejów. To jest wielka rzecz, że mamy zawodnika, który strzela jak na zawołanie. Musimy strzelać gole, bo jeśli nie zdobywa się bramek w turniejach, to ciężko o sukces, nawet przy dobrej grze obronnej. Ja w tych eliminacjach też kilka goli dołożyłem.

Bramkę z Rumunią kibice będą pamiętać jeszcze bardzo długo.

Na pewno to jest wspomnienie na całe życie, kilku Rumunów po drodze minąłem. Ten obrazek będę przypominał sobie jeszcze po zakończeniu kariery. W dodatku ten gol był bardzo ważny, bo to było trafienie na 1:0 w Bukareszcie, po trudnych meczach z Armenią oraz Danią.

Kiedyś graliście więcej z kontry, dzisiaj to rywale często się bronią.

Wyrobiliśmy sobie pozycję i często trzeba rozbijać mocne zasieki, czasami musimy grać przeciwko pięciu obroń-

eprasa.pl 75e3f2809d

com. Dla skrzydłowych jest to trudne zadanie. Wiadomo, że wszyscy starają się znaleźć sposób na Roberta, ale ja też nie jestem zawodnikiem anonimowym i zastawiają na mnie pułapki. Poziom jest coraz wyższy i trzeba się do tego przyzwyczajać. Na całym świecie szanują reprezentację Polski i podchodzą do nas z respektem.

Co jest największą siłą polskiej kadry?

Drużyna jest największą siłą. Można powiedzieć, że kiedyś reprezentacja miała indywidualności, ale nie tworzyła razem takiej siły. Grali często ci sami zawodnicy, którzy występują teraz: Robert Lewandowski, Kuba Błaszczykowski, Łukasz Piszczek, ale nie było wyniku. Za trenera Adama Nawałki ta drużyna jest po prostu silna. Na boisku i poza nim. Bardzo ważny jest selekcjoner Adam Nawałka, z nim wszyscy chcą pracować. Obdarzył bardzo wielu ludzi swoim zaufaniem i trzeba się za nie odpłacać. Mamy trenera, który na nas stawia.

Ludzie was nie tylko podziwiają, ale chyba też lubią?

Piłka nożna od zawsze była na pierwszym miejscu i nawet kiedy wyników nie było, to i tak ludzie przychodzili oglądać reprezentację. Kibice zawsze byli z nami, nawet kiedy pojawiała się duża krytyka w mediach. Teraz, kiedy są wyniki, to wszyscy są podekscytowani. Ludzie widzą, że w każdym meczu wychodzimy walczyć o zwycięstwo, i nie są to tylko słowa.

Który mecz w eliminacjach był najtrudniejszy?

Mecz z Armenią, gdy w 94. minucie strzeliliśmy bramkę na 2:1, był niesamowicie trudny. Niełatwo było znieść dotkliwą porażkę z Danią, ale warto podkreślić, że mieliśmy możliwość popełnienia błędu, bo wcześniej wygrywaliśmy. Ta porażka dała nam kopa. Pozbieraliśmy się szybko i w kolejnych spotkaniach wywalczyliśmy dziewięć punktów.

Udany turniej we Francji, zmiany klubów. Zabrakło trochę pokory?

Koledzy i ja również zmieniliśmy kluby, weszliśmy na wyższy szczebel, ale to nie miało znaczenia. Na reprezentację przyjeżdża się z dumą. Zaśpiewać hymn to najwspanialsze, co może spotkać piłkarza. Nie było żadnego rozluźnienia. Takie mecze się zdarzają. Teraz wszyscy wymagają więcej, zdajemy sobie sprawę ze skali trudności. Będziemy walczyć, bo ta drużyna ma potencjał.

Turniej w Rosji będzie bardzo ciężki ze względu na odległości?

Będziemy przygotowani. Na pewno PZPN, Adam Nawałka czy wszystkie osoby odpowiedzialne za logistykę przygotują dla nas optymalne warunki. Zawsze jesteśmy przygotowani, mamy doskonałe warunki do trenowania i mieszkania. O to się nie obawiam.

Pana pierwsze wspomnienia związane z mistrzostwami świata?

Pierwszy mundial, który oglądałem świadomie, to ten z 1998 r. Finał Francja – Brazylia wrył się mocno w pamięć. Potem pierwszy, po wielu latach, udział reprezentacji Polski w mistrzostwach w 2002 r. i nieudany turniej, ale i tak panowała Olisadebemania. Cztery lata później, na mistrzostwach świata w Niemczech, były fantastyczne interwencje Artura Boruca, które mocno wbiły mi się w pamięć. To jednak nie wystarczyło do wyjścia z grupy. Z tamtej reprezentacji mam dobrych kolegów: Tomasza Hajtę, Piotra Świerczewskiego, Radosława Majdana.

Marzenia Kamila Grosickiego związane z mundialem?

Chciałbym się zapisać na kartach historii polskiej piłki. Na mistrzostwach Europy nie strzeliłem gola, ale chciałbym tego dokonać na mistrzostwach świata. Jeśli dołożę swoje bramki, to znaczy, że będziemy się bić o dobry wynik.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

Śmiertelny czy przewlekły?

FOT. FOTOLIA

Katarzyna Pinkosz

Rak płuca jest w Polsce zabójcą numer jeden spośród nowotworów. Co roku z jego powodu znika z mapy Polski miasto wielkości Wieliczki. Mimo to onkolodzy nie kryją optymizmu: w ostatnich latach dokonał się ogromny przełom w leczeniu

Statystyki nadal wyglądają źle: na raka płuc w Polsce umiera rocznie 22 tys. osób, a u kolejnych 21 tys. stwierdza się tę chorobę. Spośród nowotworów to on zabija najwięcej ludzi – zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Nie boli, dlatego choć rozwija się wiele lat, długo pozostaje niezauważony. Gdy już pojawiają się dolegliwości (przewlekły kaszel, duszność, ucisk w klatce piersiowej), zwykle choroba jest już zaawansowana, z przerzutami, i nie jest już możliwe wycięcie guza ani całkowite wyleczenie. Zaledwie w ok. 15 proc. przypadków jest diagnozowanych w tak wczesnym stadium, że jest możliwe wyleczenie.

Dla pozostałych chorych przez wiele lat medycyna miała niewiele do zaoferowania. Stosowane chemioterapia i radioterapia nie były zbyt skuteczne. O ile leki pojawiały się w wielu innych nowotworach, dzięki czemu można było choroby wyleczyć lub przynajmniej sprawić, że stawały się przewlekłe, o tyle w przypadku raka płuca nie działo się niemal nic. Większość chorych umierała w pierwszym roku po usłyszeniu diagnozy.

KROK DO PRZEŁOMU

Raka płuca trudno wyleczyć, bo właściwie nie jest to jeden nowotwór. Widać to nawet po klasyfikacji: 15 proc. przypadków to raki drobnokomórkowe, 85 proc. – niedrobnokomórkowe. Wśród tych ostatnich wyróżnia się płaskonabłonkowe, niepłaskonabłonkowe i takie bez ustalonego typu histopatologicznego. Z kolei w niepłaskonabłonkowych niektóre mają budowę gruczołową, inne wielkokomórkową, a pozostałe są trudne do sklasyfikowania i wrzuca się je do worka „inne". Już dziś wiadomo, że każdy z tych typów trzeba leczyć zupełnie inaczej.

Profesor Dariusz M. Kowalski, kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie, nie kryje jednak optymizmu. – Jak mam nie być optymistą, skoro jeszcze niedawno nie dysponowaliśmy żadnymi lekami, poza klasyczną chemioterapią? W ostatnich latach natomiast pojawiły się leki, które zmieniły losy wielu chorych. Średnia długość życia z rozpoznanym rakiem niedrobnokomórkowym wydłużyła się, zwiększył się odsetek przeżyć jednorocznych, pojawił się odsetek przeżyć dwu- i trzyletnich, których wcześniej nie było – mówi prof. Kowalski.

Najwięcej „dzieje się" w raku niepłaskonabłonkowym. Gdy zostanie zdiagnozowany ten typ nowotworu, można sprawdzić, czy chory ma mutację w genie EGFR (ma ją ok. 10–15 proc. chorych). Jeśli tak, to można zastosować leki, na które odpowiada aż 70 proc. osób, i chorobę udaje się utrzymać w ryzach 12–18 miesięcy, a nawet dłużej. Niestety, po pewnym czasie dochodzi do wznowy. – Jeśli jednak u chorych wykryjemy mutację T790M, to można zastosować kolejny lek, który przełamuje tę oporność. Odpowiada na niego ok. 80 proc. chorych. Znów podwajamy czas ich przeżycia. Niestety, w Polsce nie jest on na razie refundowany – wyjaśnia prof. Kowalski.

Są już też skuteczne leki dla chorych z rakiem niepłaskonabłonkowym i mutacją genu ALK. W Polsce jest dostępny tylko kryzotynib, lek pierwszej generacji. – Niestety, zgodnie z zapisami programu

eprasa.pl 75e3f2809d

możemy go stosować w Polsce dopiero po wznowie choroby. Czekamy na zmianę, by był dostępny już w pierwszej linii, czekamy też na leki drugiej generacji, które dają chorym kolejnych kilkanaście–kilkadziesiąt miesięcy bez wznowy. A wiemy z badań klinicznych, że pojawiają się leki jeszcze nowsze, które będzie można stosować w kolejnych liniach leczenia – dodaje prof. Kowalski.

Kolejny przełom to pojawienie się tzw. leków immunomodulujących (lekarze nazywają je też immunokompetentnymi). Ich plusem jest to, że działają też w typie płaskonabłonkowym. Nie są to leki stricte antynowotworowe, gdyż nie zwalczają komórek raka, tylko pobudzają do działania układ immunologiczny, „odślepiając go". Dzięki nim ponownie zaczyna on widzieć komórki nowotworowe i je zwalczać. – Najbardziej obiecujące z tej grupy są leki nazywane inhibitorami receptora programowanej śmierci [komórek nowotworowych – przyp. red.], taki jak niwolumab, pembrolizumab i atezolizumab – wylicza prof. Rodryg Ramlau, kierownik Katedry i Kliniki Onkologii UM w Poznaniu.

Pojawiła się też nowa nadzieja dla chorych, którzy w ogóle nie odpowiadali na stosowaną w pierwszej linii chemioterapię lub bardzo szybko dochodziło u nich do wznowy choroby – nintedanib. Działa on w jeszcze inny sposób. To tzw. lek antyangiogenny, który hamuje rozwój komórek nowotworowych. Są one bardzo sprytne – potrafią wysyłać organizmowi sygnały powodujące, że powstaje sieć nowych naczyń krwionośnych odżywiających komórki nowotworowe. Leki antyangiogenne temu zapobiegają. – Przeprowadzono wiele badań z tego typu lekami, w raku płuca okazało się, że skuteczny jest tylko ten jeden. Można go stosować w raku gruczołowym, włącznie z chemioterapią. Z jego zastosowania mogliby odnieść korzyść chorzy do tej pory źle rokujący, którzy nie odpowiedzieli na zastosowaną chemioterapię pierwszej linii, albo ci, u których doszło szybko do wznowy choroby po zakończeniu leczenia – wyjaśnia prof. Kowalski. Jest dla nich szansą na wydłużenie życia.

CZAS NA ZMIANY

Dzięki nowym lekom rak płuca powoli zaczyna zmieniać się w chorobę przewlekłą – na razie dla niewielkiej grupy chorych, jednak to i tak duży przełom. Niestety, na razie z większości nowości polscy chorzy mogą korzystać tylko w ramach badań klinicznych. Nie jest refundowany ani żaden z leków immunokompetentnych, ani nintedanib, ani leki, które można stosować w drugiej linii i kolejnych w przypadku wykrycia mutacji w genach EGFR i ALK oraz pojawienia się oporności.

Zarówno lekarze, jak i pacjenci patrzą z nadzieją na kolejne listy refundacyjne. Obecnie w Ministerstwie Zdrowia toczą się postępowania dotyczące wprowadzenia do refundacji pięciu innowacyjnych substancji czynnych w leczeniu zaawansowanego raka płuca. Każdy z nowych leków jest przeznaczony dla wąskich grup chorych, dzięki każdemu mają oni szasnę na kolejne miesiące i lata życia. Wiele nowych leków wydłuża czas do pojawienia się wznowy choroby o 12–18 miesięcy, ale u niektórych pacjentów te miesiące mogą zmienić się w lata. Do tego czasu jest szansa na kolejne leki, które spowodują jeszcze większe wydłużenie życia.

Wydatki NFZ na tzw. programy lekowe w raku płuca to tylko 3,7 proc. środków przeznaczanych na wszystkie programy lekowe w onkologii – gdy tymczasem aż 25 proc. zgonów z powodu nowotworów jest spowodowanych rakiem płuca. Ten nierówny podział do tej pory był spowodowany m.in. tym, że skutecznego leczenia nie było. Teraz, gdy się pojawia, dobrze by było, by chorzy mogli z niego skorzystać. Onkolodzy i pacjenci liczą, że być może już w listopadzie, miesiącu walki z rakiem płuca, na jego leczenie zostanie przekierowana część dodatkowych pieniędzy na zdrowie, które mają się pojawić zgodnie z zapowiedziami premier Beaty Szydło i wicepremiera Morawieckiego.

POŻEGNANIE Z DYMKIEM

Żeby co roku ocalić miasto wielkości Wieliczki, Grajewa czy Działdowa, nie wystarczą same nowoczesne leki. Zdaniem prof. Macieja Krzakowskiego, krajowego konsultanta w dziedzinie onkologii klinicznej, niezbędne jest skrócenie czasu między wystąpieniem objawów choroby a rozpoczęciem leczenia. – Utworzenie ośrodków szybkiej i kompleksowej diagnostyki nowotworów układu oddechowego przyspieszyłoby oraz udoskonaliło rozpoznawanie raka płuca. W ośrodkach powinna być też możliwość przeprowadzania badań czynników genetycznych i molekularnych, które pozwalają na dobre dobranie leków – podkreśla prof. Krzakowski. Ogromną bolączką jest to, że zbyt długo w Polsce czeka się na wyniki badań patomorfologicznych, zbyt mało jest też patomorfologów, którzy oceniają badania.

Dzięki m.in. wieloletniej działalności prof. Witolda Zatońskiego liczba osób palących papierosy w Polsce znacząco spadła, już w listopadzie jednak, oprócz nowych leków, przydałaby się dobra kampania promująca niepalenie, skierowana zwłaszcza do młodych ludzi. Niepokoi to, że ostatnio rośnie liczba młodych dziewcząt rozpoczynających palenie. Konieczne jest też stworzenie większej liczby poradni antynikotynowych i skutecznej formy pomocy osobom, które postanowiły rozstać się z papierosami, ale same nie znajdują w sobie na to dość sił.

Ryc. 1. Podział raka płuca w zależności od typu histologicznego[2,3,4,5]

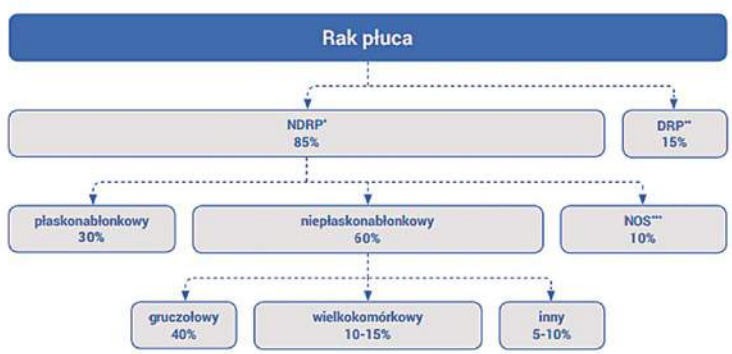

* NDRP - niedrobnokomórkowy rak płuca.
** DRP - drobnokomórkowy rak płuca.
*** NOS - nieokreślony (ang. not otherwise specified).

Raport „Obraz raka płuc w Polsce"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 75e3f2809d

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Przewagi elearów polskich

Elearzy, zwani także od nazwiska ich twórcy – płk. Aleksandra Lisowskiego – lisowczykami, budzili grozę. Poruszali się komunikiem, czyli bez taboru wozów, a zapasy przewozili przy kulbakach albo na grzbietach jucznych koni. Nie używali pancerzy ani zbroi, poprzestając na szablach, pałaszach, łukach i pistoletach. „Nie mamy żelaza, tylko u koni pod nogami, u siebie przy boku, ale częściej w ręku" – powiedział ich dowódca, Jarosz Kleczkowski, cesarzowi.

Początki tej formacji sięgają wojen moskiewskich. W 1615 r. Lisowski wydał pierwszy uniwersał, obiecując amnestię wszelakim swawolnikom i ludziom wyjętym spod prawa, o ile oddadzą się pod jego rozkazy. Elearzy, zwani też kozakami polskimi, wzięli udział we wszystkich wojnach, jakie toczyły się na początku stulecia w Europie Wschodniej. Dokonali pierwszej odsieczy wiedeńskiej, uderzając na Siedmiogród w 1619 r. Poszli na wojnę trzydziestoletnią i wyprawę cecorską w 1620 r., bronili też obozu pod Chocimiem. Mnie zaś zawsze ciekawiło, co dobrego brali do sakw i toreb, wyruszając na konne zagony.

Nie mamy żadnych wzmianek na temat „kuchni żołnierzy lisowskich". Jednak zachowały się opisy tego, co brała ze sobą podobna im uzbrojeniem lekka jazda polska. Jan Chryzostom Pasek zanotował, że podstawowym prowiantem żołnierza chorągwi „kozackich" były sakwy z sucharami, wędzonkami i serem. Do picia zaś zabierano cynowe ładownice z gorzałką. Tak właśnie było pod Połonką w 1660 r., gdzie „jeść było co, bośmy kazali nabrać sucharów w sakwy, w wozy, gorzalina też była w blaszanych ładownicach".

Czym były owe suchary? Lektura dawnych książek kucharskich pokazuje, że odpowiednikiem łakoci, bo ciasto robiło się z dodatkiem mleka, cukru, cynamonu, słodkich przypraw, śmietany i jajek, a czasem także migdałów. Jeśli chodzi o wędzonki, to nie zachowały się przepisy na szynki czy boczki. Natomiast Czerniecki podaje sposoby na wędzenie jelenia i dzikiego wieprza, pod którym rozumieć należy – jak sądzę – świnię chowaną na dziko, w lesie, na żołędziach. Otóż należy w tym celu oskórować jelenia i opalić wieprza, porąbać na podłużne kawałki i najpierw zasolić, włożyć do beczki, przyciskając kamieniem, a po kilku dniach wyciągnąć, obmyć w wodzie i porozwieszać „w dymie ciepłym", wędząc „według potrzeby".

Po cóż jednak zabierano gorzałkę? Czyżby żołnierze lekkiej jazdy bywali w czasie wypraw pijani jak Mikołaj Potocki pod Korsuniem? Praktyka pokazuje, że i dzisiaj warto zabrać na konny rajd flaszkę wódki. Po pierwsze, służy jako lekarstwo na żołądek – a człowiek cały czas ma styczność ze zwierzęciem, a więc i z brudem. Po drugie, pomaga pokonać zmęczenie i w takim znaczeniu uważana była za lekarstwo w XVII w. Ciekawe, że do jej przewożenia nadają się dzisiaj dawne olstra do pistoletów – zamiast półhaka łatwo zmieści się w każdym cała butelka.

Co wozili inni jeźdźcy, pokrewni lisowczykom? Tatarzy – jak pisze Leszek Podhorodecki – brali woreczek z mąką jęczmienną, prażonym w piecu prosem, torby z suszonym lub gotowanym mięsem wołowym lub koniną, pokrajanym na małe porcje, torby z suszonym serem, bukłaki z kumysem. Jedynie zamożniejsi mieli suchary pieczone na maśle lub oliwie.

A co do przegryzienia zabierali rajtarzy zachodnioeuropejscy? Jak podaje Wojciech Dębołęcki, wszystko, co dało się złupić i zjeść lub sprzedać. W czasie wojny trzydziestoletniej wiedli gęsi z gęsiętami, cielęta, owce, kozy – wiązane, wedle opisu Dębołęckiego, „jak charty koniowi do ogona". Inni jechali z kotłami na głowie, z garncami mleka w ręku, wlekąc za sobą połcie słoniny i indyki zawinięte w pierzyny. Na targu w Habelswerde sprzedawali nie tylko woły i krowy, kozy, świnie, owce, lecz także garnce miedziane, okna wyrwane z domów, misy, talerze, konewki, lichtarze. Lisowczycy zaś oferowali tylko to, co zdobyli na wrogu: szaty, konie, szpady i muszkiety. Po łupach dobrze wymiarkować, która jazda naprawdę była… lekką, a która bojową. ©℗

FOT. FOTOLIA

Sucharki doświadczone na wyprawę konną

Trochę więcej niż 2 l mleka gotujemy z dwiema garściami krup. Dodajemy mąki i drożdży, wyrabiamy ciasto, odstawiamy i czekamy, aż wyrośnie. Następnie dodajemy osiem ubitych jajek, niecały litr słodkiej śmietany, odstawiamy, aby wszystko się uleżało. Później dorzucamy szczyptę anyżu, 200 g utłuczonego cukru. Z ciasta formujemy bułeczki, odstawiamy do ciepła, a potem pieczemy je na blasze. Kiedy ostygną, możemy pociąć je na kromki, moczyć w słodkim winie z dodatkiem cukru i cynamonu, później suszyć na piecu, aż staną się twarde.

eprasa.pl 75e3f2809d

KURCZAK OD BABCI CONRADO MORENO

Urodziłem się w Madrycie, ale dorastałem częściowo w Hiszpanii i w Polsce. Dlatego też kuchnia jest dla mnie świadectwem otwartości kultur, mieszanką smaków, spojrzeniem na różnorodność.

W domu gotują u mnie mama i tata. Uzupełniają się pod tym względem i zawsze dodają do przygotowanych potraw szczyptę „obcej" kultury, a to dlatego, że mieszkali przez 10 lat w Odessie na Ukrainie. Moi rodzice mają podejście do kuchni – powiedziałbym – artystyczne, ja do kuchni podchodzę niestety w kategoriach „konieczności przetrwania". Rzadko gotuję i częściej jadam na mieście. Tęskno mi jednak do rodzinnych obiadów, zapachu rosołu i zebranej przy stole rodzinie.

Chciałem dziś jednak zabrać państwa do Hiszpanii i zaproponować powszechne danie z kurczaka. Pochodzące z południa Hiszpanii „pollo al ajillo", czyli kurczak z czosnkiem, było bardzo często przygotowywane przez moją babcię Carmen.

Składniki:

- kurczak w kawałkach
- 8 ząbków czosnku
- 1 listek laurowy
- po jednej gałązce tymianku i rozmarynu (opcjonalnie)
- 300 ml białego wytrawnego wina
- świeża natka pietruszki (około pół pęczka)
- 100 ml oliwy z oliwek virgen extra z Hiszpanii
- sól i pieprz

Przygotowanie

Pokroić kurczaka w małe kawałki. Usunąć i wyrzucić skórę oraz tłuszcz. Posypać solą i pieprzem. Do głębokiej patelni lub garnka wlewamy sporą ilość oliwy i wrzucamy nieobrane ząbki czosnku. Podsmażamy czosnek na średnim ogniu, tak aby się skarmelizował, ale nie przypalił. Po ok. pięciu minutach powinien być miękki. Wtedy usuwamy czosnek z patelni i trzymamy w miseczce na potem.

Na patelnię wrzucamy kurczaka, listek laurowy, tymianek i rozmaryn (w gałązkach, nie w proszku; jeżeli nie mamy pod ręką, to nic nie szkodzi, nie musimy go dodawać). Kurczaka trzeba smażyć tak, aby nie był surowy. Potrwa to ok. 20 min. Musimy go obracać, aby się nie przypalił. Kiedy jest gotowy, zdejmujemy go z patelni. Wylewamy nadmiar oliwy, zostawiając tylko trochę na dnie. Dorzucamy czosnek, który mieliśmy w miseczce, i zalewamy winem. Na początku gotujemy na dużym ogniu, aby wyparował alkohol, potem zmniejszamy ogień i dodajemy kawałki kurczaka. Przed podaniem posypujemy natką pietruszki i dogotowujemy przez kilka minut. Podajemy z frytkami.

Życzę smacznego, a więc po hiszpańsku „buen provecho". ©℗

oprac. raw

FOT. TOMASZ ADAMOWICZ / FORUM

Conrado Moreno jest konferansjerem, występował w programie „Europa da się lubić", jest jednym z prowadzących losowania Totalizatora Sportowego.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak nie gotować klusek

Każdy to wie, prawda? Gotować makaron to żadna sztuka. Wrzucić do garnka, posolić, odlać. Jednak gdy się przyjrzeć bliżej tej prostej z pozoru czynności, robimy to byle jak. Skutek: przegotowany, za twardy, przesolony. Cała paczka wciśnięta w mały garnek.

W sytuacji, kiedy coraz bardziej lubimy kluski, coraz lepiej znamy się na ich rodzajach i na sosach do nich, warto się w temacie doszkolić. Pomocną kulinarną i technologiczną dłoń wyciąga dwoje francuskich specjalistów: Tiphaine Campet, dziennikarka i blogerka, oraz Hervé This, dyrektor Centrum Gastronomii Molekularnej AgroParisTech-INRA. Bez obaw, obejdzie się bez ciekłego azotu. Francuzi wytykają tylko kilka błędów popełnianych powszechnie przy gotowaniu makaronu. U nich włoski produkt narodowy zrobił nie mniejszą karierę niż u nas.

Dodawanie łyżki oliwy to najczęstszy błąd, powtarzany z pokolenia na pokolenie. Oliwa, która nie rozpuszcza się w wodzie i – zgodnie ze znanym porzekadłem – „zawsze na wierzch wypływa", jest tutaj całkowicie zbędna, w niczym nie poprawia smaku klusek. Dalej: bierzemy zbyt mały garnek, a w nim ledwo mieści się sklejona zawartość. Na 100 g makaronu należy użyć jeden litr wody; na półkilogramową paczkę

FOT. FOTOLIA

weźmy garnek pięciolitrowy. Używając dużego garnka, unikniemy następnego błędu – mieszania. Nie ma tej konieczności, jeśli wody jest dużo. Wystarczy raz na początku rozdzielić spaghetti zębatą łyżką i potem dać mu spokój. Pamiętajmy również, żeby wrzucać makaron do porządnie gotującej się wody, nigdy przed jej zagotowaniem. To pozwoli także przestrzegać dokładnie czasu gotowania. Na paczce twoich linguine napisano: „Gotować 7 minut"? Przestrzegaj tej wskazówki, bo zbyt długie gotowanie może podwyższyć indeks glikemiczny klusek. To jeszcze nic przerażającego, ale warto wiedzieć, jeśli ktoś ogranicza gluten, a takich coraz więcej. Makaron przegotowany staje się bardziej ciężkostrawny. Następna rzecz – sól. Wrzucajmy ją od razu przy wstawieniu garnka z wodą, wtedy dobrze się rozpuści i nasze kluski będą równomiernie słone.

Ostatnia rzecz: nie wylewajmy całej wody z gotowania, zachowajmy trochę – tak zaleca wielu szefów kuchni, również Jamie Oliver. Na bazie tej wody możemy zrobić sos. Na przykład „cacio e pepe", jeden z najprostszych i najsmaczniejszych we włoskiej kuchni, mało u nas rozpowszechniony.

A zatem, do rondla! I to koniecznie dużego. ©℗

eprasa.pl 75e3f2809d

NASZ TEST: OPEL INSIGNIA GRAND SPORT

To najważniejsza tegoroczna premiera niemieckiego producenta. Nowa flagowa limuzyna Opla prezentuje się o wiele bardziej elegancko niż jej poprzednik. Jest też dobrze wykończona wewnątrz. Ma jednak stosunkowo niewielki bagażnik i relatywnie dużo kosztuje.

W KABINIE

Wnętrze robi dobre wrażenie. Nie jest to może limuzyna klasy premium, ale deska rozdzielcza z ośmiocalowym ekranem dotykowym jest przejrzysta i nowoczesna. Użyte plastiki są wysokiej jakości – przyjemne w dotyku, a do tego wyglądają lepiej niż np. w Skodzie Superb czy nawet w Volkswagenie Passacie.

Biorąc pod uwagę to, że sylwetka nowej Insigni przypomina coupé, pasażerowie na tylnej kanapie mają zaskakująco dużo przestrzeni. Niemieckim inżynierom udało się wygospodarować sporo miejsca zarówno na nogi, jak i nad głową (choć naprawdę wyrośnięte nastolatki mogą zahaczać głową o podsufitkę). Problemu nie powinno być też z umieszczeniem fotelika dla maluchów, gdyż punkty mocowania Isofix są bardzo wyraźnie zaznaczone.

Szkoda, że nieco mniejszy niż w Insigni poprzedniej generacji jest bagażnik. Kufer opla o wielkości 490 l jest co prawda bardzo ustawny i sporo da się do niego zapakować, ale dla rodzin potrzebujących dużo miejsca lepsza będzie wspomniana Skoda Superb (jej bagażnik ma aż 625 l).

JAZDA

Insignia Grand Sport z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 170 KM od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w nieco ponad 5 s. Układ kierowniczy jest precyzyjny, więc Insignią z przyjemnością pokonuje się ostre zakręty. Ręczna skrzynia biegów działa poprawnie, ale gorzej niż np. w VW Passacie. Nową Insignią jeździ się dobrze, choć auta niektórych konkurentów mogą budzić w kierowcach więcej emocji.

Nowa Insignia jest dobrze wyciszona. Nawet przy wyższych prędkościach autostradowych w środku jest tak cicho jak w samochodach klasy premium. Sama jazda również jest komfortowa, bo choć zawieszenie jest stosunkowo sztywne, to auto sprawnie radzi sobie z tłumieniem nierówności.

Gorzej jest z parkowaniem. Na ciasnych i zatłoczonych ulicach kierowca niemal pięciometrowej limuzyny może się czuć tak, jakby prowadził mały czołg – zwłaszcza jeśli próbuje parkować tyłem. Kamera cofania jest więc niemal obowiązkowym wyposażeniem dodatkowym.

Podczas testu średnie spalanie w cyklu mieszanym wyniosło 7,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Insignia Grand Sport zdobyła komplet pięciu gwiazdek. Dodatkowo auto jest wyposażone w system rozpoznawania znaków drogowych, a elektroniczni asystenci ostrzegają przed samochodami w martwej strefie lusterek, niezamierzoną zmianą pasa ruchu, a także przed zbyt szybkim zbliżaniem się do przeszkody. W razie potrzeby samochód może autonomicznie zahamować. Układ unikania kolizji wykrywa również pieszych, co może być szczególnie przydatne zwłaszcza jesienią i zimą, gdy dni stają się coraz krótsze. Jazdę ułatwiają też opcjonalne adaptacyjne reflektory LED, które mają duży zasięg i dobrze doświetlają zakręty.

CENA

W najtańszej wersji wyposażenia – z benzynowym silnikiem o pojemności 1,5 l i mocy 140 KM – Insignia Grand Sport kosztuje 99,9 tys. zł. Za auto z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 170 KM trzeba już zapłacić 132,7 tys. zł. Najdroższa wersja z dwulitrowym dieslem o mocy 210 KM, automatyczną skrzynią biegów i napędem na cztery koła kosztuje już 159,9 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A4, BMW serii 3, Ford Mondeo, Mazda 6, Skoda Superb, Volkswagen Passat. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 75e3f2809d

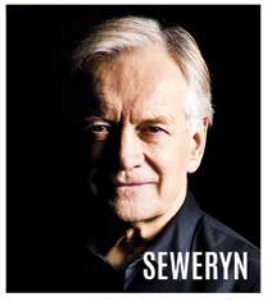

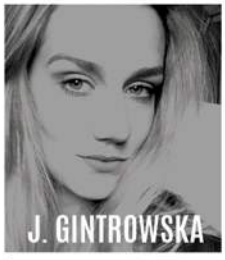

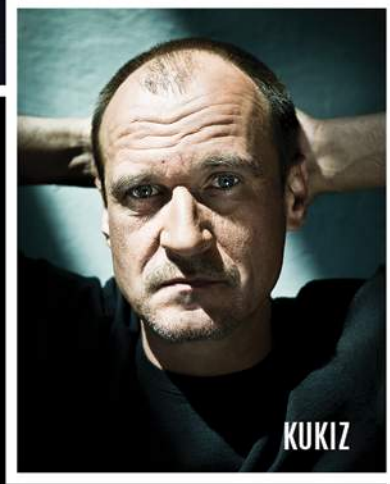

11 GRUDNIA
GODZINA 20.00
TEATR POLSKI
W WARSZAWIE

WYJĄTKOWY KONCERT
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

ORAZ 30 - OSOBOWA ORKIERSTRA
POD BATUTĄ JANKA STOKŁOSY

ZAPRASZAMY:
PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00
SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00
KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

BILETY DO NABYCIA:
KASA GŁÓWNA TEATRU
UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

WSPÓŁORGANIZATOR: FINA

MECENAT KONCERTU: PGNiG, LOTOS

PARTNERZY WYDARZENIA: LOTTO, Fundacja XX. Czartoryskich

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy, TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA: Classic

eprasa.pl 75e3f2809d

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Dziennikarze i politycy

MARCIN MAKOWSKI: Widzę, że znowu coś z Jamesem O'Keefe'em wykombinowaliście. Po środowisku demokratów, którzy organizowali zamieszki na wiecach Trumpa, i dziennikarzy CNN, który sztucznie nakręcali historię rosyjskiego wpływu na amerykańskie wybory, przyszedł czas na „The New York Times".

MATTHEW TYRMAND: Wszystko w takiej kolejności, jak zapowiadaliśmy, medialne elity tego kraju za długo czuły się bezkarne. Tymczasem wystarczy pokazać, jak ci ludzie rozmawiają ze sobą poza kulisami, oraz prześwietlić ich motywacje, aby zrozumieć, że te wszystkie zapewnienia o bezstronności to bajki dla dzieci. Pierwszy materiał z segmentu poświęconego „NYT" pokazuje, w jaki sposób zarządzano treściami wideo na serwisie internetowym gazety. Osoba, która nadzorowała dobór treści, nie wiedząc, że ją nagrywamy, zupełnie otwarcie deklarowała chęć zaszkodzenia Donaldowi Trumpowi oraz jego firmom. Nikomu w redakcji nie przeszkadzało, że mężczyzna działa w Antifie, a wcześniej pomagał przy tworzeniu kampanii wyborczej Hillary Clinton. Oczywiście te fakty same w sobie go nie dyskredytują, ale jeśli stanowią twoją agendę w sytuacji, gdy jesteś zobligowany przez etykę zawodową do obiektywnego relacjonowania wydarzeń, to wtedy mamy problem. Szczególnie że format wideo stanowi w dzisiejszych czasach jedno z głównych źródeł wiedzy o świecie. Prasa już dawno straciła ten status. Tym śmieszniejsze było wytłumaczenie jednego z wydawców „New York Timesa", że przyjrzy się sprawie, ale dotyczy ona mało znaczącego pracownika. Z tego, co wiem, myślą już, jak go zwolnić po cichu, nie robiąc przy tym afery.

Wiesz, że poza narzekaniem na polityków narzekanie na dziennikarzy to chyba drugi najpopularniejszy temat naszych rozmów?

Dziwisz się? Wszędzie na świecie zaczynają panować podobne mechanizmy, które z dziennikarzy tworzą zakonspirowanych aktywistów politycznych. Nie trzeba sięgać po zagraniczne media, wystarczy poczytać „Gazetę Wyborczą", żeby się przekonać, jak to działa. Dlatego, wbrew intencjom Adama Michnika czy szefów „NYT", nie da się zamiatać sprawy pod dywan, twierdząc, że w redakcji trafiła się jedna czarna owca. To działanie systemowe, którego mechanizm ujawnimy w kolejnych nagraniach, również dotyczących mediów społecznościowych.

W takim razie wróćmy do narzekania na polityków. Prezydent Andrzej Duda powiedział niedawno na łamach „Do Rzeczy", że wyborcy pamiętają, kto zdradził PiS. Minister Zbigniew Ziobro, wywołany do tablicy, odparł, że prezydent powinien częściej słuchać Ducha Świętego niż swoich doradców. Ciekawy dialog.

Ciekawy czy nie, ja w tym sporze stoję konsekwentnie po stronie Andrzeja Dudy. Zbigniew Ziobro uczynił ze swojego stanowiska fabrykę politycznej protekcji, doprowadzając do zatrudnienia na intratnych posadach swoich krewnych – w tym żony i brata. Poza tym używa wpływów do instalowania swoich ludzi w spółkach Skarbu Państwa – PKO, PZU – na polskiej giełdzie. Popatrz, od kogo i gdzie płyną pieniądze, a wiele rzeczy się wyjaśni.

Uparłeś się na Ziobrę, tymczasem prezes Kaczyński chwali Solidarną Polskę. Minister Jaki opracował dużą ustawę reprywatyzacyjną, działa Komisja Weryfikacyjna, Ministerstwo Sprawiedliwości jest bardzo aktywne.

Nie trzeba geniuszy prawnych, aby stworzyć projekt ustawy reprywatyzacyjnej oraz zreformować wymiar sprawiedliwości. Do tego wystarczą polityczna inicjatywa i wola, której PO po prostu nie miała, dlatego Ziobro i Jaki nie są nie do zastąpienia. Po prostu realizują plan polityczny Kaczyńskiego i prezes będzie ich tak długo wspierać, jak długo będą go do tego przybliżać. Jedność prawicy po traumie 2007 r. jest przestrogą dla prezesa. Faktycznie warto pamiętać, kto się wtedy wyłamał. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 75e3f2809d

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

PRENUMERATA

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ KSIĄŻKA „TAJNA HISTORIA FUTBOLU"

W KSIĄŻCE GRZEGORZA MAJCHRZAKA OPARTEJ NA NIEZNANYCH MATERIAŁACH IPN SENSACJA GONI SENSACJĘ, A HISTORIE KAZIMIERZA DEYNY, „BANDY CZWORGA", JANA TOMASZEWSKIEGO, MARKA LEŚNIAKA CZY ROBERTA GADOCHY JASNO POKAZUJĄ, KOMU BEZPIEKA „ZAŁOŻYŁA SIATKĘ", A KTO POTRAFIŁ JEJ STRZELIĆ W OKIENKO.

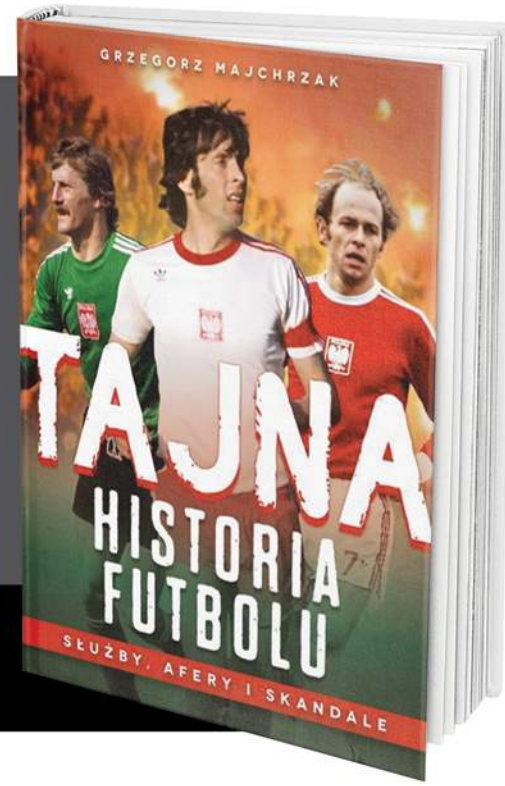

82 zł OSZCZĘDŹ!

137 zł

PRENUMERATA DWULETNIA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+ YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ

YANOSIK TO NOWOCZESNY SYSTEM WZAJEMNEJ WYMIANY INFORMACJI MIĘDZY KIEROWCAMI. YANOSIK GTR POINFORMUJE CIĘ O ZBLIŻAJĄCYCH SIĘ KONTROLACH PRĘDKOŚCI, WYPADKACH CZY REMONTACH DROGOWYCH.

490 zł

775 zł OSZCZĘDŹ!

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 75e3f2809d

OKIEM BLOGERKI

Niedziela bez polityki

KATARYNA

TADEUSZ MAJCHROWICZ, NSZZ „SOLIDARNOŚĆ": W Polsce powstaje nowa religia, nowy świecki zwyczaj, że rodzina wylega do galerii handlowej, spędza tam cały dzień, nie widząc, że po drugiej stronie jest ekspedientka. 20 bluzek, które pani bierze, przymierza, nie kupi, ta dziewczyna musi z powrotem wyprasować, żeby je zawiesić na wieszaku. Przeprowadziliśmy wiele rozmów i wiemy, że ten handel w niedziele jest żaden. To się wydaje, że ludzie kupują, to są tzw. apacze, którzy chodzą i patrzą. Oni tylko chodzą, oglądają, denerwują te ekspedientki, które wolałyby się spotkać z chłopakiem, a muszą pracować w galerii i znosić niesfornych klientów. Jeżeli galeria będzie zamknięta, ludzie będą wiedzieli, że trzeba zrobić zakupy w sobotę bądź w poniedziałek.

Zlikwidowałabym niedzielne programy publicystyczne z udziałem polityków, bo skutecznie odciągają ich od rodzin

Łączę się w bólu z ekspedientką, której praca polega na prasowaniu ubrań i odwieszaniu ich na wieszak. To musi być wykańczające. Nic dziwnego, że to nad nią z taką troską pochylają się zawodowi związkowcy, ci sami, którym od kilkunastu dni udaje się nie zauważać głodowego protestu lekarzy-rezydentów, choć oni także muszą pracować w niedzielę, a pracę mają „trochę" trudniejszą i „odrobinę" bardziej odpowiedzialną. I prawdopodobnie zarabiają mniej niż sprzedawczyni ubrań w eleganckiej galerii handlowej. Chyba jednak za dużo wymagam od związku zawodowego, którego aktualną misją jest wspieranie władzy, a nie pracowników – przynajmniej nie tych, którzy się odważyli przeciwko tej władzy stanąć. I nie z myślą o pracownikach związkowcy przepychają ustawę o zakazie handlu w niedzielę, choć bardzo dużo o nich mówią.

Mogę sobie wyobrazić sporo rozwiązań, które mogłyby znacząco poprawić sytuację pracowników centrów handlowych bez wymuszania zamknięcia sklepów. Wystarczyłby dobrze skonstruowany zapis o dobrowolności pracy w niedziele połączony z solidną zachętą finansową dla tych, którzy by się na nią zdecydowali, i można byłoby pozwolić pracownikom zdecydować, co chcą zrobić z niedzielą, zamiast uszczęśliwiać na siłę i ich, i tysiące klientów. Niestety w państwie, które już przeregulowało prawie wszystko, co tylko dało się uregulować, zostawienie ludziom – pracownikom i klientom – swobody decyzji jest raczej trudne do wyobrażenia i Solidarność zakaz handlu przepchnie, nawet gdyby miało się to wiązać ze zwolnieniami lub znaczącą obniżką wynagrodzeń. Tym akurat zatrudnieni na związkowych etatach krezusi nie muszą się bowiem martwić.

„Niedziela dla Boga, dla rodziny" – to bardzo ładne hasło, politycy mogliby je przetestować na sobie, ale jakoś nie bardzo się do tego palą i może powinno się im pomóc, tak jak tym klientom centrów handlowych. Na początek zlikwidowałabym niedzielne programy publicystyczne z udziałem polityków, bo skutecznie odciągają ich od rodzin, zwłaszcza jeśli do studia trzeba dojechać z drugiego końca Polski i rodzina takiego posła w niedzielę może sobie zobaczyć tylko w telewizorze. A że większość programów publicystycznych to w obecnych czasach słowne mordobicie, to i Bóg ma z tak spędzonej niedzieli niewiele. To co, niedziela wolna od polityków? Głosowałabym. ©℗

PODSŁUCHANE

Z biegiem czasu

No, panie Władku, gratuluję! Udało się panu wszystkich zjednoczyć wokół waszego pomysłu.
Panie Ryszardzie, bo Peezel taki jest: łączyć, nie dzielić, na spokojnie, z szacunkiem itd.
No dobra, ale niech mi pan wyjaśni. Jak już tego czasu nie będziemy zmieniać, to który zostanie: ten wcześniejszy czy późniejszy?
Jak by to panu... Letni zostanie. Czyli środkowoeuropejski plus jeden. Czyli właściwie tak jakby standardowy się stał wschodnioeuropejski.
Zaraz, chwila... No to środkowy czy wschodni?
Środkowoeuropejski plus jeden, czyli nasz letni, to to samo co standardowy wschodnioeuropejski, bez letniego. A ponieważ już zmian nie będzie, faktycznie standardowy będziemy mieć wschodnioeuropejski.
Panie Władku kochany, mów pan po ludzku. Może mi pan to jakoś rozrysować?
Ja panu taki schemacik wydrukuję zaraz u nas w klubie.
Tylko, wie pan, ja się zaczynam zastanawiać, czy my jako Nowoczesna – wie pan, europejska partia – możemy to w ogóle ostatecznie poprzeć.
Bo?
Bo ja to najchętniej bym miał zachodnioeuropejski czas. No, środkowo jeszcze ujdzie. Ale wschodnio? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Niech jadą!".

JÓZEFA HRYNKIEWICZ, *posłanka PiS, w Sejmie podczas wystąpienia posłanki PO, która mówiła o problemach młodych lekarzy i o tym, że choć mogą wyjeżdżać za granicę, wolą pracować w kraju i leczyć Polaków*

eprasa.pl 75e3f2809d

Glossa do pewnego wydawnictwa

fot. Jerzy Gumowski

Jesienią zeszłego roku ukazała się w sprzedaży książka Błażeja Torańskiego o peerelowskiej cenzurze (tytuł: **„Knebel”**). Jej zawartość stanowią wywiady z twórcami wspominającymi tamten cenzuralny tryb. Mnie w niej nie ma, gdyż nie lubię udzielać wywiadów (kiedy pan Torański zadzwonił prosząc o *„interview”* i okazało się, że nawet nie wie, iż A. D. 1990 wydałem cały wolumin relacjonujący długoletnią wojnę między Łysiakiem a ulicą Mysią — dalsza rozmowa stała się bezprzedmiotowa). Miałem do tej czerwonej cenzury stosunek bardziej pobłażliwy i szyderczy aniżeli wściekły, ergo: zawsze mnie bardziej śmieszyła niż złościła, nawet wówczas gdy Kreml — jedyny raz za PRL–u — złożył protest oficjalny (via MSZ!) przeciwko twórczości polskiego pisarza, co przyniosło mi na Zachodzie trochę chwały, a w ojczyźnie sporo kłopotów. Nie jestem też specjalnie zbulwersowany faktem, że w III RP tradycje Mysiej są praktykowane systemowo. Marian Hemar wierszem **„Kult tradycji”** rozpatrywał kiedyś nieśmiertelność cenzora:

„Władza przychodzi w nagrodzie,
Z zasługi, lub z koniunkturą.
Nie w tym problem kto kogo
W ryzach trzyma cenzurą.

Nieważne kto jest na dole,
Nieważne kto jest u góry.
Ważna jest tylko kwestia:
Z cenzurą czy bez cenzury”.

Bez cenzury III Rzeczpospolita obejść się nijak nie może (jak zresztą wiele innych systemów demokratycznych alias wolnościowych). Pierwszy premier III RP, pan Mazowiecki, robił co tylko mógł, by przedłużyć trwanie cenzury, i dopiero po ośmiu miesiącach (kwiecień 1990) gniew opinii publicznej zmusił go do wyrażenia zgody na jej likwidację (dzięki temu mój wydany w lutym 1990 **„Dobry”** był *„ostatnią książką okaleczoną przez peerelowską cenzurę”*, mając białe strony z wytłoczonym jak stempel paragrafem zabraniającym ich druku). Minęło ponad ćwierć stulecia, a cenzura niczym Lenin — *„wiecznie żywa”*. Cenzurowanych nie odstresowuje fakt, że zamiast komunistycznej szaleje teraz politpoprawna (to istny cenzuralny walec, meganożyce dzisiejszych czasów) lub kąsa doraźna partyjna grająca pragmatyczną. Nie brak tego po obu stronach barykady — zarówno po tzw. *„lewej”* (salonowej), jak i po tzw. *„prawej”* (antysalonowej). Przykładów bez liku. Gdy redakcja **„wSieci”** kaja się publicznie i piętnuje swojego dziennikarza, Roberta Mazurka, bo ośmielił się delikatnie i ledwie kilkoma sylabami bąknąć, iż *„Ojciec Dyrektor”* ma na swym koncie pewien drobny błąd — to widzimy *„prawicową”* cenzurę zamykającą gęby. Gdy zaś Antoni Krauze wylatuje z **„Rzepy”**, bo robił nieprawomyślne rysunki, lub gdy pachołki rządzącej PO blokują film **„Historia Roja”** (Jerzy Zalewski: *„ — Mój film został zwyczajnie aresztowany i był «półkownikiem» III RP”*, 2016) pod pretekstem, że jest o 2 minuty za długi w stosunku do umowy (sic!) — to smakujemy (delektujemy się) cenzurę salonową. Bywa ona równie humorystyczna jak bolszewicka wtedy, gdy peerelowski cenzor mylił na przykład świętego Tytusa z jugosłowiańskim marszałkiem Tito (sic!).

Norwid: „Za pozwoleniem Cenzury i Mamy”

Autor **„Knebla”**, Błażej Torański, wyraża taki chronologiczny sąd o cenzurze doby PRL–u: *„Największą władzę urząd cenzury osiągnął w połowie epoki Gierka”*. Zaś autor dużego eseju o *„cenzurze prewencyjnej”* doby PRL–u, Józef Kowalewski, rzecze à propos tamtej ery: *„Czasy Gierka to wielka wojna cenzora z Waldemarem Łysiakiem. Łysiak naraził się tym, że potrafił pisać prawdę — to był główny powód nienawiści reżimowców”* (**„Opcja Na Prawo”**, 2010). Koniec *„epoki Gierka”* przyniósł odwilż zwaną *„karnawałem «Solidarności»”*, kiedy przez rok cenzura podkuliła ogon, właściwie nie ingerując; Bogdan Maciejewski: *„Krytyka dzisiaj nic albo niewiele kosztuje, ale Łysiak zawsze był ostry i eksplodował przy każdej okazji również w minionej epoce, więc to jest naturalne, że i teraz dźga okrutnie, wali niczym z armaty”* (**„Sztandar Młodych”**, 1981). Rzecz prosta: wcześniej odwaga kosztowała drożej, czas czasowi nie był równy, za Gierka więcej się ryzykowało; Andrzej Molik: *„Trzeba sobie uświadomić w jakim czasie Waldemar Łysiak pisał o tej ideologii klatki, myląc tropy cenzury”* (**„Kurier Lubelski”**, 1993). Myliło się je bogatą gamą chwytów (od metafor do anagramów), więc przy pewnej dozie sprawności (oraz — *„naturellement”* — szczęścia) można było opublikować za komuny legalnie (nadziemnie) esej o masowym mordzie w Bourreaugne, czyli o zbrodni katyńskiej (francuski wyraz *„bourreau”* to po polsku kat, a końcówka *„gne”* to polskie ń). Dawało się nawet ubliżać ciemiężycielom kolokwialnie, przyrównując tę hołotę do bidetów, exemplum fragment moich **„Wysp bezludnych”**:

„Bidety niczym pieczarki na plantacji, gęsto, aż po horyzont. W nich sumienia z plasteliny. Armia bidetów zwartymi szeregami maszeruje przez nasz świat. Gdzieś na drodze spotykają człowieka. Człowiek idzie w przeciwnym kierunku. Zawadza im. Bidety krzyczą: dołącz albo ustąp! Samotny piechur spluwa w miski bidetów i depcze po oceanie plasteliny, torując sobie drogę na wprost. Oto on, zbieg, który wymknął się z menażerii doktora Darwina. Człowiek.

Piszę o nim, bo pragnę odpowiedzieć mojemu synowi, a kiedy mówiłem — niewiele było słychać w ogłuszającym łoskocie zza szyb (...).

Tomek, gdy miał siedem lat, spytał:

— Tato, którym marszałkiem Napoleona chciałbyś być?

— Davoutem.

— Dlaczego?

Nie wiem dlaczego, ale zawsze wolałem dobre wino od stęchłej wody, oraz ludzi tego pokroju, jakby żyli w obawie przed popełnieniem czynu, którego musieliby się wstydzić — od sukinsynów.

Za zamkniętymi oknami słychać gromki tupot równego szeregu i chóralny śpiew. Idą zwarte bidety i śpiewają pieśń o plastelinie. Tup–tup–tup–tup–tup–tup–tup–tup! Bohaterski głos zagłusza wszystko”.

Dzięki Bogu — nie ogłuchłem. Słuch na nikczemność mam dziś wyczulony nie gorzej niż wówczas, czego dowodem felietony, które publikuję w tym miejscu.

À propos dowodów: zachowałem z peerelowskiej epoki sporo papierowych dowodów ingerowania *„cenzury prewencyjnej”* reżimu w moje teksty, dzięki tzw. *„szczotkom”*, czyli próbnym wydrukom pism i gazet (*„szczotka”* wędrowała na ul. Mysią i wracała pokreślona przez cenzora). Exemplum mój esej **„Sportowe piętno”** (**„Kultura”**, 1979), o gangrenie trawiącej polski futbol, zakończony konstatacją dr. Eugeniusza Piaseckiego z 1902 roku: *„Gra ta jest po prostu miniaturą ustroju”*. Cenzor przejawił czujność i wyciął ów cytat, lecz pierwodrukowa *„szczotka”* redakcyjna została. Słowem: było wesoło, jak to w *„najweselszym baraku obozu”*. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 75e3f2809d

eprasa.pl 75e3f2809d